

Jaroslav Rudiš

ur. 1972)

Jeden z najpopularniejszych czeskich autorów młodego pokolenia. laureat licznych nagród literackich. z wykształcenia germanista i historyk. Mieszka i pracuje w Lomnicy nad Popelką. Pradze i Lipsku. Debiutował w 2002 r. powieścią *Nebe pod Berlinem* (pol. *Niebo pod Berlinem*. Prószyński i S-ka, 2007). Następnie pojawiły się powieści: *Grandhotel* (2006) *Potichu* (*Po cichu*. 2007) i *Koniec punku w Helsinkach* (*Koniec punku w Helsinkach*. 2010). Znany jest również jako dramaturg. jego sztuki wystawiane są zarówno w Czechach, jak i za granicą. Wspólnie z rysownikiem Jaromfrem 99 stworzył postać Aloisa Nebla, którego czytelnicy mają szansę poznać dzięki powieści graficznej (*Alois Nebel*. Zin Zin Press. 2007). cyklowi komiksów w prasie i filmowi animowanemu (w przygotowaniu). Okazjonalnie występuje z zespołami muzycznymi U-Bahn i The Bombers. Co miesiąc pojawia się w Praskim Teatrze Archa w literackim kabarecie EKG. który stworzył z poetą i prozaikiem Igorem Malijevskim.

GRANDHOTEL
POWIEŚĆ NAD CHMURAMI

Jaroslav Rudiš

GRANDHOTEL
POWIEŚĆ NAD CHMURAMI

GOOD'
BOOKS

FOR SONJA UND SOLO LOVEC

Przekład: Katarzyna Dudzic

Tłumaczenie niniejszej publikacji zostało dofinansowane przez Ministerstwo Kultury Republiki Czeskiej.

© Copyright by Jaroslav Rudiš, 2006

© Copyright by Labyrint, Praha (CZ), 2006

© Copyright for polish edition by Good Books, 2011

ISBN 978-83-928051-4-4

I.

UNOSZĘ SIĘ

Udało mi się. Mówię to, żeby od początku wszystko było jasne. Żebyście nie musieli się o mnie bać.

Ja się nie boję.

Unoszę się, na wyciągnięcie ręki mam chmury. Niebo. Sny. Nieskończoność. No i w końcu też samego siebie.

W głębi pode mną powoli rozplywa się nasze miasto. Miasto, które kocham i którego nienawidzę. Miasto otoczone górami, przeszłością, czasem też strachem, dlatego że przeszłość nie jest niczym innym, tylko strachem. Ja go pokonałem. Odciałem się od strachu i przeszłości. Opuszczam miasto, z którym się zrosłem i którego nigdy nie udało mi się opuścić.

Aż do teraz.

Udało mi się.

Obserwuję wysokość, kierunek lotu i wiatr.

Udało się, choć nikt w to nie wierzył.

Nikt mi nie wierzył. Nawet sam sobie nie wierzyłem.

Unoszę się i oślepia mnie słońce, wylewające się ponad horyzont.

Horyzont nie jest gładki. Jest pełen wypukłości, dlatego że takie też są chmury. I nasze sny.

I nasze życia.

Żadna noc nie jest pozbawiona snów, a niebo nigdy nie jest bezchmurne. Są tam, nawet jeśli się ich nie widzi i nie czuje.

Udało mi się.

Mam dzisiaj urodziny i zrobiłem sobie prezent. Prezent, na który czekałem całe życie.

Lecę.

Unoszę się.

Wkrótce zajrzę za horyzont.

Jest szósta trzydzieści rano. Zachmurzenie małe. Nieliczne chmury wysokiego piętra. Cirrusy. Wiatr zachodni. Sześć stopni Celsjusza.

Udało mi się.

Unoszę się.

Utrzymuję kierunek.

W uszach zaczyna mi grać najpiękniejsza muzyka, której nikt inny nie słyszy, dlatego że człowiek musi być sam, kiedy chce zrealizować swój sen, żeby nikt mu go nie ukradł. Żeby mógł się nim nacieszyć. Albo przynajmniej powinien być sam.

Tą muzyką jest cisza.

II.

RZEŹNIK

Nazywam się Fleischman. Wcześniej też nazywałem się Fleischman. A w przyszłości rów-

niez będę się nazywał tylko Fleischman, niech sobie ludzie mówią, co chcą, niech sobie mają imion i tytułów, ile chcą, i niech jakaś przyszłość nadejdzie albo i nie nadejdzie.

Urodziłem się 21 września 1973 roku. Tego dnia imieniny obchodzi Matouš. Mówię to dlatego, żebyście nie musieli zaglądać do kalendarza, bo wiem, że ludzie lubią szukać tam imion, dowcipów, horoskopów, i dlatego teraz w kalendarzach drukują cytaty znanych ludzi, fotografie domków w Karkonoszach albo przepisy kulinarne. Serio, Jegr po nocach czasami się w nich zaczytuje, gładząc się po brzuchu. Jegr tak, ja nie. Ale do Jegra jeszcze dojdę.

Generalnie lubię kalendarze, jeśli o to pyta-
cie. Lubię liczby, dlatego że liczby nie kłamią.
Liczby, wykresy i chmury.

Nigdy nie obchodziłem swoich urodzin.
To znaczy, od kiedy jestem sam. Ani imienin.

Fleischman nie występuje w kalendarzu. A ja nazywam się Fleischman.

Das Fleisch po niemiecku znaczy mięso.
Ludzkie i zwierzęce. Albo miąższ w owocu. Der
Mann znaczy mężczyzna. Albo małżonek. Mąż.
Wasal. Lennik. Więc może lepiej mężczyzna, je-
śli już mogę sobie wybrać. Kiedy się to połączy,
może wyjść Mięsiasty Mężczyzna. Mięścizna.
Jeśli włączycie wyobraźnię, to też Mężczyzna
z Mięsa (z krwi i kości). Mężczyzna kochający
mięso. Mięszarz. Rzeźnik. Więc chyba po prostu
rzeźnik. Mówię to, ponieważ imiona nie są przy-
padkowe. Nie kłamią. Dużo o nas mówią. Przy-
najmniej tak twierdzi moja pani doktor.

Kiedy nad naszym miastem zgromadziły się
czarne chmury, w historii naszej rodziny zgubiło
się jedno „n” ze słowa Mann. Powiem wprost, że
to „n” było najmniej istotną rzeczą, która mogła
się w naszej rodzinie zgubić.

12 Być może spytacie, jak nazywam się dalej.

A właściwie, jak nazywam się wcześniej. Ludzie
zazwyczaj mają imię i nazwisko, ale ja mam tyl-
ko nazwisko. To wcześniej zapomniałem. Musia-
łem zapomnieć.

Nazywam się Fleischman. Mam sto siedem-
dziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu. Ważę
siedemdziesiąt trzy kilo. Mówię o tym, bo może
interesują was liczby, tak jak interesują mnie.

Nazywam się Fleischman. Jestem rzeźnikiem,
który nie je mięsa, bo nie lubi krwi. Rzeźnikiem,
który na talerzu kroi sobie chmury i pogodę,

dlatego że na świecie nie ma niczego ważniejszego. Kroi też samego siebie. Ale do tego jeszcze dojdę. Do wszystkiego jeszcze dojdę.

Wszystko musi być po kolei. Tak jak buduje się model samolotu. Albo szuka literek w zupie i tworzy z nich słowa, które potem się zjada.

Chmura na niebie przecież też nie bierze się znikąd. Najpierw potrzebuje jakichś drobinek. Kurzu. Dopiero na nich osiada wilgoć. Z wilgoci powstają małe kropelki, potem większe i na koniec powstaje chmura.

Zatem najpierw nasypię wam na talerz trochę drobinek kurzu. Trochę życiowego popiołu Fleischmana. Ale jak się nad tym zastanawiam, to zamiast po kolei wolę przeskakiwać z tematu na temat.

Moja pani doktor mówi, że ludzkie życie jest jak mozaika. Że nie pamiętamy go w całości. Że za sobą zawsze widzimy tylko momenty. Prze-
błyski. Błyski. 13

STAN DUSZY

Nie zaczęło się zbyt spokojnie.

21 września 1973 roku było jasno i ciepło.

Delikatny wiatr. Altwajberzomer, jak mawia nasz sztangast Franz. Babie lato, które powstaje pod wpływem wysokiego ciśnienia nad Rosją.

Pamiętam to jak dziś.

Kiedy wylazłem mamie z brzucha, na porodówce było otwarte okno i wszystko to zobaczyłem, poczułem i usłyszałem. Po prostu byłem tam.

— No i już — powiedział lekarz.

— Wystarczy — powiedziała pielęgniarka.

— Dziewczynka? — spytała moja mama.

— Chłopiec — powiedział lekarz.

— Będzie pan miał zimną kawę, doktorze

— powiedziała pielęgniarka.

— Pani zrobi nową.

Na chwilę wzleciałem, popatrzyłem na wszystkich spod sufitu: zobaczyłem białą porodówkę, mamę, jak mnie trzyma na piersi, pielęgniarkę piszącą coś w papierach, lekarza ściągającego rękawice.

Chciałem lecieć wyżej, ale walnąłem głową w sufit. Nagle straciłem oddech i zacząłem opadać. Widziałem mamę krzyczącą, że się duszę, że nie oddycham i biegnącego w stronę mojego
14 ciała lekarza — przewrócił kubek z kawą, która rozlała się po stole. Ta brązowa plama wyglądała jak Australia.

Spadłem na ziemię i przez chwilę było zupełnie cicho. W końcu się rozryczałem.

Lekarz potem powiedział mamie, że o mało nie umarłem, ale że nie powinno to mieć najmniejszego wpływu na moje życie, bo tak poza tym to jestem w porządku. Chłop jak dąb. Zuch na schwał.

— Tego nikt nie może pamiętać — powiedział mi Jegr.

— Ale ja to normalnie pamiętam. Wszystko widziałem. A w radiu śpiewał Matuska.

— No, jasne, a nad kolebką stał stary Gott.

— Normalnie śpiewał Dojrzewały czereśnie.

— Takie kity to wciskaj swojej starej — powiedział Jegr i walnął mnie po głowie. — Chcesz mi wmówić, że widziałeś, jak się dusisz na porodówce i jak cię ratują? A ta kawa to była sypana? Czy może rozpuszczalna?

— Tego nie wiem. Ale na dworze było babie lato. Normalnie jak teraz.

— Normalnie... ciągle tylko normalnie. Ale ty nie jesteś normalny, szajbusie! Pogódź się z tym.

— Nie, lekarz powiedział, że ze mną jest wszystko w porządku.

— Jakby z tobą było w porządku, to byś tak ciągle nie smarkał. I miałbyś babę. I kibicowałbyś Slovanowi.

— To nie ma z tym nic wspólnego. 15

— Jasne, że ma! Kto nie kibicuje, nie dyma! Ja mam wieczne babie lato.

— Przecież pan też nikogo nie ma.

— Ale miałem, kolego, miałem. I to ile! Ja mam co wspominać.

— No ile?

— Chmary. Cały świat mi klęczał u stóp. I te baby ciągle by przede mną klęczały, gdybym chciał.

— I tak uważam, że ze mną jest wszystko w porządku.

— Jak z tobą jest wszystko w porządku, to ja jestem święty Józef, ty Waligrucho.

Waligrucha to ja. Przynajmniej według Jegra.

Waligrucha to stan duszy. Mojej duszy.

PRALKA POWIETRZA

21 września 1973 roku w Cieśninie Beringa podczas burzy zatoniła Sowietom łódź podwodna. W Indiach we mgle zderzyły się dwa pociągi osobowe. Ku ogólnemu zaskoczeniu, FC Torino pokonał Manchester United 4:0. Gustav Hu-

sak pojechał pociągiem z Pragi do Moskwy na obowiązkowy miesiąc miodowy. W Hamburgu już od miesiąca strajkowali stoczniowcy. Przez Florydę przeszedł huragan Ivan i zabił dziesięć osób. Pokazywali to w telewizji.

Huragan to tropikalny cyklon. Ogromna różnica ciśnień. Niszczycielski wiatr. W Japonii mówi się na niego tajfun. W Australii willy-willy. Na Oceanie Indyjskim orkan. żeby powstał, potrzebne są trzy rzeczy: ciepła woda, wilgotne powietrze i zbiegające się wiatry równikowe. Ale może wystarczy, że gdzieś mucha machnie skrzydłami. Albo motyl. Albo komar. Albo że ktoś komuś pomacha na ulicy. Może dlatego ja nikomu nie macham na ulicy, żeby tym machnięciem nie spowodować katastrofy. Huragan działa jak olbrzymia pralka powietrza, jak wielki odkurzacz, który czasem każdemu

z nas by się przydał. Może huragan też jest stanem duszy. Stanem duszy pogody. Ale teraz nie wiem, czy dokładnie mnie rozumiecie. Moja pani doktor twierdzi, że czasami mówię zbyt zawile. Ale że to nie szkodzi, bo ona i tak wie, co mnie dręczy i denerwuje. Dobrze, że chociaż ktoś to wie.

ADEPT PRZYSZŁOŚCI

21 września 1973 roku urodziłem się w naszym mieście ja i dziesięcioro innych adeptów przyszłości. Jedenastu świeżo upieczonych ojców z naszego miasta wyruszyło zapieć swoje wielkie szczęście, o którym myśleli, że potrwa całą wieczność. Wrócili późno w nocy w uwalanych garniturach z tesilu i z rozmazaną szminką na policzkach.

Tego samego dnia, dokładnie o dziesiątej rano, otwarto hotel na wzgórzu, w którym dzisiaj mieszkam. I w którym też pracuję. I który zbudowano tylko dzięki nieszczęśliwemu wypadkowi, za którym stał mój dziadek. I w którym Jegr się na mnie wydziera, bo też tu pracuje, a od czasu do czasu wydzieram się na niego ja, bo momentami Jegr jest nieznośny. Jego zdaniem nieznośny to jestem przede wszystkim ja. Ale może to tylko wina tej wysokości, która z ludźmi wyprawia różne rzeczy.

Nasz Grandhotel stoi na wysokości tysiąca dwunastu metrów nad poziomem morza. Czasami

odnoszę wrażenie, że to nie jest hotel, tylko wielka fabryka chmur. Wystarczy się rozejrzeć. Na takiej wysokości chmury ustawiają się jedna za drugą w kolejce przed naszymi oczami. Taka wy-

sokość potrafi na człowieku zrobić wrażenie. Hotel otwarto z wielką pompą, z jaką zawsze wita się przyszłość, o której myślimy, że na wieczne czasy będzie świetlana, ale nigdy tak nie jest, jak mawia Franz. Przyszłość zazwyczaj szybko gaśnie. O tym jednak nikt wtedy nie myślał, a ja to rozumiem.

Ze stolicy przyjechała telewizja i nakręciła dziesięciminutowy reportaż. Wystąpiła miejscowa orkiestra dęta, która zagrała osiem polek, sześć walczyków i niespodziewanie jednego bluesa, przy którym nikt nie tańczył. Pionierzy wręczyli budowniczym czterdzieści czerwonych goździków.

Zjedzono trzysta pięćdziesiąt trzy kanapki 18 z szynką, wypito dwieście pięćdziesiąt trzy piwa oraz dziesięć butelek prawdziwej radzieckiej wódki. Trzydziestu gości na drugi dzień miało kaca. Dwóch wymiotowało jeszcze następnego wieczoru.

List gratulacyjny wysłał nawet prezydent kraju, chory generał, który pokonał nazistów na Przełęczy Dukielskiej. Ale list zgubił się na poczcie. Pewnie, że nie byłem naocznym świadkiem. Jęgr mi opowiadał. A on wie wszystko. Był kierownikiem w sklepie samoobsługowym. I nie tylko. Ale do tego jeszcze dojdę.

A WIĘC TU MIESZKAM I PRACUJĘ

A więc tu mieszkam i pracuję. W Grand-hotelu na górze Ještěd. Przedtem szczyt nazywał się Jeschken. A wcześniej Jeschkenberg. A wcześniej Jeschenberge. A wcześniej Jesstied. A wcześniej Jesstiedr. Nazwa szczytu ma ponoć coś wspólnego z jakimś jeżem albo jakąś jaskinią. Jeże tu są. Jaskinie też. Albo coś w stylu jaskiń. Dziury w ziemi.

A więc tu mieszkam i pracuję. W zwięzającej się ku górze okrągłej rakiecie o wysokości dziewięćdziesiąt metrów. Zbudowano ją z aluminium, z którego robiło się noże i widelce na obozy pionierów, oraz z laminatu, z którego robi się canoe i puchówki na obozy skautów. Nigdy nie byłem skautem, a z pionierów mnie wyrzucili. Ale do tego jeszcze dojdę.

Pracuję w hotelu, który nie ma kantów, ale i tak można rozbić sobie w nim głowę i stracić rozum. W hotelu, w którym wszystko jest okrągłe, w którym można zabłądzić równie łatwo jak we mgle, w wielkim mieście albo jak w samym sobie. A to się czasem zdarza. Nie tylko mnie, ale każdemu, więc człowiek powinien być na to

przygotowany. Tak mówi moja pani doktor.
W hotelu, nad którym zaczyna się nieskończoność, w hotelu, który niekiedy na całe tygodnie, miesiące, a może nawet lata znika w chmurach albo nad chmurami, więc nikt go nie szuka. W hotelu, po którym hula wiatr i którym wiatr

kołysze z taką łatwością, jakby to był zapomniany statek na Oceanie Indyjskim. A nam z pólek spadają kubki i talerze, a blade i wystraszone panienki z pokojów przychodzą do Jegra i on im rozdaje przeterminowany aviomarin, żeby znowu wszystkiego nie zwymiotowały i żeby ja nie musiał później tego sprzątać.

W hotelu, który jest sterem mojego życia i który wbija się w niebo jak ostra igła. Czasami odnoszę wrażenie, że tuż nad nami krwawi niebo. Ale może to tylko zachód słońca.

A więc tu mieszkam i pracuję. Zagubiony w najpiękniejszym miejscu świata, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna niebo. Noszę walizki, opróżniam popielniczki, uzupełniam prezerwatywy w szufladach, wycieram kurze, sprzątam, wymieniam popsute krany i popękane kafelki. Jestem Fleischman do wszystkiego. Piję żółtą lemoniadę, jem wafelki, codziennie trzy lemoniady i trzy wafelki. Spotykam ludzi, których już tu nie ma i podglądam ludzi, którzy tu są, ludzi w pokojach, głównie dziewczyny. A czasem też ratuję inne dziewczyny, które przyjeżdżają się do nas zabić, dlatego że najpiękniejsze miejsca na świecie mają magiczną moc przyciągania. Jak na przykład Wieża Eiffla. Albo Diabelski Młyn w Wiedniu.

A więc tu mieszkam i pracuję, ale przede wszystkim trzy razy dziennie mierzę pogodę, piszę pamiętnik i obserwuję chmury. Czeka, co przyniosą nowego i czy zabiorą to stare, dlatego

że pogoda i chmury są na początku wszystkiego, wszystkich ludzkich rozmów i wszystkich historii, i będą też na ich końcu. Również na końcu tej historii.

Mówię to wszystko bez ogródek, bo nie chcę już mieć żadnych tajemnic.

NIEBO JEST JESZCZE BŁĘKITNE

Pogodynka. Barometr. Sople. Termometr. Chmuromir. Tak na mnie mówili, kiedy chodziłem do szkoły. Ale też Krzywoń, Smarkuś i Tesil. Nie, koledzy z klasy za bardzo mnie nie lubili. Ale wydaje mi się, że tych pierwszych pięć

ksywek było lepsze. A raczej bardziej trafne. Otóż pierwsze słowo, jakie wypowiedziałem, brzmiało chmura.

Ale nie mogę mieć żalu do swoich kolegów. Mieli rację. Naprawdę mam trochę krzywą głowę po wypadku. Od tego czasu mam też katar i wciąż pociągam nosem. A spodnie z tesilu, niegniotącego się sztucznego materiału, kupował mi zawsze na Gwiazdkę tato. Brązowe. Czarne. Szare. Innych kolorów chyba nie było do wyboru. Nie mogłem mu wyjaśnić, że piją w krocze, ponieważ wstydzilem się przed nim powiedzieć słowo krocze. Moja pani doktor mówi, że to normalne, że każdy człowiek ma słowo, którego się wstydzi.

Ale ja zawsze byłem bardzo wstydlivy.

Również wtedy, kiedy szedłem po raz pierwszy do szkoły. Tego dnia świeciło słońce, wiał delikatny wiatr, a błękitne niebo rozlewało się aż po horyzont. Na początku wszystkich historii i filmów niebo jest błękitne, zauważyliście? Do momentu, w którym skądś nadciągną chmury. Ja wiem, skąd nadciągają. Mam nosa do chmur. — Jaki będziesz? — spytała mnie mama przed wejściem do szkoły.

— Grzeczny.

— Dobrze — powiedziała, pogłaskała mnie i pocałowała w policzek. Potem odwróciła się i poszła. Patrzyłem na nią, podobało mi się, jak falowała jej sukienka. Słuchałem stukania jej obcasów. Zatrzymała się na chodniku. Na przejściu popatrzyła powoli w jedną i drugą stronę. Przejechał samochód. Przeczesała dłonią włosy i przeszła przez ulicę.

Właśnie tak ją sobie przypominam w drobinkach kurzu, które moja pani doktor nazywa wspomnieniami: stoi na skraju ulicy, powoli się rozgląda, czeka, aż przejedzie samochód i przeczesuje dłonią włosy. Patrzy na te, które jej zostały między palcami i wypuszcza je na wiatr. Tak po prostu. Elegancko. Czysto, jeśli wiecie, o co mi chodzi. A mi się wydaje, że w tej chwili na moment zatrzymuje się czas. Samochód przejeżdża, mama wkracza na przejście, przechodzi na drugą stronę i niebo jest jeszcze przez chwilę błękitne.

GARBUS

Być może myślicie, że chcę się uzalać nad sobą, że chcę was zamećzać swoimi traumami. Wyrzucić gnój, który noszę w głowie, jak ma-

wia moja pani doktor, kiedy zachowuję się niezrozumiale i ona się denerwuje, co jednak nie zdarza się często. Tylko wtedy, gdy zaglądam jej do torebki, a ona wraca z toalety o sekundę za wcześnie. Później mówi, że już jej nie interesuje ten gnój z mojej głowy i żebym spadał. A kiedy jestem przy drzwiach, zaczyna się bać, że mógłbym naprawdę spaść, na przykład z jakiegoś wysokiego okna, i miałyby mnie na sumieniu i może z tego powodu przyjechałyby do niej telewizja i ona musiałaby o mnie opowiadać.

A więc nagle robi się miła i piękna i mówi:

— Przyjdź w przyszłym tygodniu, dobrze?

A ja potakuję. Jak zawsze.

A potem przeważnie daje mi zadanie. Że- 23

bym na przykład narysował jakiś obrazek. Jaki?

Po prostu jakiś. Na przykład drzewo. Hotel.

Chmurę. Pani doktor i tak zawsze widzi w nim coś zupełnie innego i zazwyczaj jest to związane z seksem. Albo z moimi rodzicami. Z moimi pragnieniami.

Może tak. Może teraz chcę wywalać swój gnój. Ale może zarazem nie. Może chcę tylko powiedzieć, że to nie ja miałem w szkole najgorzej. Chodził do niej też Garbus, który nie widział na jedno oko, wykrzywił mu się kręgosłup

i nie musiał chodzić na wuef. Jego mógł kopnąć każdy. Nawet ja. Pewnie, zrobiłem to. I to nieraz. Chciałem powiedzieć, że dobrze jest móc czasami kogoś kopnąć, kiedy czujecie, że ktoś ma gorzej od was. To coś jak sport. Można odreagować. Ale tak samo, jak niekiedy mogą mylić tabele ligi piłkarskiej, tak wprowadza w błąd i to. Jegr czasem mnie walnie, ponieważ myśli, że ma lepiej ode mnie. Ale ja wiem, że ma gorzej. Tak samo jak Patka. Albo Franz. Albo Ilja. Ale do nich wszystkich jeszcze dojdę.

MIĘDZY ISLANDIĄ, ORKADAMI A IRLANDIĄ

Minęło kilka miesięcy i kilka lat. Kilku rzeczy w tym czasie doświadczyłem. Na przykład leciała mi z nosa prawdziwa jucha.

Mama przestała mnie odprowadzać do szkoły więc koledzy z klasy mieli o jeden powód mniej, żeby się ze mnie śmiać. Ale i tak śmiali się ze mnie wystarczająco często. A ja miałem to gdzieś.

Tato zapisał mnie na hokej, dlatego że w zdrowym ciele mieszka zdrowy duch, a może też coś więcej. A kiedy on był młody, to też grał w hokeja. I jeszcze w szachy, na skrzypcach i wy-

grywał olimpiady chemiczne.

Nie mogę powiedzieć, żeby mi nie szło na lodowisku. Ale żeby mi szło jakoś świetnie, to też nie. Nie chcieli mnie w ataku, więc dali mnie na

bramkę. Ale jak mówiłem — nie narzekam. Taki Garbus to w ogóle z nami nie grał. I już chyba nigdy nie zagra. Garbus nie żyje od pięciu lat. Kręgosłup wykrzywił mu się tak, że zapomniał oddychać.

— Gdzie się gapisz, Chmuromirze? — krzyczeli na mnie chłopcy, kiedy puściłem gola.

Potem z kolei krzyczał na mnie tato. Tato chciał, żebym był taki jak on. Żebym grał w hokeja, na skrzypcach i chodził porządnie ubrany. Chodziłem więc porządnie ubrany. Żadnych koszulek z Sandokanem. Żadnych dzinsów. Tylko spodnie pijące w kroczu.

— Kiedy zabraknie tesilu, co będziesz nosił debilu? — krzyczeli za mną koledzy po szkole, a ja uciekałem długą ulicą do domu. Ale nie uciekałem wystarczająco szybko. W końcu mnie złapali i przywiązali do drzewa. Czekali, aż się rozbeczę.

— Zamrugaj — powiedział jeden.

25

— Zaśpiewaj — powiedział drugi.

— Zarecytuj — powiedział trzeci.

Nie dałem się wyprowadzić z równowagi.

Nawet kiedy rozpięli mi rozporek i wyciągnęli siusiaka. Wszystko wisiało już na włosku, ale, jak się mawia, stanąłem na wysokości zadania. Patrzyłem na chmury, które sunęły nisko nad ulicą. Na chmury, które niosły deszcz znad Morza Północnego, i nagle zrozumiałem. Mam na myśli wszystko, o chmurach i o mnie. Uspokoilo mnie to. Wiedziałem, że zaraz zaczną padać i chłopcy

ucieką do domu. A „zaraz” przyszło natychmiast. Lunał deszcz, chłopcy wprowadzili uciekli, ale zapomnieli mnie odwiązać. No i jeszcze przed tym każdy z nich wymierzył mi policzek. Faktem jest, że wcześniej wygadywałem o nich różne rzeczy. Znałem wszystkich, jednym z nich był Patka. Tyle że wtedy jeszcze nazywał się Luddek Beranek. I nie miał tej idiotycznej fryzury, którą kiedyś podpatrzył w telewizji. To tak na marginesie. Ale do Patki jeszcze dojdę. Stałem tam więc przywiązany do drzewa, ciekło mi z nosa, ulicą przetaczał się deszcz, woda, którą chmury zebrały gdzieś między Islandią, Orkadami a Irlandią, tam, gdzie powstają najpiękniejsze niże baryczne na świecie, naj-

piękniejsze niż baryczne mojego życia. O tym myślałem. Uspokajało mnie, że jestem zalewany wodą z takiej dali, wodą, która w chmurach przeleciała kilka tysięcy kilometrów i widziała 26 Londyn, Brukselę czy Hamburg, a w końcu spadła w Libercu i rzeką Nysą odpłynęła do Morza Bałtyckiego, później z powrotem przez cieśniny Kattegat i Skagerrak do Morza Północnego, do północnego Atlantyku, z powrotem na swój początek, z powrotem na swój koniec, z powrotem tam, gdzie fale są wielkie jak domy, a kiedy się załamują, morze jęczy, jak mi raz powiedział Franz. A on to wiedział, dlatego że latał myśliwcem nad Morzem Północnym i dwa razy skończył w tych falach, a raz nie mogli go znaleźć i niewiele brakowało, a by go tam zostawili.

Ale do Franza i do latania jeszcze dojdę. Do wszystkiego jeszcze dojdę. A przede wszystkim do samego siebie. Do środka samego siebie. Obiecuję.

STRUGI WODY

Tego dnia padał deszcz, a ja stałem przywiązany do drzewa w mieście otoczonym górami, patrzyłem na szare chmury, słuchałem wiatru i na nikogo się nie gniewałem.

Byłem spokojny. To chmury mnie uspokajały. To chmury nauczyły mnie wybaczać. Chmury, które tu były przede mną, przed wami, przed szpiczastym hotelem na naszej górze, przed komunistami, przed nazistami, przed piłkarzami i hokeistami, przed kolejarzami, paniami doktor i grabarzami, przed piosenkarzami, aktorkami i robotami, przed całą naszą historią. Chmury, 27 które tu będą, nawet jak skończy się historia. A ona się skończy. Pokazywali to w telewizji. Patrzyłem na niebo, z którego leciały strugi deszczu. Oprócz tego było cicho. I nagle ktoś się na mnie wydarł:

— Co ty tu robisz?!

To był mój tato. W tej sekundzie zdałem sobie sprawę, że jest mi zimno i że jutro chyba będę chory.

— Kto ci to zrobił?

— Normalnie nie wiem.

— Wołałeś o pomoc?

— Nie.

— Czemu nie?

— Nie wiem.

I nie wiem tego do dziś.

OBSERWATOR CHMUR

Ojciec mnie odwiązał. Szliśmy do domu, szliśmy koło pustych sklepów, które nazywały się Merkur i Dukla, szliśmy do naszego wielkiego bloku, z którego tato był dumny, dlatego że nigdzie w całym kraju nie mieszkało pod jednym dachem tylu ludzi, bloku, który wyglądał jak wielki obity kij hokejowy i ludzie też tak na niego mówili, bloku, na którego klatkach schodowych zawsze bałem się być sam. Szliśmy powoli i było mi zimno, choć tato pożyczył mi swoją 28 brązową marynarkę.

Dostałem zapalenia płuc. Leżałem w łóżku, od gorączki kręciło mi się w głowie, czułem, jakby na piersi leżał mi wielki kamień, którego nie mogłem podnieść i mama zamartwiała się z tego powodu. Kilka dni przespałem, ale zawsze się wzdrygnąłem, kiedy o wpół do szóstej rano we wszystkich pięciuset dziewięćdziesięciu czterech mieszkaniach naszego kija hokejowego ludzie równocześnie spuszczały wodę i ja nagle nic nie słyszałem, nawet tego, jak oddycham. Czy w ogóle oddycham. Słyszać było tylko huczącą wodę.

Kiedy doszedłem do siebie, patrzyłem na chmury lecące za oknami. Patrzyłem, jak goni je wiatr, i czułem, że chmury zabierają też ze mnie moją chorobę. Te chmury mnie uzdrowiły. Musiałem o nich myśleć. Bez przerwy. Ciągle. A kiedy wróciłem do szkoły, pani nauczycielka rozdała nam kartki i każdy miał napisać, kim chciałby zostać w przyszłości.

Wyszło to mniej więcej tak:

Pięciu chłopców chciało być kierowcami Formuły 1 i rozbić się na torze w Monzie. Wśród nich był też Patka.

Trzech chciało polecieć w kosmos jak Jurij Gagarin.

Dwóch chciało być maszynistami kolei transsyberyjskiej.

Następni dwaj chcieli grać w piłkę nożną w FC Torino albo chociaż w Slovanie Liberec.

Jeden chciał być śmieciarzem.

Jeden Leninem.

Jeden go przebił tym, że chciał być Stalinem.

To był Garbus.

A jeden chciał być Karlem Gottem.

Cztery dziewczyny chciały być aktorkami jak kobieta za ladą.

Trzy piosenkarkami jak Helena Vondračkova.

Dwie następne baletnicami.
Dwie inne nauczycielkami biologii i czeskiego.
A jedna chciała od razu iść na emeryturę.
A ja?

30

— Obserwator chmur? Taki zawód nie istnieje
— powiedziała nauczycielka, gdy przeczytała, co napisałem.

— Istnieje. Pokazywali to w telewizji. Tacy ludzie mieszkają w górach i całe dni patrzą w niebo.

— Znowu chcesz się ze mną kłócić, Fleischman?

— Nie, chcę tylko powiedzieć, że to normalnie praca jak każda inna. Mają zeszyty i zapisują rodzaje chmur.

— To ja piszę meteorolog — powiedziała nauczycielka i cała klasa zaczęła się śmiać. Nie wiem, co jest takiego śmiesznego w tym słowie. Ale coś musiało być. Choć może to ja byłem śmieszny. Stało się to bowiem w tym momencie. Byłem Pogodynką. Barometrem. Soplem. Termometrem. Chmuromirem. Ale jak mówiłem, i tak lepsze to niż Tesil.

AUTOSTRADA PRAGA-BRNO-NIEBO

Zastanawiam się, co się stało z ludźmi z mojej klasy. Albo kim się stali. Gott pracuje w krematorium.

Kiedyś z nim i innymi chłopakami podpaliłszy traktor na budowie szkolnej sali gimnastycznej. To on nad bakiem odpalił zapalniczkę. A przedtem wrzucił do niego lont. Nieźle się fajczyło. Strażacy przyjechali w sześć i pół minuty. Wziąłem to tym razem na siebie, dlatego że nic

innego mi nie pozostało. Wszyscy uciekli. Wyrzucili mnie z pionierów, ale było mi wszystko jedno. Tylko tacie nie.

Gott mówił, że jakbym kiedyś czegoś potrzebował, to żebym się do niego zwrócił, że zrobi dla mnie absolutnie wszystko ze względu na starą przyjaźń. Powiedziałem mu, że pięknie dziękuję, że może kiedyś się odezwę. No i się odezwał. Ale do tego jeszcze dojdę.

A reszta? Vondračková pracuje w szpitalnej stołówce. Patka nie został Fittipaldim tylko kelnerem u nas w Grandhotelu. Lenina dwa lata temu potrafiła ciężarówką na autostradzie Praga—Brno—Niebo. Pokazywali to w telewizji. Nie

był to przyjemny widok. Ciężarówka wiozła dwie tony plastikowych blond lalek, które wysypały się na drogę. A między nimi leżał połamany Lenin z głową obróconą do góry. Padał na niego śnieg. Stalin Garbus też jest martwy. Ale tak poza tym to wszyscy żyją i dobrze im się wiedzie. Akurat ostatnio spotkałem na ulicy Śmieciarza. Naprawdę nim został. Spełniło się jego marzenie. Miał pomarańczowy kombinezon, palił papierosa, przeklinał swoją żonę, pluł na swoje śmieciarskie życie i nie poznał mnie, nawet jak go pozdrowiłem.

Gdyby było inaczej, pewnie by mi nie powiedział:

— Odwal się, palancie.

Ale może by to powiedział, nawet gdyby mnie poznał. Nie odpowiedziałem i poszedłem

normalnie dalej. Kupiłem sobie lemoniadę. A w sklepie zwinąłem nowe wydanie „Pięciu tygodni w balonie”. To tak na marginesie.

MIMIKRA

Nigdy nie zostałem meteorologiem. Nie wiem, czy to wina naszego rodzinnego wypadku. Może to tylko moja wina, jak mówi moja pani doktor. Mojego strachu przed odejściem. Niemożności odejścia. Niemożności osiągnięcia czegokolwiek. Może dlatego wkurzam się na świat wokół mnie. A przede wszystkim na samego siebie. Tyle że nie daję tego za bardzo po sobie poznać. Pani doktor mówi na to mimikra. Ale chmury mnie nie opuściły. Wszystkie wydarzenia pamiętam dzięki chmurom, pogodzie, dlatego że z pogodą wiąże się absolutnie wszystko. Dlatego wszystko zapisuję. Temperaturę. Ciśnienie. Kierunek i siłę wiatru. Kształty i rodzaje chmur. Opady. Po prostu wszystko, co ważne, jeśli chce się rozumieć pogodę, jeśli chce się zrozumieć, w jakim kierunku kręci się świat. Na drzwiach pokoju mam wielki wykres. Niebieskie, czarne i czerwone linie, notatki. To jest mój świat. Mój dziennik. Mój rozkład jazdy. Wiem, jak było na dworze, kiedy po raz pierwszy zbili mnie starsi chłopcy. Kiedy ja po raz pierwszy pobitem młodszego chłopca. I Garbusa. Kiedy mi pierwszy raz stanął. Kiedy

pierwszy raz zrobiłem sobie dobrze. Kiedy mnie przyjęli do szkoły hotelarskiej. Kiedy mnie z niej wyrzucili. Kiedy dostałem żółte papiery. Wiem, to wszystko brzmi jak wariackie ga-

danie. Może jestem wariatem. Nie jesteście jedynymi, którzy tak myślą. Na przykład Jegr. Albo Patka, który w dodatku uważa, że jestem głupkiem. Albo moja pani doktor, która udaje, że chce mnie zrozumieć.

Może jestem chory. A może nie, może chory jest świat wokół mnie, choć uznaję, że szanse na to, że tak jest, są niewielkie.

— Każdy ma to, na co sobie zasłużył — twierdzi Jegr i może ma rację.

Jedno wiem na pewno: chmury nie są niczemu winne. Chyba że te, które mam w głowie.

TORNADO ZE WSCHODU

Nie, koledzy z klasy za bardzo mnie nie lubili. Nauczyciele też nie. Na przykład taka nauczycielka plastyki. Był maj i malowaliśmy wyzwolenie. Radzieckie czołgi z czerwonymi gwiazdami, żołnierze z karabinami, bzy, martwi Niemcy. Nauczycielka chodziła między ławkami i zatrzymywała się dokładnie nade mną.

— Nie dymi ci ten czołg za bardzo?

— To nie jest dym.

— A co to jest?

— To jest chmura.

33

— Jak to chmura?

— Nad tymi czołgami wiszą chmury. I nad tymi ludźmi też. Normalnie idzie burza. Zimny front.

— Jaki zimny front?

— No normalny — z zachodu, jak zawsze. To znaczy, czasem też przychodzi zimny front ze wschodu, ale raczej rzadko. Ale w sumie jak już przyjdzie, to fest. Wtedy są najmocniejsze burze. Czasem robią się nawet tornada.

— Tornada ze wschodu? Sam na to wpadłeś?

— Nie. Pokazywali to w telewizji.

— A co to jest? — nauczycielka wbiła palec w obrazek. Spod gąsienicy jednego z czołgów wystawała ludzka głowa. — Jakiś niemiecki żołnierz?

— Nie, to mój dziadek. Przejechany.

— Przejechał go radziecki czołg?

— Tak.

34 Nauczycielka wzięła moją kartkę i zniknęła za drzwiami. W klasie wybuchło powstanie. Krzyk, kuksańce, wiwaty. Normalnie jak w maju 1945 roku w Pradze. Mówię w Pradze, bo Niemcy w Libercu raczej nie wiwatowali, kiedy do miasta wjechały rosyjskie czołgi, żeby im powiedzieć to, o czym sami już i tak od dawna

wiedzieli: kaniec filmu, szlus, ende.
Potem czołgi wjechały też do naszej klasy. Właściwie jeden czołg. Nasza dyrektorka. Z obrzydzeniem niosła mój obrazek w dwóch palcach.

— Za to towarzysze umierali na froncie? Za to przelewali krew od Buzuluku do Pragi? Żebyś sobie żarty z nich stroił? — krzyczała dyrektorka.

— Dzienniczek ucznia — powiedziała nauczycielka.

— Au — powiedziałem ja, ponieważ w tym momencie ktoś z tyłu ukłuł mnie cyrklem. To był Gott.

— Co by na to powiedział towarzysz Śverma? Ty plujesz na bohaterów! — wysapała dyrektorka.

— Ty plujesz na tych, którzy pluli krwią, żebyś mógł być tym, kim jesteś. A ty kim jesteś? Kim jestem, w końcu mi nie powiedziała.

KRYZYS

Tato o mało nie zwariował. Chodził w tę i w tę po kuchni z dzienniczkiem w ręce, poluzowywał brązowy krawat, mówił o tym, jak dyrektorka zadzwoniła do niego od razu do pracy, jak musiał się za mnie wstydzić, i w kółko powtarzał tych kilka słów, które nauczycielka napisała w dzienniczku: „Wyśmiewa się z wyzwolicieli naszej ojczyzny.”

Chciał mnie uderzyć. Nie udało mu się. Schowałem się pod stół. Ale i tak się bałem.

Tato walnął dzienniczkiem o stół i powiedział do mamy:

— Ma szczęście, że zaraz mam zebranie.

— Jaki będziesz? — zapytała mnie mama, gdy tato poszedł.

— Grzeczny.

— Tak. Dobrze.

Nigdy nie zrozumiałem, co tato robi. I co takiego bierze. Jak zwykle odniosłem wrażenie, że zamiast zebranie powiedział branie. Ale może tylko mi się wydawało.

Tato ciągle miał zebrania. Nie wiem, dlaczego. Nigdy mi nie powiedział. Ale z drugiej strony nigdy nie zapytałem. W ogóle mało go pytałem. Tylko mamę. A ona też za bardzo go nie wypytywała.

Czasami przed zebraniem zamykał się w łazience, w której było wielkie lustro. Mama mówiła, że uczy się wystąpienia przed zebraniem,

ale według mnie normalnie tam rozmawiał ze sobą, jak to czasem ludzie robią, kiedy są sami. Jak na przykład ja.

36 Może samotność jest jedyną cechą, którą po nim odziedziczyłem. O ile samotność może być cechą, ale myślę, że tak, choć moja pani doktor trochę na to kręci głową. Ale nie widzę nic złego w tym, że komuś do życia wystarczą tylko zebrania. Mnie też wystarczy tylko pogoda. W końcu pogoda też jest trochę jak zebranie, czasem cisza, czasem burza. A wielkie zebranie to niekończący się zjazd chmur, błyskawic, deszczu, wiatrów, ciśnienia, temperatury, po prostu wszystkiego, co determinuje, niszczy i ratuje życie. Wasze i moje.

Jak mówiłem, tato miał wprawdzie nas i zebrania, ale tak naprawdę nie potrzebował nikogo. Tak samo jak ja. Z łazienki dochodziły słowa utrzymać, zamknąć, zewrzeć albo tradycja, rewolucja, nauka czy kryzys. To tak na marginesie. Potem zniknął na zebranie i mama czekała na niego do późnej nocy w kuchni.

Ciągle na niego czekała. Z obiadem. Z kolacją. Z drugą kolacją. Ale nie mogę powiedzieć, żeby się nie kochali. Czasem przynosił jej goździka, czasem przez chwilę wzdychali za drzwiami sypialni, a ja nie mogłem zasnąć. Raz wstałem i poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Pewnie, nie powinienem był tego robić, ale pani doktor mówi, że to normalne. Że dzieci są ciekawskie. To, co zobaczyłem, mógłbym różnie opisać, ale nie powiedziałbym, że było to piękne. Przede wszystkim było to głupie. Tacie pierzyna zjeżdżała z pleców, a mama trzęsła się pod nim. Szybko stamtąd uciekłem. Próbowałem zasnąć, ale nie spałem do rana. 37

Na podstawie tego, co powiedziałem, można by dojść do wniosku, że tato mnie nie kochał. Ale to nie jest takie proste.

Zabierał mnie do zoo i do muzeum. A kiedyś za świadectwo kupił mi rakieta, w której Gagarin obleciał świat, w tym nasze miasto.

Mama robiła innym kobietom fryzury. Trwała ondulacja, rude, blond — jakie akurat były w modzie. Te kobiety przychodziły też do nas, do bloku, który wyglądał jak wielki kij hokejowy,

a którego klatek schodowych się bałem, a kiedy wychodziły, zakładały na głowę plastikowe worki po mleku na wypadek, gdyby zaczęło padać. A padać zaczynało prawie zawsze, bo nasze

miasto żyje z deszczu.

I jeszcze coś: kuchnia była zawsze pełna włosów. Podobało mi się, jak spadają, jak panie i panny łąpały się za włosy i cieszyły, ile mama im ich obciąła i jak ładnie. Patrzyłem, jak je strzyże, a ona czasem spojrzęła na mnie i było mi dobrze. Kiedy odprowadzała swoje klientki do drzwi, kradłem resztki włosów i potajemnie je wachałem. Niektóre pachniały słońcem, niektóre rozpuszczalnikiem. Niektóre śmierdziały. Jęgr mówi, że przede wszystkim baba powinna facetowi pachnieć. Może coś w tym jest. Ale do tego jeszcze dojdę.

38 HISTORIA DLA PANI DOKTOR

A teraz wam powiem to, co zawsze opowiadałem pani doktor i ludziom, którzy chcieli tego słuchać. Jedną historię, która być może miała trochę inny przebieg. A raczej na pewno miała inny przebieg.

Zatem jest to historia, którą uwielbia moja pani doktor i przy której zawsze się wzrusza: Tego dnia nie chciało mi się nigdzie jechać. Tego dnia niebo było błękitne, niezwykle błękitne. Wysoko rozciągały się długie fale drobnych

chmur pierzastych, które wyglądały jak chorągwie z porwanego białego płótna. Chmura pierzasta to inaczej cirrus. Wisi bardzo wysoko, dziesięć razy wyżej niż szczyt Ještědu, i jest z lodu, z bardzo małych kawałków lodu. Chmury pierzaste sygnalizują zmianę pogody. Na przykład ciepły front. Sytuacja jeszcze przez kilka dni może być spokojna, ale potem to nadchodzi, wszystko się zmienia.

To tato zdecydował, że kupimy auto. Małe pomarańczowe auto. Przywieźli je z miasta Mlada Boleslav. Po raz pierwszy widziałem go, jak się uśmiecha. Że się cieszy. Ja też się cieszyłem. Kupił sobie brązowe skórzane rękawiczki do auta, tak samo brązowe jak jego garnitury i buty. Na pierwszą wycieczkę wystroiliśmy się jak na wesele. Albo na pogrzeb. Mama nasmażyła kotletów i naląła herbaty do plastikowych butelek, które śmierdziały octem. Uczesała się. Mogliśmy ruszać.

Wsiedliśmy do auta.

— To gdzie jedziemy? — spytała mama.

— Wszystko jedno. Po prostu gdzieś. Gdzie chcecie? — zapytał tato.

— Gdzie chcesz? — mama odwróciła się do mnie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo do tej pory nigdy nigdzie nie byłem. Powiedziałem więc:
— Mnie też jest wszystko jedno.
— No to przejedziemy się po okolicy — powiedział tato.

Wyjechaliśmy. W szybie odbijały się domy, drzewa, semafony, ludzie na przejściach dla pieszych i chmury. Jechaliśmy przez miasto, powoli zbliżając się do jego krańca. Wjeżdżaliśmy pod górkę, ponieważ jeśli chce się opuścić nasze miasto, trzeba zawsze jechać do góry, przedostać się przez wzgórze, bo dopiero za nimi zaczyna się świat. Nieskończoność. Zbliżaliśmy się do tablicy, która oznajmia koniec naszego miasta i początek świata.

Samochód jechał powoli, mama głaskała tatę po ramieniu, a mnie chciało się spać. Może nie byłem jedyny.

Nie zauważyłem tej rosyjskiej ciężarówki. I myślę, że tato też jej nie zauważył. Ani mama. Wyleciałem na zewnątrz przez wyrwane drzwi. Nic mi się nie stało. Nikomu nic się nie stało.

Było cicho, całkowicie cicho.

Rodzice wyglądali, jakby byli pogrążeni we śnie. Tylko żołnierze, którzy wyskoczyli z pojazdu, nie spali. Biegali i machali rękami. Oficer wyciągnął kierowcę ciężarówki, który nie dał nam pierwszeństwa, i wlepił mu policzek na oczach wszystkich tak mocno, że żołnierz upadł. Trzymał się za głowę, a oficer go w nią kopał.

Rodzice wyglądali, jakby spali i być może ja też tak wyglądałem, ponieważ kiedy człowiek śpi, to nic nie mówi ani nie krzyczy, a ja nic nie słyszałem, tylko czułem, że z samochodu cieknie benzyna i że na rękach i na brzuchu mam rozlaną śmierdzącą octem herbatę.

Było cicho, całkowicie cicho. Patrzyłem na nasze zgniecione auto, które uderzyło w tę tablicę oznajmianą koniec naszego miasta, za którą zaczyna się świat, nieskończoność, której w tej chwili zacząłem się bać. Tato spał z głową na kierownicy, a mama leżała na desce rozdzielczej. Włosy zakrywały jej twarz, a ja odnosiłem wrażenie, że kilka jej jasnych włosów chwyta prawie niewidoczna ręka i unosi je w dal. Ale może to był tylko wiatr. Siedziałem na skraju drogi, patrzyłem, jak wyciągają mamę i tatę z samochodu, jak próbują obudzić ich ze snu, jak przyjeżdża karetka, jak lekarz dotyka ich szyi i patrzy im w oczy. A potem poczułem coś mokrego w nosie, coś, co zaczęło

mi z niego ciec.
Wytarłem się.
To nie była krew.
To był katar.
Zwykły katar.

I ten katar został mi już na zawsze.

41

Ciekło mi z nosa, podszedł do mnie jakiś żołnierz, dał mi chusteczkę i przypinkę, na której była radziecka flaga i mała rakietka. Mówił coś do mnie, ale ja go nie słyszałem. Wziąłem przypinkę i chciałem coś mu powiedzieć, może podziękować, może spytać, co tu robi i co ja tu robię, ale nic nie powiedziałem. Poruszyłem ustami i odkryłem, że przestałem mówić. Patrzyłem na ludzi wokół. Na tablicę z końcem naszego miasta i może po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że nigdy jej nie przekroczę. Zrobiło mi się zimno.

Pani doktor mówi, że bardzo ładnie opowiadam tę historię. Że jest ona bardzo ważna. A ja wiem, że potem zawsze złapie mnie za rękę. Ale jak mówiłem: może to wszystko było trochę inaczej. Właściwie na pewno wszystko było inaczej.

PIGUŁKI I INNE PIGUŁKI

Czy już było tak czy inaczej, szybko zacząłem słyszeć. Ale nie mówić.

Milczałem miesiąc, a potem kolejne trzy. Milczałem, mieszkałem w centrum miasta w wielkim odrapanym domu pełnym skrzywionych ludzi, starych i młodych i tak samo milczących jak ja. Czułem, że wszystko dookoła mnie jest tylko snem. Błądziłem po wielkim ogrodzie, zasypanym pod wysokimi drzewami, smarkałem, połykałem małe pigułki, po których inni zasypiali, ale ja całkiem przestałem spać. A kiedy to do mnie doszło, kiedy uświadomiłem sobie, że jestem sam i że nie będę w stanie nigdy nigdzie dotrzeć, że sam siebie zamknąłem w naszym mieście, poczułem złość. Rozwaliłem krzesło. Umywalkę. Lustro. A potem chciałem rozwalić sobie głowę. Waliłem nią w ścianę, biłem w ścianę własną głową, aż połała się krew. Prawdziwa krew. Musieli mnie zwięzać. I dali mi inne pigułki. Podziały.

Chodziłem po ogrodzie zniszczonego domu i patrzyłem na srebrny Grandhotel na górze.

Wciąż milczałem, ale zacząłem czytać. Przede wszystkim mapy. Geograficzne, historyczne, meteorologiczne. Przede wszystkim meteorologiczne. Odnosiłem wrażenie, że jest na nich na-

rysowane absolutnie wszystko, że jak ktoś zna te mapy, to zna cały świat, że ten, kto rozumie rozkład jazdy chmur, nie musi już o nic pytać. O niczym myśleć. O nikim.

Zacząłem zapisywać pogodę. Rozpocząłem pierwsze strony mojego rozkładu jazdy. I znów zacząłem mówić.

Jedna pielęgniarka powiedziała mi, że już nigdy nie zobaczę rodziców. Spytała, czy to rozumiem. Czy wiem, co to znaczy. A ja wiedziałem, że chce, żebym coś powiedział, że ma dosyć, że chce iść do domu, kupić warzywa, zrobić klopsy i otworzyć staremu piwo, że chce mnie mieć z głowy.

Powiedziałem więc:

— No.

43

Ona mnie pogłaskała i powiedziała:

— Grzeczny chłopiec.

Wzięła swój cienki brązowy płaszcz, zarzuciła go sobie na ramiona i w drzwiach jeszcze się odwróciła, uśmiechając do mnie. To tak na marginesie.

TABLICA PAMIĄTKOWA

Jak długo byłem w tym domu?

Rok.

Gdyby to zależało ode mnie, spokojnie zostałbym tam dłużej. Ale przyszła po mnie baba z socjalu. Wyglądała jak trup. Powiedziała, że mam szczęście. Że wprawdzie nikogo nie mam, ale jedna sąsiadka sobie przypomniała, że jest człowiek, który mógłby być moją szansą.

— Szansą na porządne życie — powiedziała wprost. O nic nie pytając, spakowała moje rzeczy do wielkiej reklamówki. Był na niej obrazek trzech tygrysów z ogrodu zoologicznego.

Potem wzięła mnie za rękę. Poszliśmy na autobus.

— Naprawdę nigdy nie widziałeś tego kuzyna? — spytała.

— Nie.

44 Wysiedliśmy przed centrum handlowym.

Baba ciągnęła mnie za rękę. Niebo było szare, tak samo jak jej sukienka. Zakrył je ogromny altostratus. Przód ciepłego frontu. Ciepły front przynosi nieustanne deszcze. Ciepłe powietrze wypycha zimne. Potem przychodzi ocieplenie. Zimny front przynosi gwałtowne opady. Burze. Zimne powietrze wsuwa się pod ciepłe i wypycha je do góry. Potem przychodzi ochłodzenie. Wszystko jest niespokojne.

Mijaliśmy plakaty. Program kina. Jakieś hasła.

Tablicę pamiątkową. Najlepszych pracowników.

Wśród nich zauważyłem twarz swojego taty. Ale może to był inny tato. Ojcowie byli wtedy do siebie podobni, jak zresztą wszystko. Wszyscy nosili takie same garnitury, krawaty, bieliznę i fryzury z przedziałkiem. Wszyscy mieli takie same okulary i tak samo mówili.

TRZY KILOGRAMY POMARAŃCZY

— Jest pan kierownik? — spytała baba, gdy weszliśmy do spożywczego.

— Chyba gdzieś na zapleczu — powiedziała sprzedawczyni, a dwie inne zachichotały. — No, na zapleczu. Ma zebranie. Hihih.

Od słowa zebranie trochę zakręciło mi się w głowie.

— Nie zajmujemy mu dużo czasu.

Baba ciągnęła mnie na zaplecze wzdłuż regałów. Dwa rodzaje musztardy. Mielonka. Ogórki. Piwo. A na końcu drzwi. Baba zapukała. 45

— Moment — ktoś się odezwał.

Potem drzwi się otworzyły i wyslizgnęła się z nich piękna dziewczyna w rozpiętym niebieskim płaszczu. Przed oczami mignął mi biały stanik. Wyszczrzyła się na babę, a mnie pogłaskała po głowie. A potem zobaczyłem go po raz pierwszy w życiu. Dłonie miał tłuste od salcesonu, który kroił na stole. Umył je pod kranem i wytarł w biały płaszcz, pod którym miał tylko podkoszulek. Więc to był on. Jegr. Winnetou

Jegr. Mój nieznajomy kuzyn. Mój wybawiciel od domu dziecka i poprawczaka, który robi z ludzi przestępców. Tak przynajmniej mówiła baba.

— Przywitaj się — powiedziała.

Chciałem się przywitać, ale w końcu tylko skinąłem głową.

— Chodź tu — powiedział Jegr i trochę ściszył radio, w którym szumiała transmisja meczu piłkarskiego. — Jak się nazywasz?

— Fleischman.

— Ja jestem Jegr. Pokaż uszy.

Pokazałem mu uszy.

— W porządku. Nigdy nie zapominaj myć uszu. Mówi pani, że dostanę za niego sześć stów?

— zwrócił się do baby.

— Nie za niego, na niego — powiedziała i zrobiła minę pełną zrozumienia.

— Ale co miesiąc, się wie, nie?

46 - No tak.

— No to gra gitara.

Baba nachyliła się w stronę Jegra i coś mu szeptała do ucha. Usłyszałem tylko rodzice, dziwny, pigułki, potem poradnia, głowa, lękliwy i na koniec samobójstwo, wrażliwy i katar.

— Wrażliwy, niewrażliwy, ale chustki to se będziesz sam prał, zrozumiano? — powiedział Jegr. Baba mnie szturchnęła, a ja kiwnąłem głową.

— To dobry chłopiec. Tylko trochę zamknięty w sobie. Ale będzie panu przepowiadał pogodę.

Jest lepszy niż pogodynka. To znaczy, dokładniejszy — powiedziała baba i zapytała:

— Nie przywieźli wam pomarańczy?

— Przywieźli, nie przywieźli... Zależy, kto pyta. Moment!

Jegr wciągnął się i podkręcił radio. Stadion krzyczał „gooooool”.

No i Jegr też zaczął krzyżeć:

— Goooo! Mówiłem! Taktaktak! Wszystkich wrogów pokona tylko z Liberca Slovan! To ile tych pomarańczy, proszę panią?

— Trzy kilo? Ale to nie są kubańskie?

— Dla pani z Hiszpanii, proszę panią. Same się obierają.

Jegr zniknął na chwilę, baba pogłaskała mnie po głowie i powiedziała:

— Nie martw się. On zna się na dzieciach. Trenował młodzików.

Jegr wrócił i podał babie torbę z pomarańczami.

Baba zapłaciła i podała Jegrowi torbę z moimi rzeczami. I było po wszystkim. Torba za torbę. Byłem przehandlowany. Za pomarańcze. Interes życia.

47

OCZY I PIORUNY

Ta dziewczyna z długą szyją pojawiła się w naszym Grandhotelu niczym mgła. Bo tylko mgła porusza się tak cicho. Niczego się człowiek nie

spodziewa i nagle jest wszędzie dookoła. I można się w niej zgubić. Ja się zgubiłem. Przyszła do nas, kiedy wiosna przechodziła w lato. Kiedy ja już dawno wiedziałem, że nie mogę tu zostać i kiedy już wpadłem na to, jak się stąd wydostać. Ale do tego jeszcze dojdę.

Przyznaję, że też zaskoczyłby mnie czyjś widok w takiej sytuacji. W takiej pozycji. Z ręką na rozporku. Czy raczej w rozporku.

Kłęczałem na korytarzu i zaglądałem do po-

koju przez dziurkę od klucza. Nic strasznego. Zwyczajna kontrola, czy wszystko gra. Jęgr też tak robi. I to dużo częściej niż ja. A potem mi jeszcze o tym opowiada. Można to robić, ale raczej nikt nie powinien was widzieć.

W pokoju dokazywała parka prażaków. Mięśniak i glista. Mięśniak lizał glistę, która leżała na dywanie, wierciła się, gryzła się w dłoń i jęczała. A potem mu powiedziała, żeby zrobił kochania. I on zarżał. Głośno. Pewnie, że trochę mi się to spodobało. Ale pani doktor nigdy bym tego nie powiedział.

W tym momencie, kiedy mięśniak zamienił się w konia i rżał i kiedy glista ugryzła się w dłoń trochę mocniej, ktoś nade mną chrząknął. Poczulem mgłę. To była dziewczyna z długą chudą szyją. I krótkimi rudymi włosami. I szczupłym ciałem, jakie mają raczej chłopcy niż dziewczyny. I oczyma, które z pewnością nie wyrażały tego, co pani doktor nazywa zrozumieniem. Współczuciem. Miłością. Jej oczy ciskały pioruny.

— Co pan tu robi?

— Nic. Co pani tu robi? — Wstałem i zapiąłem rozpiorek. I chyba trochę się zaczerwieniłem.

— Ja tu pracuję.

— Co? Ja też tu normalnie pracuję.

— Niewidzialna ręka to także pan?

— Co to ma znaczyć?

— To ja się pytam, co to ma znaczyć?

— Ja tylko normalnie kontroluję.

— No jasne.

— Czy na przykład się normalnie nie pali.

— A pali się?

Nie zdążyłem nic powiedzieć.

Dziewczyna mnie odepchnęła i zapukała do drzwi:

— Śniadanie.

— Moment — odezwało się w środku. Wyobrażałem sobie, jak glista szuka swojego stanika i jak mięśniak chwytą slipy, których ja nigdy nie nosiłem, bo noszę bokserki. Czerwone, niebieskie i pomarańczowe bokserki. 49

Drzwi się otworzyły i dziewczyna weszła do środka.

Wycofałem się na schody. I zbiegłem na dół, żeby popatrzeć na chmury. W sensie, że miało mnie to uspokoić.

W recepcji nikogo nie było, a ja czułem się, jakby ktoś mnie walcem przejechał. To ona mnie przejechała. Jęgr stał przy drzwiach i zdrapywał paznokciem naklejkę z napisem „Kelnerkę

do pracy przyjmę". Rozmawiał o czymś z Patką,

który pokazywał mu małą, zieloną buteleczkę. Jęgr kiwał głową, a potem spojrzał na mnie. Musiał to zauważyć. Mam na myśli wszystko.

— Gdzie ty łazisz, Waligrucho? Wyniosłeś już popiół?

— Właśnie idę.

— Jest list do ciebie w recepcji.

— Z telewizji?

— Nie, z Niemiec.

Kiwnąłem głową i wiedziałem, że to będzie jeden z tych listów, których nie otwieram i nie czytam. Które od razu wrzucam do skrzynki po bananach pod łóżkiem. Te banany przyjechały z Kostaryki. A tych listów mam dokładnie sto trzynaście.

ROZKŁAD JAZDY

50 A więc to jest mój dom.

Tak wygląda mój pokój: długi na pięć i pół metra. Na trzy szeroki. Dwa metry trzydzieści do sufitu. Łóżko, szafa, dwa małe okna, a pod nimi nasze miasto. Pod łóżkiem skrzynka z listami, których nie czytam. Stół. Krzesło. Półka z książkami. Trzy wydania Pięciu tygodni w balonie. Meteorologia. Fizyka chmur. Stolik nocny. A na nim chusteczki.

No i wentylacja. Dzięki niej nigdy nie jestem sam. Słyszę wiatr na zewnątrz i w środku. Rury niosą mi z pokojów i recepcji głosy i jęki,

a z kuchni smród jedzenia. Ale może to wszystko mi się tylko wydaje. Może to są dźwięki i smrody w mojej głowie.

A więc to jest mój dom. Tutaj co rano otwieram sobie lemoniadę, zjadam wafelka i zapisuję, jak jest na dworze. Potem jeszcze na moment się kładę, wyciągam kilka zdjęć i przez chwilę na nie patrzę. Na tych zdjęciach jest pogodynka z telewizji, która przechadzając się przed kamerą interesująco kręci tylną częścią ciała. Może dlatego też jej prognozy są całkiem pokręcone i muszę do niej pisać. A z telewizji przysyłają mi odpowiedzi, ale w kopertach zamiast listów są tylko jej zdjęcia. Z autografem. Mam siedemnaście identycznych zdjęć.

Pogodynka siedzi na stolku barowym z nogą założoną na nogę. Ma na sobie krótką czerwoną spódniczkę, czarne czółenka i czerwony sweter. Jeden guzik jest rozpięty. Jedną rękę trzyma na kolanie, drugą przeczesuje sobie włosy. To mi

przypomina inny gest. Widzę swoją mamę na przejściu obok szkoły, jak przeczesuje sobie ręką włosy i nie wie, że na nią patrzę. Ale pogodynka inaczej dotyka swoich włosów. Nie ot tak. Nie czysto. Nie przypadkowo. Przeczesuje je dla fotografa. I dla mnie.

Włosy opadają jej na ramiona. Ma szeroko rozstawione niebieskie oczy. Policzki jej się błyszczą, jak pokropione olejem. Usta też. Zawsze skupiam się na tych ustach. I na tym, jak przeczesuje włosy dla fotografa. I dla mnie. I myślę

też o tym rozpiętym guziku. Może piersi też się jej błyszczą. Nie widać ich. Ale ja tak je sobie wyobrażam. Patrzę na jej zdjęcia i sobie trzępię. Poleruję piorunochron, jak mówi Jegr. I potem jest mi przyjemnie.

A więc to jest mój dom. Moje królestwo.

Najważniejsza jest ściana. Na niej wisi mój wykres. Rozkład jazdy wszystkich chmur i wiatrów. Mój rozkład jazdy. Moja linia życia.

Pani doktor mówi, że życie powinno mieć jakiś sens. A Franz mówi, że człowiek powinien mieć w życiu cel. Posłanie. Mają recht. To jest właśnie to: sensem, celem i posłaniem mojego życia jest ta ściana z papierem w kratkę. Pani doktor mówi, że nie jest to nic, ale że to też nie jest nic wielkiego, że jak koncentruję się na chmurach i pogodzie, to tylko próbuję sobie coś zrekompensować, ale co takiego, tego ona nie wie, a co dopiero ja. Obiecała mi, że razem do tego dojdziemy, tylko muszę się starać i wszystko jej mówić.

Ale ja i tak wiem swoje.

A przede wszystkim mam to gdzieś.

Ważne jest to: mogę spojrzeć w przeszłość i zobaczyć, jak było 30 stycznia 2000 roku, kiedy Patka wrócił z Ameryki i przywiózł sobie nowe auto. Albo 24 lipca 1998 roku, kiedy Franz skręcił kostkę na rynku i cieszyłem się, że przez chwilę będzie z nim spokój, ale on dalej chciał walczyć ze współczesnością, więc musiałem go wozić po mieście w niebieskim wózku, którym

wywożę hotelowe śmieci, i razem z nim szukać domu, w którym mieszkał jego kolega z klasy Alois. Wiem, jak było 8 czerwca 1998 roku, kiedy przez nasze miasto przeszła ogromna burza, która zmiotła trzy domy, przewróciła pociąg i rozbijała nasz Grandhotel tak strasznie, że Jegr zaczął się modlić, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Ja też się bałem.

Jest tu nie tylko pogoda, ale też wszystkie osobiste burze, odchylenia, ciśnienia, strachy. Sto dwadzieścia frontów atmosferycznych, które co roku przechodzą przez nasz Grandhotel i nasze miasto, frontów chmur, które zatrzymują się pomiędzy górami jak w kleszczach i zrzucają na nas śnieg, pioruny, grzmoty, grad i deszcz. Przede wszystkim deszcz. Nigdzie w Europie nie pada tyle, co tu. Przynajmniej nie w Europie Środkowej. Albo Europie, którą znam. Pewne jest to, że na nasze miasto mówi się „nocnik Europy”. To tak na marginesie.

53

SEN

Prawie nie śpię, ale jak usnę, często wraca do mnie jeden sen: idę po pustkowiu, idę całkiem sam, nie wiem dokąd, po prostu idę ciągle do przodu, nikt na mnie nie krzyczy. Nie jest zimno ani gorąco, nie jestem głodny ani spragniony. Idę po pustkowiu i jestem szczęśliwy, absolutnie szczęśliwy, tylko muszę uważać, gdzie stawiam

kroki, bo pustkowie jest pełne dziur i muszę się skupić, żeby do nich nie wpadł. I nagle czuję, że to pustkowie jest tym, co nazywa się niebem. Nie chodzi mi o to niebo nad nami. Chodzi mi o niebo Niebo.

W dziurach pustkowie widzę przelewające się białe chmury, a pod nimi czuję nieboskłon, a pod nim domyślałam się, że jest ziemia, którą opuściłam. Spoglądam w górę i nie widzę nic, jedynie nieskończoną pustkę. Nie ma koloru. Ani zapachu. Ani nic w tym stylu.

Jestem szczęśliwy.

Nagle jednak potykam się i spadam. Lecę w dół przez chmury, widzę ziemię, widzę miasto, którego nie potrafiłam opuścić, widzę dom, w którym mieszkaliśmy, widzę klub pionierów, z którego mnie wyrzucili, widzę swoją szkołę, której nie skończyłam, widzę ratusz z rycerzem, który miał chronić nasze miasto przed wrogami, 54 ale oni zawsze byli już w środku, i w końcu widzę też nasz Grandhotel, skrzący się na górze jak kosmiczny penis zalany słońcem.

Widzę wszystkich ludzi z Grandhotelu mojego życia, z wszystkich jego pokoi, również z tych, których nigdy nie otworzyłam. Widzę całe swoje życie, dziadków, rodziców, szkolnych kolegów, Jegra, Patkę, babę, Garbusa, widzę, jak się uśmiechają i jak biją mi brawo, a ja spadam z nieba i wiem, że to jest mój koniec,

bo nie mam spadochronu. Ani żadnego pomysłu, zaklęcia, żadnego magicznego słowa, które

mogłoby zatrzymać mój upadek. Ale jestem spokojny i szczęśliwy, bo byłem na górze i wiem, jak wygląda Niebo.

Spadam i równocześnie czuję, że się unoszę.

W ogóle się nie boję.

ZACHMURZENIE UMIARKOWANE

Pamiętam to jak dziś.

Siedziałem w recepcji, oglądałem reklamy w telewizji i opowiadałem Jegrowi swój sen. Jegr oglądał razem ze mną, milczał, dłużył w nosie i czyścił ołówkiem uszy, których ja według niego nigdy nie nauczyłem się porządnie myć. Miał na sobie dres bramkarza Slovanu. Ponoć niezły z niego gość.

— Widać, że jeszcze jesteś szczaw — powiedział mi nagle.

— Mam prawie trzydzieści lat. 55

— Tym gorzej. W twoim wieku taki Gagarin już był prawie martwy. W twoim wieku nikomu się już nic nie śni.

— Wszystkim się normalnie coś śni, to naukowo udowodnione.

— No to mi udowodnij.

— Ja panu nie muszę nic udowadniać. Pokazywali to w telewizji.

— Tam to pokazują różne bzdury.

— Musi pan normalnie uwierzyć na słowo. To wszystko.

— Ale ja nie wierzę. Według mnie sny w ogóle nie istnieją, to tylko wymysły. Sen to nie jestem ja ani ty, ani ta durna buda. Sen nie jest materialny. Warzy zero, nic, nul. A to, co niematerialne, nie istnieje. Sny są tylko dla dzieciaków.

— Większość snów człowiek normalnie zapomina. Śnią mu się, a potem mu się wydaje, że nic mu się nie śniło. Ale sny, które człowiek zapamiętał, musi pamiętać, bo te chcą mu coś przekazać.

— Mówisz, że sny są czymś w rodzaju telefonu? Albo telewizji, co? Że jakieś fale? Znowu chcesz robić fale?

— Nie wiem.

— Ja bym chciał ci łaskawie przekazać, żebyś już przestał chrzanić takie głupoty. To, co jest, jest, a czego nie ma, to nie ma. Masz już we łbie jasność, Waligrucho?

— Raczej zachmurzenie umiarkowane.

— Ty to serio jesteś walnięty.

56 - Sny są ważne.

— Tak? I co jeszcze?

— Pogoda.

— Ja ci powiem, co jest ważne — bara bara.

— Może tylko dla pana.

— Dla każdego. Dla każdego normalnego człowieka. Ja ci powiem, co mi się śni — Jegr wskazał na telewizor — właśnie zaczynała się prognoza pogody. Znowu prowadziła ją piękna pogodynka. Pogodynka, która tego dnia przemieszczała się po ekranie, jakby płynęła w wielkim basenie. Tak poruszała rękami. Nogami. Piersiami. Ona

też mi się czasem śni, kiedy mam rękę pod kołdrą. Prawą. Z lewą mi nigdy nie szło. Może dlatego, że lewa jest za blisko serca, a seks i miłość to rzecz serca, trzepanie natomiast nie ma nic wspólnego z prawdziwą miłością. Tak przynajmniej twierdzi moja pani doktor.

— Uwaga na serduszka, jutro mogą być burzyczki — powiedziała pogodynka, pływając tu i tam, jakby miała w telewizji przepłynąć sto kilometrów.

— A w Jesionikach uwaga na poranne mgielki!

— podniosła ostrzegawczo palec wskazujący, delikatnie nim pogroziła, wydymając swoje piękne, błyszczące wargi.

— Ty też uważaj — powiedział Jegr i podrapał się po brzuchu.

A pogodynka pokazała mapę Europy i pomyliła ciepły front z zimnym oraz Madryt z Paryżem. Znowu popełniła błąd i wiedziałem, że będę musiał do niej napisać kolejny list. 57

NAJPIĘKNIEJSZE WSCHODNIONIEMIECKIE SŁOWO

Jegr miał to gdzieś. Był jak zahipnotyzowany, od dawna nie dłubał w nosie, nie drapał się po brzuchu i nie czyścił sobie uszu ołówkiem. Mówił o jej piersiach, jej tyłku i ruchach bioder, mówił, że dokładnie taką dziewczynę poznał kiedyś na Rugii, że była z Drezna, wspaniale grała w ping-ponga. A tam grała! Tańczyła!

Po plaży chodziła wyłącznie nago, a kiedy to robili, była piękna, wilgotna i wschodnioniemiecka, a do ucha szeptała mu w kółko du bist main liblink. Jegr pytał mnie, czy wiem, co znaczy liblink. Mówił, że to najpiękniejsze wschodnioniemieckie słowo, piękniejsze niż bratwurst, wunderszyn i blumen, czy wartburg, trabant i barkas, że bardzo by się zdziwił, gdybym wiedział, co to jest liblink, bo po pierwsze nigdy

nie byłem na Rugii, a co dopiero w Niemczech Wschodnich, po drugie już nawet nie mogę tam się wybrać, ponieważ Niemcom Wschodnim zlikwidowali Niemcy Wschodnie, po trzecie nigdy nie widziałem gołej dziewczyny i po czwarte nigdy żadnej dziewczyny nie przeleciałem i nigdy nie przelecę, bo ciągle tylko smarkam, gapię się na chmury, myślę o głupotach i do tego jeszcze jestem Waligrucha.

— A jaka tam była pogoda? — spytałem.

58 — Gdzie znowu?!

— Na Rugii.

Przyznaję, może powinienem spytać o coś innego, na przykład co on mówił do niej, kiedy to robili, ale serio, w tym momencie interesowała mnie tylko pogoda. Jęgr zamiast mi odpowiedzieć, trzepnął mnie w głowę. A potem powiedział:

— Ciągle to mówię. Waligrucha Zwyczajna.

A pogodynka powiedziała:

— Miłego wieczoru i żadnych pochmurnych myśli.

— Znowu się pomyliła.

A Jęgr powiedział:

— Pomyliła? Jediną jej pomyłką jest to, że nie jest na odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

— Według mnie jest na odpowiednim miejscu.

Normalnie w telewizji. Tam nie jest tak łatwo się dostać. Ale czasami się myli.

— Dobrze, że ty jesteś nieomylny.

— W meteorologii nie ma miejsca na błędy. To przecież podstawa.

— Chciałbym wiedzieć, czego. Jakież chmury.

Jej błąd polega na tym, że nie ma jej tutaj. Ze nie fika po moim piorunochronie. Bara bara.

— Przecież to nie ma nic wspólnego z jej błędem.

— Pewnie, że ma, fikanie jest związane ze wszystkim. Ale ty nie masz o tym bladego pojęcia.

— Mam o tym pojęcie, ale mogę udawać, że mnie to nie interesuje. I mnie to naprawdę nie 59 interesuje. Jakiś pański piorunochron.

— Swoim piorunochronem byś się zajął! To bym się zdziwił, gdyby cię to zaczęło interesować.

— Ja się teraz interesuję tym, że ona się pomyliła w prognozie.

A potem nie mówiłem nic, bo to nie miało sensu, wyłączyłem dźwięk w uszach i skupiłem się na pisaniu. Pisałem list do pięknej pogodynki na starej maszynie, która ma tyle samo lat, co ja

i nasz Grandhotel. Jest żółta i wyprodukowana w Niemczech Wschodnich. Nazywa się Erika.

Pisałem list i wiedziałem, że nie dostanę od niej odpowiedzi, że z telewizji znów przyślą mi zdjęcie z autografem. Pisałem szybko i z pasją, jakby to nie był zwyczajny list, ale spowiedź albo list miłosny. Pisałem tak szybko, jakby nie chodziło o zimny front pomyłony z ciepłym i Madryt przemieniony w Paryż. I może wcale o to nie chodziło.

Jegr znów coś do mnie huczał, ale ja go już nie słyszałem. Chciał oglądać wiadomości sportowe, a ja stukałem w klawiaturę zbyt głośno i jemu to przeszkadzało, przeszkadzało to jego piłkarskim emocjom, tyle że do mnie nic nie docierało. Przed oczami widziałem tylko pogodynkę czytającą w Pradze mój długi list napisany na maszynie Erika, wiedziałem, że sprawi jej radość, bo ludzie na pewno piszą do niej same głupoty, propozycje małżeństwa i seksu i tym podobne, ale ja prowadzę z nią rozmowę, ja wiem, co robi, 60 — ja wiem, co to jest pogoda.

Nic do mnie nie docierało, tylko stukot palców w klawiaturę.

I nagle usłyszałem, jak gdzieś obok mnie ryknął tygrys.

STALINGRAD

Ten tygrys to był Jegr. Mój kuzyn Winnetou Jegr.

Zerwał się z krzesła, wdrapał na ladę recepcji, podskoczył do sufitu, może skoczyłby jeszcze wyżej, gdyby się dało.

— Tak! Tak! Tak! To mi się chyba śni. Rozumiesz Fleischman? Dziś rano jeszcze nikt o tym nawet nie marzył. Nikt, rozumiesz? 3:0! Wszystkich wrogów pokona tylko z Liberca Slovan!

— I teraz niech pan sobie wyobrazi, że to jest pomyłka.

— Pomyłka, ciągle tylko pomyłka! To nie może być pomyłka. To jest przeznaczenie.

— Pomyłki się zdarzają.

Jegr usiadł, obiema rękoma złapał się za głowę, jak zawsze, kiedy szykował się, by powiedzieć mi coś ważnego. Złapał się za głowę, na której prawie nie ma włosów. I powiedział:

— Ty jesteś tą największą pomyłką. Moją osobistą pomyłką! Moim samobójem! To mój błąd, że jeszcze się tu z tobą męczę. Że cię dawno nie wyrzuciłem. Że w ogóle mam cię na karku. To jest ta moja dobroć. Moje człowieczeństwo.

— Ja pana o nic nie prosiłem. Nawet o dobroć.
— To lepiej zacznij, Waligrucho! Wysokie ciśnienie, cholesterol, łysina, brzuch, to wszystko przez ciebie, wszystko przez jednego wariata, którego interesuje tylko to, czy jakaś pipka z telewizji nie powie „zimny front” zamiast „ciepły front”.

— No i właśnie to dzisiaj zrobiła.

— Fleischman, ja przez ciebie jestem kłębkim nerwów! Wrakiem człowieka. I to nie zwykłym wrakiem. Wrakiem Titanica! A ty jesteś moją górą lodową, ja wiem. Spójrz na mnie! Patrz na mnie, jak z tobą rozmawiam — i walnął mnie w głowę.

— Przecież się patrzę, nie?

— Porządnie patrz, i trochę współczucia. Ura-
towałem cię przed bidulem. Przed poprawczakiem. Przed kryminałem.

— No jasne, ciągle to samo.

— A ty mi nawet nie podziękowałeś.

— Dziękuję.

— Powinieneś być wdzięczny.

— Niech się pan nie denerwuje. Dziękowałem ze sto razy. Starczy?

— Nie starczy. Powiniennem pobierać jakąś rentę inwalidzką. Albo chociaż dodatek za opiekę nad ubezwłasnowolnionym. Dostaję coś? Mam coś z ciebie? Teraz, jak jesteś dorosły, przynajmniej według papierów?

— Pracuję tu prawie za darmo. Chciałbym zobaczyć kogoś, kto by tu tak długo wytrzymał.

— Kolego, ale ty też śpisz i jesz tu za darmo.

I jeździsz kolejką za darmo. Na chmury też się gapisz za darmo. A jakbyś był normalny, to też ruchasz tu za darmo. I ja miałbym ci za to płacić? To ty powinieneś płacić mnie!

— Nie mam zamiaru tego wysłuchiwać — powiedziałem, wstając i zbierając się do odejścia.

Tylko że Jegr posadził mnie z powrotem na krześle.

— Będziesz wysłuchiwać. Męczę się tu z tobą, to ty będziesz przynajmniej słuchać.

— Ja mogę spokojnie męczyć się sam. Potrafię sam o siebie zadbać.

— Teraz to żeś mnie rozbawił. Ty? Przecież ty nawet nie potrafisz rano sobie zapiąć rozporoka! I uszy masz ciągle brudne. Nawet tego się nie nauczyłeś.

— To był ciepły front. Zimne jajka to też nie to samo, co ciepłe.

— Dobrze, że twoje jajka są w porządku, ty

ciepły frontie.

— Proszę dać mi spokój. Ja się nie pytam o pańskie jajka.

— Na co se pozwalasz, ty gnoju? Tak według ciebie wygląda wdzięczność? Front, co? Ja ci pokażę front. Ja ci pokażę Stalingrad!

No i Jegr zaczął mnie bić po głowie, a ja zacząłem uciekać, goniliśmy się po recepcji, którą Jegr zmienił w muzeum bloku wschodniego, w muzeum własnego życia. Jegr wziął do ręki miotłę i bił mnie po głowie, na ziemię spadały kwiaty, gazety i stojak z mapami. Uciekałem, już prawie mnie dorwał, ale poślizgnął się na zakręcie. Wziąłem do ręki kamień z naklejonym Jeśtedem, kamień, którego nikt nigdy nie kupił i chyba już nie kupi, żaden Niemiec Wschodni, ani Polak czy prażak, i rzuciłem w niego. Jegr zrobił unik. Kamień ledwo minął

63

64

jego głowę i rozbił witrynę z brązową miseczką. Z Bułgarii.

Jegr zastygł. Schylił się nad kawałkami miseczki. Uroczyście brał je do ręki, długo na nie patrzył. Był smutny. A może oglądał swoje odbicie w tych skorupach i szukał w nich śladów własnej przeszłości, jakiegoś gestu, resztek zapachu, kawałka swojego życia, jakiejś swojej bułgarskiej dziewczyny, która podczas kochania nie jęczała, tylko krzyczała, jakby zależało od tego jej życie. Przynajmniej tak twierdzi Jegr.

Patrzył na skorupy, a potem spojrział smutno też na mnie. I w końcu krzyknął:

— Prawdziwa bułgarska ceramika! Z Burgasu! Jakim prawem rujnujesz moje życie? Co z ciebie za niewdzięczny dupek?!

CZTERY SZWY

Nie wiem dokładnie, co ze mnie za dupek.

Nie wiem dokładnie, co to jest wdzięczność. Ale wiem, że trudno jest być wdzięcznym człowiekowi, który robi z was chodzący otwieracz do piwa.

Mieszkaliśmy w bloku. Jegr sprowadzał do mieszkania dziewczyny, do których musiałem zwracać się „ciociu”. Czasami wysyłał mnie na dwór, bo ciocie bały się, że będę je podglądać pod drzwiami sypialni. Wałęsałem się więc po mieście, kopałem puszkę i liczyłem chmury,

wyobrażając sobie, że któregoś dnia przyjdzie tornado, które mnie stąd zabierze, które mnie wessie, skoro nie potrafię sam odejść.

Jegr chciał, żebyśmy byli na „ty”, skoro jesteśmy dalekimi kuzynami, ale ja po prostu nie potrafiłem. Nie da się być na „ty” z kimś, kto czyści sobie uszy ołówkiem, a potem go wacha. Kto codziennie was kontroluje, czy macie czyste uszy. Kto was zmusza do słuchania Katapultu i Puhdys, bo według niego to są najlepsze zespoły na świecie.

To nie wszystko: musiałem nauczyć się piosenek Może kiedyś i A dzieci, gdzie się mają bawić? Ciągał mnie na piłkę nożną, zmuszał do jedzenia parówek, po których chciało mi się wymiotować, modlenia się na klęczkach do piłkarskiej bogini Świętej Gały Pierwszej i krzyczenia „Wstawaj, wstawaj, nie udawaj”, „Slavia — Jude” i „Wszystkich wrogów pokona tylko z Liberca Slovan!”

65

Za dobrze to mi to nie szło. Powiedziałem Jegrowi, że to bzdura, że nasza drużyna piłkarska nazywa się Slovan, skoro żyjemy w mieście, które było bardziej niemieckie niż czeskie, że powiedziała nam to jedna nauczycielka w szkole. Ale Jegr nie chciał tego słuchać. Powiedział, że ładnych rzeczy nas teraz uczą, że on jest dumny z tego, że jest Czechem i Słowianinem i że ja też powinienem być dumny, ale to mi za dobrze nie szło. Potem spytał, czy nasza drużyna powinna się nazywać German Liberec, ale ja nie wiedziałem,

co powiedzieć, więc powiedziałem, że wszystko mi jedno, no i dostałem po głowie. Po czym ugryzłem go w rękę. Lewą. Tuż pod zegarkiem, który dostał za wzorowe trenowanie młodzików. Leciała mu krew. Lekarz mu to zszył i powiedział, że nie ma wścieklizny. Potrzebne były cztery szwy. Ale ciągle ma bliznę. To tak na marginesie.

WIOSENNE SŁOŃCE

Pani doktor mówi, że w życiu zdarzają się gorsze rzeczy i że na pewno kiedyś mnie też ktoś ugryzie. Jakby się to już nie stało! Pani doktor mówi, że powinienem posłuchać problemów niektórych jej pacjentów, a przede wszystkim pacjentek. Ale ja nie chcę słuchać problemów bab, którym nagle uciekł mąż, urósł brzuch i nie potrafią pozbierać się po klimakterium, bo mam 66 swoje. Nie potrafię opuścić tego miasta. Pani doktor mówi, że mam do tego prawo i że na pewno wymyślimy jakieś rozwiązanie.

Wystarczy, jak będę do niej regularnie przychodził. Czemu nie? Lepiej chodzić gdzieś, niż nigdzie. Do tego jest całkiem ładna. Nosi ciemne sweterki, które wyglądają jak jesienne chmury przynoszące pierwszy śnieg. A pod nimi ma wielkie piersi. I ładnie pachnie.

Jej perfumy nazywają się Wiosenne Słońce i są z Polski. Kiedyś zajrzałem jej do torebki, jak wyszła do toalety.

Jasne, to było naruszenie jej prywatności.

I ona mnie przyłapała.

Trochę krzyczała.

Ale wiedziałem, że jak przyjdę następnym razem, wszystko będzie w porządku. Spoko. Alles gute. Że znowu będzie mnie słuchać. W końcu dlatego zacząłem do niej chodzić — żeby ktoś mnie wysłuchał, jak w tym filmie o doktorach w Nowym Jorku i dziewczynach, które rozkładają się u nich na kanapach i mówią o depresji. O złym seksie. O smutku po seksie. I w końcu z tymi doktorami się prześpią. Pokazywali to w telewizji. Widuję się z panią doktor co tydzień. Zawsze w czwartek o czwartej po południu.

SZCZĘŚLIWE ŻYCIE

Pani doktor mówi, że każdy człowiek ma jakieś marzenie. Nie chodzi jej o to marzenie sennie, które nachodzi człowieka w nocy i on wkłada rękę pod kołdrę i wyciąga ją, kiedy jest cała mokra. Chodzi jej o prawdziwe marzenie. Coś, do czego dąży się za wszelką cenę. Coś, za co można nawet umrzeć.

Ja chciałbym wydostać się z tego miasta i zobaczyć wszystkie chmury świata. I może kiedyś tu wrócić. Ale żeby wrócić, musiałbym najpierw odejść.

Inni też mają swoje marzenia. Jęgr chciałby być sędzią liniowym, żeby móc faworyzować

Slovan i nie gwizdać spalonych. Franz chciałby cofnąć czas. Chciałby żyć w przeszłości. Mieć swoich kolegów. A nasz kelner Patka chciałby znowu pojechać do Ameryki. Ameryka jest dla niego wszystkim. Początkiem i końcem. Po prostu czymś w rodzaju tęczy.

— Tak, Ameryka jest jak tęcza. Kto to powiedział? — zapytał mnie pewnego dnia.

Nie wiedziałem, kto to powiedział, ale Patka stwierdził, że to powiedział niejaki Johnson. Według niego Johnson jest filozofem. Doktor. Bogiem. Czy kimś w tym rodzaju. Przede wszystkim jest to ktoś, kto wymyślił hepilajf,

czyli szczęśliwe życie. Znacie to? Może u was jeszcze tego nie sprzedają. Wkrótce będą. Hepilajf jest do wszystkiego. Na jakikolwiek domowy problem. U nas wszyscy to znają, nawet moja pani doktor. A Patka myśli, że przez hepilajf prowadzi droga do Ameryki, gdzie już był, ale 68 dostał anginy i musiał wrócić do domu, bo leczenie w Ameryce jest strasznie drogie, tak samo jak dziewczyny. Tak mówił. Ale ja o tym myślę swoje.

Patka pojawił się u nas w Grandhotelu niedawno, chwilę po tym, jak zniknął stary kelner Vokraćko. Ten, którego Jegr znalazł w piwnicy piętnaście metrów pod ziemią, siedzącego na pudle starych konserw z Unry i którego czasem spotykam w hotelu i w mieście, tak samo jak innych ludzi, których już tu nie ma, ale trochę są. Nikt by mi w to nie uwierzył. Nawet pani doktor,

a już na pewno nie Jegr. Pani doktor i tak zawsze daje mi jakąś pigułkę, którą potem wyrzucam.

A Jegr? On zawsze daje mi po głowie.

To, że pojawił się u nas na górze Patka, poznałem po niebiesko-białych naklejkach CHCESZ BYĆ SZCZĘŚLIWY? HAPPY LIFE! Postanowił, że zmieni Grandhotel Jested na Grandhotel Szczęśliwe życie. Wszędzie je naklejał. W restauracji. W toalecie. W recepcji. W kuchni.

W kotłowni. Na swój samochód. Na samochody wszystkich ludzi, którzy do nas przyjeżdżali. Jedną nakleił nawet na drzwi mojego pokoju.

Od środka. Nie wiem, jak się tam dostał, skoro nie ma klucza ani wytrycha, który mam ja. Mogę nim otworzyć wszystkie drzwi. Również te, których nie powinienem otwierać.

Jegr powiedział Patce, że zastanowi się nad zmianą nazwy hotelu. W końcu się jednak nie zdecydował. Patka powiedział, że i tak kiedyś go od niego kupi. A obok postawi drugi. 69

WŁOSY

Pamiętam to jak dziś.

Wróciłem z obchodu hotelu. Jegr siedział w recepcji, właśnie skończył grać w Nu Pagadi, znów nałapał mnóstwo jajek do koszyka i pobił kolejny rekord. Był zadowolony. Poznają to. Zawsze głaszcze się po brodzie i jeździ dłonią Po nieogolonym zaroście. Ma tysiąc czterysta

pięćdziesiąt trzy włosy na twarzy. Serio, raz mu je policzyłem, kiedy spał. Może pytacie, dlaczego to zrobiłem. Pani doktor też się pytała.

Nie wiem. Może tylko dlatego, że bawi mnie liczenie rzeczy. Ja mam dziewięćdziesiąt cztery włosy na twarzy. A na klatce piersiowej razem tylko sześć. Na dole mam ich trochę więcej, ale niedużo.

— Jesteś chemiczne dziecko — powiedział mi raz Jegr. Ponoć jestem chodzącym dowodem na skażony luft. Może ma recht.

Jegr siedział w recepcji i czytał wyniki meczy piłkarskich w gazecie, którą ktoś zapomniał zabrać. Listonosz nie przynosi nam gazet, tylko upomnienia, że nie zapłaciliśmy za gaz, węgiel i prąd. Jegr robi z nich samolociki.

— Wszystko alles gute?

— Normalnie alles gute.

— No to alles gute.

70 Okazało się, że się pomyliłem. Nie było alles gute. Jegr nie czytał sportu, tylko ogłoszenia matrymonialne.

— Jestem rozczarowana, popełniałam w życiu błędy. Ale kto ich nie robił? Szukam wreszcie odrobiny zrozumienia, szukam ciepła, ciebie, bym znalazła siebie. Jestem cierpliwa, oddana, niewymagająca i umiem gotować — więc dlaczego jestem sama? życie we dwoje, bo sama się boję. Życzę wszystkiego dobrego — czy znajdę tego właściwego? — przeczytał Jegr. — Stek bzdur. Ciągle ci sami desperaci. W ten sposób

jeszcze nikt nikogo nie poderwał. Najważniejsze są sztuczki.

Chciałem uciec, powiedzieć, że jestem śpiący. Znałem te jego sztuczki na pamięć, ale Jegr mnie przywołał do siebie. Prawdą jest, że tego, co wtedy usłyszałem, jeszcze nigdy mi nie mówił.

— Jeśli kogoś naprawdę kochasz, wystarczy, jak wyrwiesz ze swojego ptaka trzy włosy i wrzucisz tej laluni do jedzenia. Poczekasz dwa dni i jest twoja. Stara indiańska sztuczka Winnetou Jegra.

— Do jedzenia? I to niby działa?

— Chcesz dowód? Ja jestem dowodem. Wystarczyły trzy włosy, a potem niekończące się orgie Jegra. Bułgaria. Węgry. Rumunia. Bara bara!

— Obłeśne, tak sobie wyrwać włosy tam na dole.

— Na górze nie możesz wyrwać, bo ich tam nie masz.

— I wrzucać je komuś do jedzenia. Fuj.

— I kto to mówi? Ty nawet nie wiesz, co to jest prawdziwe jedzenie, żresz tylko wafelki. Chemiczne gówno.

— To moja sprawa. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

— Bardzo bym się zdziwił, gdybyś to zrobił!

— rzucił we mnie ołówkiem. — Gdybyś wreszcie chciał to zrobić. Gdybyś wreszcie zebrał się na odwagę. Gdybyś wreszcie stał się mężczyzną! Jak będziesz mężczyzną, to mi powiedz, wywiesz flagę państwową, Waligrucho!

Nie chciałem go już słuchać. Uciekłem na dwór. Wiał zimny północny wiatr. Od Skandynawii walił na nas zimny front. Jeszcze w nocy zaczęło padać.

BIJATYKI

Kiedy zrozumiałem, że nie mogę opuścić tego miasta? W tym domu dla skrzywionych ludzi. Może nawet trochę wcześniej. Może wydać się to dziwne, ale póki rodzice nie kupili samochodu, nigdzie żeśmy nie byli. Tato miał zebrania, mama obcinała włosy, a ja patrzyłem, jak spadają na ziemię. I z balkonu na chmury. A jak kupili auto, to daleko żeśmy nie zajechali. Tylko do tablicy z przekreślonym Libercem. Ani metra dalej.

Tę historię — mam na myśli tę, którą miałem 72 — zawsze w zanadrzu dla pani doktor — już znacie. Ale nie jest do końca kompletna, a może jest wręcz zupełnie inna, tak jak to bywa z historiami ludzi zmuszanych do opowiadania o czymś, o czym nie chcą mówić. Ale do tego jeszcze dojdę.

Pewne jest to, że zaciąłem się w chwili, w której zostałem sam. Jegr miał to gdzieś. I tak mnie nie potrzebował podczas swoich podróży po świecie. Potrzebował przede wszystkim, żeby stała mu wtedy fujara. Ale do tego też jeszcze dojdę.

Jegr mówi, że jestem niezdolnym do niczego Waligruchą. Franz mówi, że jestem tchórzem. A pani doktor mówi, że mam poważny problem. Dzięki. Sam bym na to nie wpadł.

Próbowałem odejść. I to nieraz. Próbowałem pieszo. Tramwajem. Autobusem. Pociągiem. Osobówką. Pośpiechem. W końcu nawet ciężarówką z kieliszkami do wina, które z naszego miasta wędrują po całym świecie. Świecie, który znam z map i z telewizji.

Nie dało się.

Próbowałem taksówką. Kilkakrotnie. Ale

zawsze się złamałem. I zawracałem przy tablicy. Albo wyskoczyłem podczas jazdy. No, parę razy to było dosyć niebezpieczne. Parę razy obiliśmy sobie głowę, rozerwałem kurtkę i leciała mi krew, a nasz sztangast Franz myślał, że pobiliśmy się przez jakąś dziewczynę. A ja się z nikim nie biłem. Jeśli już, to tylko z sobą. I może dlatego biłem się tak mocno. To tak na marginesie. 73

UCIEC.CZ

Patka nazywa się Ludek Beranek, ale nie chce, żeby ktoś tak do niego mówił. Nie chce przypominać, kim był. Chce być Patką. A Patka to nie jest baranek. Baranek po niemiecku powie się Ldmmchen, jeśli chodzi o zwierzę. Schafpeltz, jeżeli chodzi o kozuch. I Schdfchen, jeśli chodzi o baranki na niebie. Nie wiem, co

w jego przypadku wybrać. Może jednak Patka. To po niemiecku powie się Kanten. Albo Scheitel. I Knast. Co poza tym znaczy też kryminal. Pudło. Paka. Nie wiem, jak ci Niemcy na to wpadli, ale tak to jest. I do Patki to pasuje. Ale do tego jeszcze dojdę.

Patka zaproponował mi, żebym też spróbował. Żebym się przyłączył. Wypróbował szczęśliwe życie. Żebym to zrobił dla siebie. Zaprosił mnie na obiad do restauracji w rynku. Dokładnie tam, gdzie wcześniej była restauracja „Zum Hirsch”. I gdzie Franz chodził na zupę koperkową, gulasz albo wieprzowinę z karlowarskim knedlikiem. I gdzie potem był bufet „Gwiazda”. Chłopaki ze szkoły chodzili tam kraść papierosy. Raz ich złapali. To znaczy — mnie złapali. Chłopaki zdążyli uciec. Dostałem od taty kilka policzków i obniżyli mi ocenę ze sprawowania w szkole. A nie paliłem, bo mi nie smakowało.

74 Patka zamówił hamburgera. Z frytkami. I dwie porcje keczupu. I colę. To samo zamówił dla mnie, ale ja jadłem swoje wafelki. I wyjąłem lemoniadę z torby.

— Wiesz, na czym dzisiaj opiera się świat?

— Patka spytał i zanurzył frytkę w keczupie.

— Na pogodzie.

— Co?

— No na pogodzie. Wszystko na świecie jest związane z pogodą.

Powiedziałem mu, że tak to czuję. Że pogoda jest całym światem, bo w każdej sekundzie ma na

niego wpływ. Na ludzką psychikę też, jak mówi moja pani doktor. Patrzył na mnie ze zdziwie-

niem, ale potem kiwnął głową.

— Tak jest. Kto to powiedział?

— Nie wiem. Normalnie tak uważam.

— Tylko, że brzmi to jak Johnson, nasz hiper-supermaster. Coś na tym świecie zależy od pogody, ale cała reszta kręci się wokół interesów. Cały świat teraz robi interesy.

Patka postawił na stole małą zieloną butelczkę. Otworzył ją i dał mi powąchać.

— Tak pachnie tęcza — powiedział.

— Tęcza nie może pachnieć, tęcza to tylko woda. I promienie słońca, które załamują się na kroplach wody.

— No to tak pachnie słońce. Zadowolony?

Kiwnąłem głową, ale nie byłem zadowolony. Niezadowolony też nie. Było mi to obojętne. Ale całkiem dobrze się bawiłem. Ta zielona woda śmierdziała jak skarpetki Jegra. 75

— Tak wygląda szczęśliwe życie. Hepilajf.

Dobry do naczyń, dywanów, do marynowania ogórków, do czyszczenia butów, na ból gardła i wybielanie zębów. Cała Ameryka dzisiaj wybiela. Kto nie ma białych zębów, ten nie istnieje — Patka wyszczerzył na mnie zęby. No, były białe.

— Ja nie chcę być Amerykaninem.

— A powinieneś chcieć. Człowiek powinien chcieć być kimś. To też powiedział Johnson.

No, a schłodzony jest też dobry jako lubrykant,

jeśli wiesz, o co mi chodzi. I dodają to też do tych hamburgerów, dla smaku, rozumiesz? Jak myślisz, czemu tu jest tyle ludzi? Tylko dlatego. To uzależnia. I jest zdrowe. Witaminy, cholesterol i tak dalej. Wszystko w jednym, rozumiesz?

— mówił Patka i polał sobie frytki odrobiną zielonego śluzu.

— No.

— Wyczyścisz tym meble i samochód z tuningiem.

— Nie mam samochodu.

— Z nami będziesz miał.

— Ani mebli.

— Meble możesz mieć jutro. I tuning. Dzisiaj to podstawa. Wiesz, na co dziewczyny lecą, nie? Nie masz tuningu — nie masz dziewczyny. Z nami się wszystko udaje. I to od razu. Zaczyniesz tutaj. W tydzień masz pod sobą całe miasto, potem powiat, województwo, kraj 76 i możesz rozwinąć skrzydła i gapić się na te swoje chmury gdzieś w Afryce na Hawajach. Po prostu uciec.cz.

— Hawaje są koło Ameryki.
— Jasne. Należą do Ameryki. Jak wszystko.
W końcu wiem, bo byłem, nie?
— A jaka tam była pogoda?
— Gdzie?
— Na Hawajach.
— No jaka? Co dzień inna. Ale mają tam dwudziestometrowe fale.
— Myślę, że to nie dla mnie.

— A ja myślę, że to dla ciebie. Masz taką poczciwą głębę. Ja ci zawsze wierzyłem. Już w szkole. Pamiętasz, jak bawiliśmy się jako dzieci, nie?
— No właśnie pamiętam...
— Słuchaj, co było, to było, nie?
No i potem się to stało. Nie wiem, co dokładnie było tego przyczyną. Może się przestraszyłem, jak mnie uszczypnął w policzek. Może sobie tego nie życzyłem. Może zauważyłem grubą dziewczynę z warkoczem w uniformie w paski, która zamiatała podłogę, drapiąc się po tyłku. Może tylko kichnąłem, co robię często, bo wiecznie mam katar.

W każdym razie: zrobiłem gwałtowny ruch ręką i taca z jedzeniem wywróciła się na kolana Patki. Jasne, to nie powinno się zdarzyć. Ale stało się. Patka krzyknął, wstał, ale po chwili znowu usiadł i się zaczerwienił. Może to przez rozlaną colę między nogami. Jasne. Mnie by to pewnie też zdenerwowało. Chyba też by mi się nie podobało, gdyby ta gruba dziewczyna z warkoczem zaczęła wycierać mnie w kroczu. Jej warkocz ciągle spadał mu między nogi.

77

KTO JEST BARDZIEJ WRAŻLIWY

Patka się wściekał, krzyczał, że głupek ze mnie, najgłupszy głupek pod słońcem. Żeby go uspokoić, kupiłem od niego dwie buteleczki hepilajfu, czyli szczęśliwego życia. A do hotelu

wolałem wrócić sam, tramwajem i kolejką, a nie jego samochodem z tuningiem.

Tego wieczoru po dłuższym czasie spojrzałem na siebie w lustrze. W toalecie. Skupiłem się na twarzy. I zauważyłem małą czerwoną krostkę na prawej skroni. Raz w miesiącu mi tam wyskakuje. A Zuzana, nasza pokojówka, zawsze chce mi ją wycisnąć, dlatego że bardzo chce się wszystkimi opiekować. I bierze chusteczkę higieniczną, bo według niej najważniejsza jest higiena. Tak, też myślę, że to obrzydliwe. Co więcej, zazwyczaj jej się to udaje, dlatego że

zauważy go przede mną. Pani doktor mówi, że to dlatego, że dziewczyny z natury są bardziej wrażliwe i więcej zauważają. Ale ja mam na ten temat inne zdanie.

Spojrzałem na krostkę na skroni i posmarowałem ją odrobiną hepilajfu. Zaczęło mnie strasznie piec. I do rana krostka była trzy razy 78 większa. Musiałem ją zalepić plastrem. To tak na marginesie.

IUA

Dziewczyna z długą szyją. Szczupłym ciałem. I krótkimi włosami o kolorze jutrzynki, która wisi czasem na wschodniej albo zachodniej stronie nieba i ludziom wydaje się, że to romantyczne patrzeć na nią, choć jest to tylko światło i kurz. Wirujący brud.

Nasze drugie większe spotkanie też nie należało do najbardziej udanych. Chodzi mi o drugie dłuższe. Jak mówiłem, przyszła do nas, kiedy wiosna przechodziła w lato. I w czasie, kiedy już dawno wiedziałem, jak to ze mną jest. Kiedy odkryłem, że jedyna droga na zewnątrz prowadzi przez chmury. Przez niebo. Kiedy już miałem plan, jak wzbic się w niebo. Ale do tego jeszcze dojdę.

Przyłapała mnie, kiedy leżałem w łóżku. Nie w zwyczajnym łóżku. W dziecięcym, z barierką z metalowych prętów. Mamy takie w apartamencie prezydenckim. Nie sądziłem, żeby mogło się jeszcze komuś przydać. I że ktoś tu przyjdzie, skoro nikt tu przez cały rok nie zagląda.

Leżałem w łóżeczku, sprawdzałem, jak się tam zmieszczę, czy dałoby się je wykorzystać jako na przykład kosz do balonu, mierzyłem krąwędzie i wysokość prętów. Popelniłem błąd, nie 79 zamykając za sobą drzwi.

Dziewczyna z czerwonymi włosami weszła do środka z wózkiem, z którego dopełnia się minibar. Oczywiście miała znów pełne piorunów. I było tak samo jak za pierwszym razem. Prawie.

— Co pan tu znowu robi?

— Co pani tu robi?

— Przyszłam dopełnić minibar.

— To łóżeczko jest normalnie chore.

Przyznaję, to nie było za bardzo trafione zdanie. Ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

— Nie wygląda na to, żeby miał je pan leczyć,

panie doktorze. Raczej wygląda pan... jak czyjś tatusiek.

— Nie rozumiem.

— No, w tym pańskim garniturze z lumpeksu.

— Skąd pani wie, że jest z lumpeksu?

— Tu wszystko wygląda jak z lumpeksu. Z bardzo starego lumpeksu.

— Ale ludzie mówią, że ten hotel to cud.

— Bardzo stary cud.

Chciałem coś jeszcze powiedzieć, zaprotestować, spytać, co jej do tego, do hotelu i do mnie, po co zawraca gitarę, skoro jej się tu nie podoba, ale nie mogłem. Niebieski garnitur, który naprawdę był z lumpeksu, był na mnie trochę za duży. Trochę utrudniał mi ruchy. Chciałem wstać, wygarnąć jej, ale nie zrobiłem nic, bo utknąłem w łóżeczku. Nie mogłem wyjść. Ratusiek przyszedł szybciej, niż się spodziewałem.

80 Nie, ta dziewczyna mi nie pomogła. Łóżeczko zawaliło się pod moim ciężarem.

— No i co pani narobiła?! — krzyknąłem, chociaż wiedziałem, że dziewczyna z długą szyją nie zrobiła absolutnie nic.

— Złożę na pana skargę — powiedziała i trzasnęła drzwiami. I tak też zrobiła. Ale Jegr powiedział jej, że jestem nieszkodliwy. Nieszkodliwy wariat. Waligrucha. Śmiała się z tego. Serio. Widziałem ją. A Patka powiedział, że nie tylko jestem wariatem, ale też największym głupkiem

pod słońcem. Więc tego samego wieczoru poszedłem przebić mu oponę w aucie z tuningiem i naklejką na drzwiach CHCESZ BYĆ SZCZĘŚLIWY? HAPPY LIFE! Kiedy przebijałem oponę, przez chwilę byłem naprawdę szczęśliwy. Ale tylko trochę.

Potem moja pani doktor powiedziała mi, że absolutnie mnie rozumie. Jestem Chmuromi-rem. Jestem Szajbusem. Jestem Termometrem. I Tesilem. Ale na pewno nie jestem głupkiem. Nikt nie ma prawa tak do mnie mówić.

CZEKANIE NA CHMURY

I zrobiła się noc.

Wyszedłem na zewnątrz przed hotel. Na taras z krzyżem, pod którym co noc świeci i zasypia nasze miasto. Wiał wiatr. Zbliżał się front. Do nas zawsze zbliża się jakiś front. Deszcz. Chmury.

Ludzie nawet opowiadają o tym dowcipy, na przykład: „Jak widać Jeśććd, to znaczy, że będzie padać. Jak go nie widać, to znaczy, że już pada.”

Hahaha.

A może was to nie śmieszy? Mnie też nie.

Może to dlatego, że nie potrafię śmiać się z dowcipów, nawet tych Jegra, które nie są o chmurach, ale na przykład o tym, dlaczego dziewczyny golą sobie nogi, a faceci tacy jak on nie.

DWA STOPNIE

Nikt nie wie dokładnie, jak właściwie srebrny Grandhotel dostał się w ręce Jegra. Prawdopodobnie nawet on tego nie wie. Raz mi po prostu powiedział, że jutro się przeprowadzamy. Że złożył wypowiedzenie w sklepie, że interesy i tak nie szły, bo otworzyły się granice i w Polsce wszystko było tańsze — kompoty, kawa i papierosy. Mówił, że Polacy zawsze potrafili wszystko lepiej wykombinować, dlatego mogą być z siebie dumni — nie są takimi frajerami jak my, więc poradzą sobie wszędzie, na przykład w Ameryce albo nawet na Islandii, gdzie mają kolonię obok wielkiej fabryki mrożonych ryb. Pokazywali to w telewizji.

Jegr spakował manatki, wrzucił do nich też swój siateczkowy podkoszulek. I spodenki. I białą płaszcz. I wszystkie drobiazgi, które nazbierał 82 po tych swoich podbojach. Z kierownika sklepu stał się kierownikiem Grandhotelu. A ja nie musiałem już biegać między regałami z konserwami i kompotami, których nikt nie kupował, tylko stałem się Fleischmanem do wszystkiego. Dostałem swój pokój, miotłę do zamiatania, klucz do wszystkich drzwi. I niebieski garnitur z lumpeksu, przez który Ilja się ze mnie śmiała, bo ponoć wyglądam w nim jak tatusiek. Może ma recht. Za ile kilogramów pomarańczy i z kim Jegr zamienił się, oddając spożywcza i dostając za niego hotel, tego nie wie nikt. Pewne jest to, że

znaleźliśmy się tutaj razem. Na górze, gdzie nie diabeł, ale chmury mówią dobranoc. Chmury, które w większości przemieszczają się z północy na południe. I gdzie Jegr ciągle narzeka na zimno, bo tutaj przeciętna temperatura wynosi dwa stopnie, a to z pewnością nie jest jak w bloku.

CENTRUM EUROPY

Moja pani doktor raz zapytała, co według mnie zajmuje centralne miejsce w ludzkim życiu. Chwilę musiałem się zastanowić. Chciałem powiedzieć, że pogoda, bo ona wpływa nie tylko na ludzkie życie, ale w ogóle na wszystkie życia, ale chyba nie to chciała usłyszeć. W końcu po-

wiedziałem, że ja. W sensie człowiek.
 Powiedziała, że mam rację, ale według niej
 i tak prawdziwym sednem życia jest miłość.
 Wzdrygnąłem się.

A potem stało się to, co zdaje się, musiało
 nastąpić. Spytała, czy kiedyś kogoś kochałem.
 Dobrze pytanie. Trudna odpowiedź. Nie wiem.
 A właściwie wiem. Mamę? Możliwe. Wolałem
 nie powiedzieć nic. Nie chciałem, żeby pomy-
 ślała, że jestem jeszcze większym wariatem, niż
 jestem.

— Porozmawiamy o tym następnym razem
 — powiedziała pani doktor i uśmiechnęła się.
 Ale i tak musiałem się nad tym zastanowić.
 Nad tym, czy kiedyś kogoś naprawdę kochałem.

I czy teraz kogoś kocham. Ale przede wszystkim,
 jak to jest z tymi centralnymi miejscami w na-
 szym życiu. I wszystkimi innymi centrami.
 Wiem to, że w centrum Układu Słoneczne-
 go jest Słońce. Centrum huraganu stanowi jego
 oko. Centrum burzy — chmura cumulonimbus.
 Wiem, że centrum wyżu znajduje się prawdopo-
 dobnie nad Azorami. A centrum niżu raczej na
 północy, gdzieś pomiędzy Islandią i Skandyna-
 wią. To znaczy, zazwyczaj.

Wiem, że centrum mojego świata to nie tylko
 pogoda, ale też nasze miasto. Zresztą, nie tylko
 mojego. Myślicie, że dlaczego ciągle wracał tu
 stary Franz, chociaż nikt go nie zapraszał, i przy-
 woził swoich martwych niemieckich kolegów?
 Ale do tego jeszcze dojdę.

Wiem, że centrum naszego miasta nie stanowi
 Grandhotel, ale jeden kanał w rynku, naprzeciw
 wejścia do ratusza, który wygląda jak straszna
 średniowieczna twierdza. Właśnie w tym miej-
 scu wymierzono przed wojną centrum Europy.
 Franz o tym mówił. Ten geodeta był jego sąsia-
 dem, nazywał się Wolfgang Schuster. Też Nie-
 miec, poza tym nauczyciel gimnastyki.

Według Franza problem polegał na tym, że
 w tym samym momencie wymierzono centrum
 Europy też w innych miejscach. W Niemczech,
 we Francji, w Polsce, w Rosji, w Jugosławii
 i w Grecji. I przez to Europa zadrzała w posa-
 dach i zaczęła się kłócić. I bić. Ktoś wygrał, a ktoś
 przegrał. A Wolfgang Schuster dzień po wojnie

powiesił się na kółkach w sali gimnastycznej, bo
 bał się, co teraz będzie. Franza natomiast wsad-
 zili w pociąg do Niemiec, żeby już tu więcej nie
 wracał. Ale on wrócił i to nie sam. Ale do tego

jeszcze dojdę.

Wiem, że rynek dzisiaj nosi imię Dr. E. Beneša. Wcześniej Bojowników o Pokój. Wcześniej Prezydenta Dr. Edvarda Beneša. A wcześniej to był Adolf Hitler Platz. A wcześniej Dr. Edvarda Beneša. A wcześniej Alstadter Ring. A wcześniej Alter Markt. A wcześniej Altstadter Platz. A wcześniej Ring. A wcześniej Margtt. Tak przynajmniej twierdzi Franz.

Wiem, że nasze miasto nazywa się Liberec.

A wcześniej nazywało się Reichenberg, Reichenberg, Reychinberg. A w międzyczasie Rychberg, Lychberk, Libercum, Liberck i może jeszcze jakoś inaczej, ale tego już nikt nie pamięta, nawet Franz, który poza tym pamięta prawie wszystko.

85

Reich znaczy bogaty. Zamożny. Wspaniały.

Cudowny. Berg to góra. Wzgórze. Ale też kopalnia. Albo kupa. Sami to sobie połączcie. Macie pięć sekund. Ale czy już zrobicie to tak czy siak, pewne jest to, że nasze miasto nigdy nie miało się źle. Albo tak sądzili ludzie. Lub przynajmniej tego sobie życzyli.

Pokrywę tego słynnego kanału zrobiono w Teplicach-Sanovie. Jest to na niej napisane. Teplitz-Schónau.

DRESIARZE

Pamiętam to jak dziś.

Był wieczór, a ja byłem na dworze i patrzyłem w dół, na miasto. Przyszło mi do głowy, że może to nie jest miasto, tylko przewrócone niebo. Może na dole nie świecą domy, ale gwiazdy utopione w jeziorze, w którym ja też się utopiłem i dlatego nie mogę się z niego wydostać.

Patrzyłem na miasto, które zasypiało i myślałem o tym, co by się stało, gdyby jutro się nie obudziło. Albo gdybym ja się nie obudził. Ale to nie może się zdarzyć, bo nie da się nie obudzić, jak się prawie nie śpi.

Zazwyczaj jest tu cicho. Tylko czasami wiatr przynosi na górę jakiś dźwięk. Nieraz naprawdę odnoszę wrażenie, że motyl gdzieś machnie skrzydłami i miasto jęknie.

Jegr uważa, że to głupota, bo miasto nie jest żywe, więc nie może czuć ani jęczeć.

Ale Jegr to Jegr.

Patka wie, co ma o nim myśleć. O Jegrze. Według niego Jegr jest podstawiony. Jest słupem. Gościem do odstrzału. Facetem od czarnej roboty. Specjalistą od przekrętów cz, jak mówi Patka, typem z nożem przy gardle. Coś jak gwiaz-

da filmowa, która z zasady skacze z mostu bez kaskadera.

Pewne jest to, że kiedyś do Jegra przyjeżdżali trzej dresiarze w bluzach z czterema paskami. Zawsze dzwonili, zanim mieli przyjechać

i Jegrem telepało przez trzy dni. Nie uspokoił się nawet, jak Slovan pokonał Banik Ostrava, Spartę czy Slavię Praga, ani jak dał mi po głowie, czy jak w hotelu spała prączka z nogami do szyi i wielkim tyłkiem.

Telepało go i to nie z powodu zimna, przez które tak poza tym telepało go ciągle. Bez przerwy przeliczał pieniądze i czekał na ich przyjazd. Dresiarze za każdym razem wjeżdżali swoim czarnym autem niemal w recepcję. Chciałem iść im otworzyć, ale Jegr zawsze mnie wyprzedził. Nie znali czeskiego i nie rozumiałem ani słowa z tego, co mówili. Jegr ich najprawdopodobniej też nie rozumiał. Ale niektórych rzeczy nie trzeba rozumieć — i tak wie się, o co chodzi. Czasami wystarczy, że ktoś przystawi wam spluwę do głowy. Dresiarze mieli trzy spluwy. I dwa granaty. Nosili je w sakiewkach z kawałków sztucznej skóry, którą obite są siedzenia w pociągach. I w naszej kolejce. 87

Jegr zawsze prowadził ich do apartamentu prezydenckiego, w którym nigdy nie spał żaden prezydent. Tylko jedna była królowa piękności, dwóch biznesmenów od aquaparków i Karel Gott. Prawdziwy Karel Gott, nie ten z krematorium, mój kolega z klasy. Wszystkim dał autografy.

Jegr spędzał z dresiarzami popołudnie, które czasem przeciągało się na drugi dzień. Puszczali sobie pornosy na wideo i oglądali je z dziewczynami, które przyjeżdżały z miasta taksówką.

Wiem to na pewno. Podglądałem ich przez dziurkę od klucza. I przynosiłem im szampana, wódkę, czerwone Marlboro, konserwy wieprzowe i ogórki. Dresiarze nie chcieli jeść niczego innego.

Ciągnęło się to latami, aż do pewnego zimowego dnia, kiedy nasza kucharka znalazła na dole koło drogi ich czarne auto podziurawione kulami jak sito. Obok stało jeszcze jedno auto. Białe. Ta trójka w środku to też byli dresiarze. Też martwi. A na bluzach mieli tylko dwa paski. Wszyscy poszliśmy wtedy popatrzeć. Właśnie ich wywozili. Wiał wiatr, drzewa się ugięły, a śnieg był czerwony, jakby ktoś posypał

go malinową oranżadą w proszku, która powoli rozplywa się na języku i jest kwaśna. Bardzo kwaśna.

Przez chwilę się zastanawiałem, czy to nie jest tak jak w Alpach, gdzie chmury czasami zabarwiają na czerwono śnieg na lodowcach i ludzie mówią na to Krwawy Śnieg. Ale to była prawdziwa krew. Tak przynajmniej twierdził lekarz z karetki.

EFEKT MOTYLA

Potem przesłuchała nas dwójka policjantów, grubas i chudzielec, obaj jak z niemieckiego serialu kryminalnego. Jegr znalazł się z nimi ze starych czasów, ale za bardzo nam to nie pomogło.

Wzywali każdego z osobna do stołu w restauracji. Wiedzieli, że dresiarze regularnie jeździli do nas na wycieczki. Mieli swoje podejrzenia, bo tamci nie byli akurat z tych „przynieś, wynieś, pozamiataj”. Mówili, że dresiarze pobierali opłaty za ochronę. Pytali, czy wiem, co to znaczy. Powiedziałem, że tak, że pokazywali to w telewizji, a oni powiedzieli, że brali haracz też w Pradze, czasami w Kijowie i może jeszcze dalej.

Za dużo to im nie powiedziałem, tylko to, że dresiarze lubili jeść konserwy wieprzowe. Ale policjanci wiedzieli o tym, bo ponoć dresiarze mieli cały bagażnik konserw. I powiedziałem im jeszcze, że zazwyczaj przyjeżdżali podczas ciekawych warunków pogodowych, kiedy nadciągało zimne powietrze ze wschodu, które czasem było tak potężne, że zauważała to nawet piękna prezenterka i mówiła o tym w telewizji. Grubas z chudzielcem spojrzeli po sobie, a potem chudzielec spytał, czy robię sobie z nich żarty. Jaja. Czy se w kulki lecę.

— No nie. Ja tylko...

— Zginęło tu sześciu ostrych bandziorów, kapiszto?

— Ja nie mówię, że to jest wprost związane z pogodą. Ale też nie mogę powiedzieć, żeby to nie miało z tym nic wspólnego. Przyszło mi do głowy, że może to panów zainteresować. Że to dziwny zbieg okoliczności. Niż atmosferyczny nad Ukrainą to fakt, na to panowie nic nie Poradzą. Może gdzieś na Haiti motyl machnie

skrzydłami i w ciągu miesiąca w Ameryce będzie huragan.

— Co?

— To się nazywa efekt motyla.
— Chcesz się doigrać?
— Nie. To naukowo udowodnione. Od czterdziestu lat.
— I co to ma niby znaczyć?
— Tylko to, że wszystko na świecie jest ze sobą powiązane, i przede wszystkim, że wszystko może być powiązane z pogodą.
— Chcesz powiedzieć, że te typy załatwił jakiś motyl z Ukrainy?
— To nie musiał być akurat motyl. To spokojnie mógł być komar. Albo normalnie ktoś zakaszał na poczcie i stało się.
— Na jakiej poczcie?
— Na przykład w Pradze. Albo w Kijowie.
— Czemu akurat tam?
90 - No to w Odessie, wszystko jedno. To był tylko taki przykład. Nie można tego całkiem wykluczyć. Ktoś zakaszał, zrobił się z tego niż atmosferyczny i na przykład któremuś z tej szóstki zrobiło się niedobrze, bo był wrażliwy na zmiany ciśnienia, a potem na przykład zaczął strzelać. To też jest normalnie naukowo udowodnione. Tak samo jak teoria chaosu. Pokazywali to w telewizji.
— Jakżeś pan na to wpadł?
Powiedziałem im, że nie wiem, ale że trochę to obserwowałem.
Że po prostu według mnie

wszystkie ludzkie szczęścia i nieszczęścia są uzależnione od pogody. Powiedziałem im, że mam wykres i wiem dokładnie, jak było dwadzieścia lat temu.

— Chcą go panowie zobaczyć? — spytałem. Policjanci jeszcze raz spojrzeli po sobie. Grubas pokręcił głową. Chudzielec otarł spoczone czoło chusteczką i westchnął. Dali mi spokój. Ale to nie znaczy, że przekonali mnie, że nie mam racji z efektem motyla i pogodą. Naprawdę wszystko jest powiązane. Na przykład taki Grandhotel, który stoi tylko dzięki naszej rodzinie. I jednej srogiej zimie. Ale do tego jeszcze dojdę. Prawdopodobnie Patka też im nic nie powiedział. Znał dresiarzy, bo sprzedawał im hepilajf, tak jak wszystkim. Zuzana, którą dresiarze lubili klepać po pupie, też nic nie wiedziała. Jegr milczał jak grób. Powiedział tylko, że podobał im się tutejszy krajobraz, mieli słabość do naszej sałatki ziemniaczanej i sznycli i że dla niego gość to gość. Policjanci na koniec pokiwali głowami, dojedli swoje sznycle (pochwalili je przed Jegrem)

i dopili kawę po turecku, którą Jegr chrzcił kawą zbożową, żeby nie robiła źle na serce i nie podwyższała ciśnienia. I była tańsza. Założyli czapki i zostawili nas w spokoju. Jegr dał im na drogę ołówki z nazwą naszego hotelu oraz chorągiewki. Cieszyli się, bo ponoć ołówków na służbie nigdy dość, a chorągiewki dadzą dzieciom z domu dziecka, gdzie chodzą wieczorami na spotkania i one się ucieszą.

W końcu karetka zabrała kucharkę. Przez to wszystko była kłębkiem nerwów i wylała na siebie gar koperkowej. Nawet Franz, który uwielbia koperkową, był kłębkiem nerwów. Wszyscy czuli się trochę źle, ale widok płam po oranżadzie na śniegu w końcu jednak poprawiło humor Jegrowi.

Teraz Grandhotel był wyłącznie jego. Tylko czasami przerażony budzi się w nocy, kiedy ktoś przesadzi i z włączonymi światłami wjedzie niemal w recepcję. Ale poza tym od tego czasu jest spokojniejszy i rzadko się wydziera. A jak się wydziera, to zazwyczaj na mnie. Na przykład, gdy go nie słucham. Gdy nie patrzę babom na piersi i tyłki. Gdy się nie cieszę, że Slovan zakwalifikował się do Ligi Mistrzów i nasze miasto znów jest pępkiem świata.

92 GDZIE JEST PIES POGRZEBANY

Moja pani doktor mówi, że wszystko, co mnie interesuje, jest tylko substytutem. Kłamstwem. Tak jak kiedy nasza kucharka gotuje rosół i zamiast prawdziwego mięsa wrzuca do garnka kostkę ze zmiażdżonych kości. Albo jak krysznaici gotują gulasz i zamiast wołowiny jedzą soję i udają, że smakuje jak mięso. Pani doktor mówi, że moje wszystkie chmury, wiatry, śniegi, deszcze, cyklony, mapy i wykresy zastępują mi coś o wiele ważniejszego, coś,

czego w głębi swojej własnej nieskończoności pragnę, ale może nawet o tym nie wiem. Albo, że to wiem, ale boję się coś z tym zrobić.

Pani doktor wie o mnie wszystko. A raczej prawie wszystko. Pani doktor na pewno wie więcej niż Jegr, z którym żyję już prawie dwadzieścia lat. Wie więcej niż moja mama, której nie zdążyłem wszystkiego powiedzieć. Więcej niż mój tato, którego nigdy za bardzo nie interesowało, co mam do powiedzenia. I więcej niż Zuzana czy Patka, którym nawet nie chcę wszystkiego powiedzieć.

MGŁA NIE JEST CHMURĄ

Zuzana jest naszą pokojówką. Na twarzy jest okrągła jak księżyc w pełni i tak też się śmieje. Jest dziewicą. Albo przynajmniej przez długi czas nią była. Kiedyś chwaliła się tym komuś przez telefon. 93

Zuzana ma na nazwisko Sładka. Słodki po niemiecku powie się siiss. Siiss wie Honig znaczy słodki jak miód. Można też powiedzieć eine siisse Rast, znaczy to święty spokój. Mówię to dlatego, że nazwy nie kłamią i Zuzana jest jak cukierek. Mówię to też dlatego, że nasze miasto jest czesko-niemieckie. Albo niemiecko-czeskie. Możecie sobie wybrać. Ale nie możecie przed tym uciec. Dlatego wszystko tłumaczę.

Zuzana przed niczym nie ucieka. Wierzy we wszystko, co napiszą w czasopiśmie. I ciągle wypełnia jakieś testy. Na przykład: Jesteś dobra w łóżku? Potrafisz uwieść swojego szefa? Chcesz kochać się ze swoją szefową? Uciekł ci pociąg? Lubisz słodycze? Przemokłaś? Jesteś złośliwą zołą czy Śpiącą Królową? Serio, znalazłem te testy u niej w pokoju.

Pewnie, że o tym nie wie. Ale ja mam klucz, który otwiera wszystkie drzwi w hotelu. No to je otwieram. Jestem ciekawy, jak żyją inni ludzie. O czym myślą. Jak wieszają ręczniki w łazience. Jaką noszą bieliznę. Zuzanę ciągle interesuje coś innego. Nikt tego nie udowodnił, ale myślę, że zawsze jest to związane z facetem, którego chce poderwać.

Raz to były motory. Kiedy indziej siłownia. Albo język włoski. Boks. Modele pociągów. Samolociki. Karate. Gołębie. W którymś momencie nawet szopki betlejemskie. Na święta postawiła własnoręcznie wyrzeźbioną szopkę na ladzie recepcji, ale Jegr jej to wywalił. Że to jest Grandhotel, jego Grandhotel, a nie klub świętoszków, że już mu absolutnie wystarczy ten krzyż za oknami, który pochyla się nad naszym miastem i nikt nie wie, czy je błogosławi, czy mu grozi.

Fakt, jej Jezusek w kolebce wyglądał raczej jak mącznik. Fakt, do muzeum bloku wschodniego Jegra szopka za bardzo nie pasowała. Jegr zrobił się czerwony na twarzy, a Zuzana się rozplakała.

Złożyła wymówienie, ale potem je wycofała, bo Jegr kiedyś w nocy jej obiecał, że już nie będzie na nią krzyczał, jeśli będzie dla niego miła. Nie

wiem, czy była dla niego miła. Nie wiem, czy jest jeszcze dziewicą, ale Jegr mówi, że umie zrobić się wilgotna i niech sobie sam spróbuję odpowiedzieć na takie głupie pytanie. Przy czym ja mu nigdy takiego pytania nie zadałem.

Za długo się nie smuciła. Powiedziała kucharce, że facet od szopek i tak jej nie chciał, że wolał grzać w łóżku drewno na szopkę zamiast niej i poza tym miał krzywe zęby. A potem zauważyła mnie. I zaczęła interesować się pogodą. Nawet dzięki temu była pierwszy raz w bibliotece. Czasami udawała, że wie, że historią nie rządzą wojska, książęta, idole, hepilajf, Bóg i już na pewno nie politycy, tylko pogoda, bo chmury stały na początku rzeczy i będą też stać na ich końcu. Za bardzo jej nie wierzyłem. Ona to zauważyła, ale nie dała zbić się z tropu. 95

Nie wiedziałem, gdzie się podziac i nawet chowałem się przed nią. Ciągle o coś pytała. A mi się nie uśmiechało gapić się na jej piersi i wyjaśniać różnicę między cyklonem i antycyklonem, bo to prosta rzecz, podstawa, którą każdy powinien znać ze szkoły, tak samo jak alfabet czy tabliczkę mnożenia albo to, jak zawiązać sznurówki, czy zapiąć rozporek.

Cyklon to obszar niskiego ciśnienia powietrza. Antycyklon wysokiego. Powietrze w cyklonie na półkuli północnej kręci się w kierunku

96

przeciwnym do wskazówek zegara. W antycyklonie zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Na półkuli południowej wszystko jest na odwrót. Dlatego wyż nie znaczy u nas, że musi być ciepło i ładnie. Może być też mróz.

Nie bawiło mnie tłumaczenie Zuzanie, że wichur to jeszcze nie huragan i że mgła nie jest chmurą. Mam na myśli prawdziwą chmurę, bo mgła trzyma się tylko przy ziemi, a chmura lata po niebie. Ale mimo to chmura może was zaskoczyć, tak jak mnie zaskoczyła na korytarzu ta nowa dziewczyna.

Nie lubię mgły. Lubię chmury, bo chmury są w ruchu. Cumulusy. Stratusy. Cirrusy. Lubię rzeczy w ruchu. Może dlatego, że sam nie potrafię się ruszyć.

PSIE DNI

Kiedy po raz pierwszy odwiedził nas Reinhard Franz? Latem 1998 roku. W czasie kanikuły pod koniec lipca.

Kanikuła to niemiecku Hundstage, co dosłownie znaczy psie dni. Ale podczas psich dni zazwyczaj pogoda nie jest pod psem. Wręcz przeciwnie. Bywa gorąco. Ludziom częściej pękają ściany serca i nitki w mózgu, którymi płynie krew. Pokazywali to w telewizji. A ludzie tacy jak Zuzana modlą się, żeby już wreszcie zaczęło padać albo żeby od razu przyszła zima. Żeby mogli

się potem wściekać i tęsknić za gorącym latem. Pani doktor mówi, że narzekanie jest normalne. Że ułatwia ludziom życie. Że narzekają na pogodę, żeby nie musieć myśleć o sobie. Ma recht. Pamiętam to jak dziś.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem na parkingu Franza, wyglądał, jakby nie było właśnie upalne lato, tylko chłodna jesień. Przyjechał w długim brązowym płaszczu i kapeluszu. Ale nie narzekał na pogodę. Franz wyglądał jak jeden z tych, których czasami spotykam w hotelu. Jak jeden z tych ludzi, których już nie ma, albo są, ale wyglądają, jakby ich nie było i nie wiedzieć czemu, widzę i słyszę ich tylko ja. Ale Franz był. Gdy mówił, leciały na mnie kapki jego śliny. Nie wjechał z miasta kolejką, tylko taksówką. Poszedłem pomóc mu z walizkami. W ręce niósł reklamówkę, ale nie chciał mi jej dać. Wybrał pokój z widokiem na miasto.

Zaniosłem mu bagaże. Podniosłem żaluzję. 97

Franz podszedł do okna i spojrzał w dół.

— No to normalnie serdecznie pana u nas witam — powiedziałem.

— Jak to u was? U nas! Ja tu jestem w domu.

W tym mieście. Tu się urodziłem i tu umrę. — Franz patrzył przez okno. — Pięknie — powiedział.

— Jeszcze pewnie parę dni będzie ładnie.

— Nie mówię o pogodzie. Mówię o tym mieście.

— Ja normalnie też.

Odwrociłem się i chciałem odejść.

— W tył zwrot!

Zawrociłem. Franz stał na baczność. Wyjął z kieszeni dwadzieścia euro i podał mi je.

— Dzięki. Danke.

— Bitte.

Wychodząc, potknąłem się o podwinięty dywan. Czasami mi się to po prostu zdarza. Pani doktor mówi, że to przez moją nieuwagę. Potknąłem się i wpadłem na stołek, z którego spadła reklamówka Franza. Wypadła z niej puszka po kawie.

— Achtung! — krzyknął Franz.

— Normalnie przepraszam — wzięłem puszkę do ręki i podałem mu ją. Zauważyłem, że na opakowaniu widnieje roześmiana bawarska wieśniaczka, której z sukienki wyłaziły piersi. Wielkie piersi. Minimalnie miseczka E.

98 WYJĄTKOWOŚĆ

Pani doktor mówi, że każdy człowiek jest wyjątkowy. Że jest w tym swego rodzaju magia. Że jeden jest mądry, drugi głupi, trzeci rudy, ale przede wszystkim każdy jest inny. O ile to prawda, to my ludzie jesteśmy jak pogoda. Pogoda to też coś wyjątkowego. Najwyższy stopień wyjątkowości. Chwila, w której to właściwe ciśnienie powietrza ociera się o właściwą temperaturę. I wiatr. I wilgoć. I zachmurzenie. I punkt rosy. Chwila, która trwa tylko chwilę, sekundę, może

jeszcze mniej, bo zaraz po niej wszystko już jest inaczej.

— W życiu też — powiedziała pani doktor.

A potem spytała: — Jaka jest właściwie twoja ulubiona pora roku?

Musiałem chwilę się nad tym zastanowić. Lubię upał i gwałtowne letnie burze, ale tak samo lubię zabloconą jesień i wielkie niże baryczne. Albo wiosnę. Albo zimę. Właściwie nie potrafię wybrać.

Ale w końcu się zdecydowałem.

— Najbardziej lubię zimę.

Pani doktor zapisała to sobie, ale wydawało mi się, że za bardzo jej to nie zaskoczyło. Was może też nie.

Tak. Kocham zimę. Oddech przymarza do ust, chmury zakrywają hotel i nie spadają na ulice. Ludzie z nich znikają i ulicami włada cisza, padający w nieskończoność śnieg i ja. Podoba mi się, jak śnieg wszystko przykrywa, jak wszystko ma jeden kolor — biały.

Kocham zimę. W hotelu zazwyczaj jesteśmy sami. W kolejce też. W tramwaju. Na ulicach. Gdybym mógł, wyłączyłbym na chwilę wszystkich ludzi, żeby przez moment być w mieście kompletnie sam. I nasłuchiwać, czy miasto ma jakieś serce, coś, czego normalnie nie słyhać, bo zagłuszają to tramwaje, samochody i ludzie. Na ulicy najchętniej jestem sam. Pani doktor mówi, że właśnie o tym nie powinienem myśleć, że powinienem spróbować pokonać samotność.

Że na przykład mógłbym znaleźć sobie jakichś przyjaciół.

Dzięki za radę. Jakbym nigdy tego nie próbował. Ale jak chce się być czyimś przyjacielem, to taka jednostronna chęć nie wystarczy. Nie mam więc przyjaciół. Wy byście potrafili przyjaźnić się z Jegrem albo Patką? Ale nie jestem sam. Mam chmury. I jak tak teraz o tym myślę, to chyba też miałem Franza. I może panią doktor, chociaż czasami nie znośłem tych jej pytań.

STUPROCENTOWY KINDERKIL

Jedna rzecz jest dobra w podglądaniu. Człowiek się dużo dowie o świecie. A czasami nawet o sobie. Problem w tym, że dowie się też tego, czego wolałby nie wiedzieć. Ale pani doktor 100 mówi, że właśnie to jest w życiu ważne, żeby odkrywać to, co mnie boli i nauczyć się z tym żyć, pokonać to, bo inaczej się nie dowiem, dlaczego jestem taki, jaki jestem. I że nigdy nie stanę się dorosły, nie podniosę tyłka z tego nocnika, którym jest nasze miasto. Nocnik Europy. Może ma recht.

Dowiedziałem się o sobie paru nieprzyjemnych rzeczy. Od Zuzany. I od Ilji. Kiedyś razem paliły w toalecie, gdzie Zuzana chodzi czytać kolorowe gazety. To było chwilę po pojawieniu się u nas Ilji. Ale nie mogę powiedzieć, żebym się

jakoś po tym załamał. Tylko walnąłem się w głowę. O klamkę.

— Wiesz, co to znaczy „kreatywna”? — spytała Zuzana.

— Zdolna. Że umiesz gotować i tak dalej.

— Wyszło mi w teście, że jestem kreatywna.

— No to masz farta.

— Ty nie umiesz gotować?

— Umie, ale poza tym nie jestem za bardzo kreatywna.

— Chodzisz z Patką, nie?

— No.

— Długo, co?

Ilja kiwnęła głową. I zapaliła papierosa.

— Ja z nikim nie chodzę. Nikogo nie potrzebuję — powiedziała Zuzana.

Wyciągnęła tabletkę, którą je co rano.

— Chcesz? — podała Ilji.

— Co to jest?

— Kinderkil.

— Po co to jesz, jak nie masz chłopaka?

— Żeby schudnąć.

— Przecież jesteś chuda.

— Nie jestem.

— To też ci wyszło w teście?

— No.
— I co jeszcze?
— Że jestem opiekuńcza, przewrażliwiona, mądra, dzika. Dziwna. Ciągłe coś innego.
— Błagam cię, przecież te testy piszą jacyś zbroczeni niewyżyci faceci.

102

— Myślisz?
— Kiedyś poznałam takiego jednego. Żyje z tego, że w jednej gazecie zwiększa dziewczynom piersi i zmniejsza tyłki. Na komputerze.
— Niemożliwe.
— Na sto procent. Wiesz, jakie jest według niego przeciętne IQ modelki?
— Nie.
— Czterdzieści. A wiesz, po czym to poznaje? Zuzana pokręciła głową.
— Po wadze.
Zuzana się zaśmiała, a Ilja zapaliła kolejnego papierosa.
— Gdzie pracowałaś przedtem?
— Różnie.
A potem to się stało. Przyszła kolej na mnie.
— Dziwny to jest przede wszystkim ten, jak mu tam? Ten debil — powiedziała Ilja, a ja chciałem coś zrobić, krzyknąć, walnąć pięścią, ale nie zrobiłem nic. Klęczałem pod drzwiami, zaglądałem przez dziurkę od klucza i milczałem. I chyba trochę poczerwieniałem.
— Fleischman? — powiedziała Zuzana.
— No. Według mnie to jest stuprocentowy kinderkil.
— Nie rozumiem.
— Ciężki przypadek.
— Raczej nieszczęśliwy przypadek. Ale poza tym jest w porządku. I strasznie samotny.
— Raczej strasznie dziwny.
I Ilja wygadała Zuzanie, jak się pierwszy raz spotkaliśmy i że wydaje jej się, że jestem chory, a Zuzana powiedziała Ilji, że wie o mnie absolutnie wszystko, że czasami rano trzępię gruchę, że parę razy mnie widziała i ponoć to całkiem długo u mnie trwa i że oglądam przy tym zdjęcia prezenterki, które przysyłają mi z telewizji. I stare świerszczyki, które ukradłem Jegrowi. No, kiedyś mu ich parę świsnąłem. No i co? O ile to prawda, że mnie widziała, jak to robię, to znaczy, że w hotelu podglądam nie tylko ja i Jegr, ale ona też.
Zuzana powiedziała, że robię to wszystko

tylko dlatego, że jestem nieszczęśliwy, ale tego już nie chciałem słuchać. Potem mówiła jeszcze inne rzeczy. Na koniec Ilja powiedziała:
— To z tymi jego rodzicami to niezła jazda.
Tego już nie wytrzymałem, szarpnąłem głowę i wałnąłem się o klamkę. Leciało mi trochę krwi. Uciekłem, myśląc o zemście. Ale nic nie wymyśliłem. Właściwie coś tam wymyśliłem. Wyrzuciłem niebieski garnitur z lumpeksu. I ukradłem dzinsy w sklepie. I czarną koszulkę. I bluzę z trzema białymi paskami. Nie chciałem już wyglądać jak kinderkil.

103



UMRZEĆ ZA ŚPamiętam to jak dziś.
Kiedy o mało co nie rozsypałem Franzowi kawy w pokoju, Franz przyciągnął mnie do siebie. Laską. A potem nachylił się nade mną. W jego oddechu czuć było rumianek. Ale może tak po prostu pachnie emerytura. Albo śmierć. Nie wiem.
— Jesteś z Liberca?
— No.
— Duszą i sercem oddany temu miastu?
Nad tym musiałem się długo zastanawiać, biorąc pod uwagę to, że sam skazałem się na zrośnięcie z tym miastem.
— Myślę, że tak.
— Czyli mógłbyś umrzeć za to miasto?
— Nie wiem.
— Prawdziwy mężczyzna powinien to wie-
104 dzieć.
Chciałem mu powiedzieć, że właściwie to się już stało, bo moja pani doktor mówi, że kto nie potrafi się ruszyć, umiera za życia.
W końcu jednak kiwnąłem głową, że wiem, że mógłbym, że człowiek i tak kiedyś musi na coś albo za coś umrzeć. Chociaż nie chcę umierać. Na razie nie. Bo też mam swoje marzenie. Plan. I cel.
— No to możesz odejść — powiedział Franz i dał mi stowę. W lewym górnym rogu była naderwana. To tak na marginesie.

CUMULONIMBUS CAPILLATUS INCUS
Dzień później siedziałem na tarasie i obserwowałem niebo. Kłębił się na nim piękny cumulonimbus capillatus incus. Chmura burzowa o szczycie przypominającym wielkie kowadło. Burza z gorąca powstaje podczas szybkiego

przemieszczenia się ciepłego i wilgotnego powietrza na wysokość, na której latają już tylko odrzutowce. Powietrze w chmurze kręci się jak w betoniarce. W górę i w dół. Ociepla się i ochładza. Może to nie jest chmura, tylko elektrownia na niebie, plusy, minusy, potworny ryk, wieża babilońska tuż przed upadkiem (jak o niej kiedyś powiedzieli w telewizji), w której mieszają się języki wody, gradu i lodowych głazów. Na górze dodatnie napięcie, na dole ujemne. Albo na odwrót.

Lubię obserwować, jak na niebie maluje się burza, bo burza oczyszcza powietrze tak samo, jak niektórych ludzi oczyszcza wizyta u pań doktor, takich, jak ta moja. Ale ja mam swoje zdanie na ten temat. Faktem jest, że przed burzą czasami można spojrzeć naprawdę daleko. Aż po horyzont. Wszystko jest ostre.

Nagle obok mnie stanął Franz.

— Pilot musi omijać takie chmury. Wciągnie cię, zanim się zorientujesz. Wleciałem w taką raz nad Hamburgiem, to mnie wyrzuciło aż pod Berlinem. Ledwo starczyło mi paliwa na powrót — powiedział Franz.

— Pan jest pilotem?

— Byłem. Podczas wojny.

— A po której stronie?

— Po której. Po naszej.

— Aha.

— Ale to było dawno.

— A zestrzelili pana kiedyś?

— Dwa razy nad Atlantykiem. I raz mnie prawie nieżywego znaleźli w tych falach. Ale ja przeżyłem. Z tą przestrzeloną nogą. Przeżyłem wszystko, dlatego teraz tu jestem.

Franz nachylił się nade mną. Z jego ust znów było czuć rumianek.

— Umiesz trzymać język za zębami?

— No, normalnie.

I Franz opowiedział, dlaczego przyjechał do Liberca. Że wrócił tam, gdzie się urodził. Że spełniło mu się to, o czym marzył od wojny.

I że nie przyjechał sam. W puszcze nie przywiózł kawy, tylko Aloisa. Swojego kolegę z klasy. Przyjaciela na śmierć i życie.

— Człowiek musi skończyć tam, gdzie się urodził. Rozumiesz?

— A on chciał, żeby go pan tu przywiózł?

— Chciał, nie chciał. Takie pytania są nieważne. Ważne jest to, co zrobiłem. Może będę miał dla ciebie robotę.

— No chyba normalnie raczej nie. Dzięki.
Chciałem odejść. Nie chciałem mieszać się
w sprawę szalonego niemieckiego emeryta, któ-
ry wozi swoich martwych przyjaciół w puszce po

kawie. Poza tym za chwilę miała być w telewi-
zji popołudniowa prognoza pogody. Ale Franz
chwycił laskę i przyciągnął mnie zawiniętym
końcem w swoją stronę.

— Wyglądasz na porządnego chłopca.

— Proszę mnie puścić.

— Mówiłeś, że mógłbyś umrzeć za to miasto.

Pomyślałem, że to wariat. Na pewno więk-
szy wariat niż ja. Pani doktor by się ucieszy-
ła. I nagle Franz wydał mi się sympatyczny.

Mimo tego, że trzymał mnie laską za szyję, a to
bolało.

— No, mówiłem.

Puścił mnie.

— Jak się nazywasz?

— Fleischman.

— A na imię?

— Fleischman.

— Richtig. Prawdziwy mężczyzna musi mieć
swoje tajemnice.

Złapałem się za szyję. Naprawdę bolało.

— A teraz zawiąż sobie porządnie buty. Praw-
dziwy mężczyzna musi mieć zawsze porządnie
zawiazane buty. Zawołam cię, jak przyjdzie pora.
Nikommu ani słowa. I nie zapomnij, że człowiek
musi skończyć tam, gdzie się urodził.

Kiwnąłem głową. Franz odwrócił się i po-
szedł do hotelu. Poczulem wiatr. Z chmury wy-
skoczył pierwszy piorun. Odezwał się grzmot.

A kiedy już wracałem do środka, w drzwiach
stała Ilja z Patką. Palili.

— Nowy kolega? — spytał Patka, wskazując na
Franza.

Nie odpowiedziałem.

NIESKOŃCZONOŚĆ

Pani doktor mieszka w starej willi koło zale-
wu. I tam też pracuje. Jak do niej przychodzę,
zawsze siadam w fotelu. Patrę przez okno na
drzewa w ogrodzie. Ma ich pięć, dwie jabłonie,
dwie czereśnie i jedną gruszę. Grusza usycha.
W jej gabinecie jest cicho. Pani doktor zawsze
jeszcze wyłącza telefon. Robi sobie kawę, a mi
nalewa wodę. Potem siada obok mnie, wygładza
sobie spódnice i rękawy sweterka. Wyciąga notes
i ołówek. Nabiera powietrza i pyta, co robiłem
przez ostatni tydzień. Jak mi poszło w pracy? Co

z Jegrem? Co z Zuzaną? Kto do nas przyjechał?

108 Jaka jest pogoda?

Przez chwilę mnie słucha, a potem na przykład mówi, żebym spróbował sobie przypomnieć, czego się najbardziej bałem jako dziecko. I ja jej mówię, że diabła i Świętego Mikołaja. A przede wszystkim nieskończoności. Tego, że nigdy nie umiałem jej sobie wyobrazić — przerażało mnie, że za jakąś liczbą może już nie być kolejnej, że poza wszechświatem nie ma kolejnego wszechświata. Mówię, że bałem się również tego, że może ten kolejny wszechświat tam jest. Albo i dwa. Że przerażały mnie nieskończone

możliwości nieskończoności. I parę razy przez to zaczęło mi serce walić, poczułem gulę w gardle i się pocilem.

— To normalne.

— Że serce mi waliło?

— Że bałeś się nieskończoności.

— No, tylko że ja ciągle się jej boję.

Powiedziałem pani doktor, że mimo wszystko cieszy mnie moja nieumiejętność opuszczenia tego miasta, że odnoszę wrażenie, że jest nad nim klosz. Że na swój sposób mnie to uspokaja. Ale i tak strach przed nieskończonością mi nie przejdzie. Pani doktor powiedziała, że nieskończoność jest wolnością i strach przed nieskończonością jest strachem przed wolnością i może właśnie to jest jednym z moich problemów. Pani doktor mówi, że wiele ludzi boi się nieskończoności, dlatego jest im wszystko jedno, czy mamy tu komunizm czy kapitalizm. Że wręcz przeciwnie, podoba im się to, uspokaja ich, że mają coś 109

pewnego. Musiałem się nad tym zastanowić. W końcu pani doktor mi powiedziała, że ludzka dusza też jest czymś w rodzaju nieskończoności. Jak głęboka czarna dziura. I że to dobrze, że razem ją badamy. Ale jeszcze zajmie nam to sporo czasu. I może będzie trochę bolało.

DYSTANS

Franzowi spodobało się u nas na górze. Ponoć człowiek potrzebuje się zdystansować. Powiedział Jegrowi, że chce wynająć pokój na dłużej.

— Jak na dłużej? — zapytał Jegr.

A Franz powiedział:

— Do końca życia.

A potem dodał, że będzie miał jeszcze u nas jakąś pracę. I zapłacił za pierwszych pięć lat z góry.

Franz zamawiał do pokoju śniadanie, obiad

i kolację. I trzy razy dziennie kawę na serce oraz herbatę rumiankową na trawienie. I trzy kieliszki rumu na wspomnienia. Albo zapomnienia. Chciał, żebym ja mu to wszystko przynosił. Opowiadał, że ze sto razy wszedł tu na górę, mówił też, jak potem przyjeżdżał tu ze swoją pierwszą dziewczyną i w hotelu, który się po-110 tem spalił, pili kawę z rumem. Tę dziewczynę odbił mu potem jeden kolega. Ale nie gniewa się na nich, bo już dawno oboje są martwi. Powiedział, że to był wypadek na autostradzie pod Monachium.

Przy słowie wypadek mocniej zabiło mi serce, poczułem gulę w gardle i może trochę poczerwieniałem, mam w końcu pewne doświadczenie w tej kwestii. Nierozgryzione doświadczenie, jak mówi moja pani doktor, chociaż z tym wypadkiem było jednak trochę inaczej. Ale i tak ma recht.

Kiedy Franz nie wychodził z hotelu, cały dzień siedział pod oknem, patrzył na miasto, rozmawiał ze sobą i czasami zasypiał w fotelu.

Właściwie dość często.

ABSOLUTNY SPOKÓJ

Jak już mówiłem, kocham zimę.

Nikt się u nas wtedy nie pojawia. Nawet wycieczki szkolne. Nawet Niemcy Sudeccy. Nawet turyści w wiatrówkach, którzy fotografują nasz Grandhotel w lecie i mówią o cudzie Karla Hubačka, który chciał przedłużyć naszą górę aż do nieba. I udało mu się, więc za Grandhotel dostał nagrodę Perreta, którą dają sobie architekci z całego świata.

Nie pojawiają się u nas nawet kochankowie, których życie rodzinne nie jest już nic warte, więc zaszywiają się przed mężami i żonami. Koppomnieć i mówią o tym, jakie błędy popełniali w życiu, a potem sobie płaczą, kochają się i rano zamawiają śniadanie do pokoju. A potem odchodzą szczęśliwi do swoich żyć i JEgr nigdy nie zapomina podkreślić, że to on ratuje spokój naszego miasta.

Kocham zimę.

Otóż w zimie bywa tu zimno i jest spokój.

Absolutny spokój. Nie ma tu nikogo, oprócz ludzi, którzy tu byli. Nie chodzi mi o tych teraz.

Chodzi mi o ludzi, którzy byli tu przed nami. Jak na przykład kelner Vokračko, który zniknął kiedyś prosto ze zmiany i nikt nie wiedział dłaczego. Po czterech latach Jegr znalazł go w piwnicy

l chankowie, którzy chcą u nas o wszystkim za-

siedzącego na pudle po konserwach. Miał na sobie kelnerski strój z muszką. Nie, nie był żywy. Ale w ręce miał kubek po kawie, a w ustach niedopalonego papierosa. Kawa była sypana. I palił Sparty. Od tego czasu JEgr nie chodzi do piwnicy, więc po konserwy muszę chodzić ja. Są z Unry. Z wojny.

Czasami spotykam Vokračka. Albo gajowego Jirmanna, który tu zastrzelił ostatniego wilka. Albo karczmarza Haslera, który zbudował tu pierwsze schronisko górskie i w ten sposób zapoczątkował sławę naszego szczytu. Czasami ich spotykam, ale nie wiem, czy naprawdę, czy tylko w głębi swojej własnej nieskończoności. Mówię do nich, ale oni mnie nie słyszą.

112 Kocham zimę.

Raz to trwało cały miesiąc. Albo może to było pół roku. Może cały rok. Strasznie długo nikt do nas nie przyszedł. JEgr dał wtedy wszystkim wolne i na górze zostaliśmy tylko my dwaj. Bawiło mnie to, ale prawdą jest, że pod koniec miałem już dość. Pani doktor wprawdzie mówiła, że samotność to stan, w którym można zacząć w sobie sprzątać, i że każdy powinien od czasu do czasu pobyc sam, ale chyba lepiej jest oglądać telewizję. Oglądaliśmy telewizję. Zawsze czekaliśmy na pogodę, na moją prezenterkę, która według

Jegra czaruje nogami, ale wkrótce nie przeszkadzał nam nawet teleshopping. Ani dyskusje o polityce. A w końcu nawet ekran kontrolny.

Ale telewizor też szybko przestał grać. Ktoś wyłączył prąd. Przyszło mi na myśl, że może się urwaliśmy, że cały nasz Grandhotel nie jest już przytwierdzony do góry, do tego miasta, że może wiatr unosi go gdzieś daleko. W górę. Albo w dół. W nieskończoność. że wreszcie jesteśmy wolni. Albo chociaż ja.

— Znowu ci odbija? — powiedział mi na to Jegr i założył sobie latarkę na czoło. Ale dobrze wiedziałem, że on też jest niespokojny, że na niego to też działa.

Gadaliśmy, ale szybko przestaliśmy. Jegra nie interesowało nic na temat pogody. Mnie nic o babach, piłce nożnej i strojach piłkarskich naszych drużyn, które Jegr trzyma we wszystkich możliwych miejscach w szafach, a ja muszę je raz do roku wyprać, żeby JEgr czasami któryś na siebie włożył.

KRYPTONIM JESTED

W recepcji paliły się świece. Jegr czyścił sobie uszy ołówkiem, a potem z latarką na czole

grał w Nu pagadi, łamał jajeczny rekord za rekordem. Aż gra oznajmiła ERROR. Koniec. Kolejny rekord nie był możliwy. Jegr zaczął najpierw powoli, a potem coraz szybciej popadać w coś,

co jest mi dobrze znane. Franz nazywa to zaćmieniem umysłu, pani doktor nieleczoną depresją, a ja niżem barycznym. Cyklonem. A więc też depresją. Myślę, że to najdokładniejsze określenie. W tym momencie pewnie wisi jakaś nad Europą, możecie być tego stuprocentowo pewni. A skutki nigdy nie każą na siebie długo czekać.

— A niech przyjdą — powtarzał w kółko Jegr.

— Niech przyjdą. — Gryzł ołówek, którym przed chwilą czyścił sobie uszy.

— Kto znowu?

— Komuniści.

— Po co by mieli tu przychodzić?

— Niech przyjdą i to sobie z powrotem zabiorą. Ja już nie chcę tego hotelu. Wszystko im chętnie oddam. Niech przyjdą, przywitam ich, poczęstuję kawą i wódką i chętnie oddam im klucze. Łatwo przyszło, łatwo poszło. To dla mnie nie problem. Tylko niech już przyjdą. Prze-
114 cież też byłem komunistą.

— Wiem.

— No tak, ale ja byłem prawdziwym komunistą!

— To byli też nieprawdziwi?

Jegr mnie trzepnął.

— Byli tacy i śmacy. Ale ja w to wierzyłem. We wszystko.

— No, a to dobrze, czy źle?

— Teraz to już przede wszystkim bez znaczenia.

— A czy to prawda, że miał pan kryptonim Jeśted?

Jegr mnie znowu trzepnął.

— Nie pozwalasz sobie za wiele, smrodzie?

— Ja sobie nie pozwalam, to mówiła nasza kucharka.

Zamknąłem oczy i czekałem na następne uderzenie i może jeszcze jedno, ale nie nastąpiło nawet to pierwsze.

— No i co... byłem Jeśtedem — powiedział Jegr spokojnie. — Były gorsze kryptonimy. Byli też gorsi esbecy. Ja tylko obserwowałem. Patrzyłem, czy nikt nie robi burdelu. Robiłem to, co powinien robić każdy porządny człowiek. Jeden na przykład nazywał się Liczyrzepa. A inny Żwirrek albo Rumburak. Taki kryptonim przecież może sobie wybrać tylko kompletny idiota. A co

więcej, myślisz, że zostałbym trenerem młodzie-
ków albo kierownikiem samoobsługi, gdybym
nie był Jeśtedem... ?

— A to sam pan sobie wybrał?

— Ten sklep?

— Nie, kryptonim.

Myślałem, że znowu mi przyłoży, ale Jegr na
mnie popatrzył, a ja odniosłem wrażenie, że ma
wilgotne oczy. Kiwnął głową i oddał się temu,
co moja pani doktor nazywa użalaniem się nad
sobą, a Franz gulaszowym mędzeniem. Jegr plół
pięte przez dziesiąte, narzekał na wszystkich i na
wszystko, mówił, że nigdy nie miał lekko, i że
był nie tylko Jeśtedem, ale też miał kryptonimy
Warzywniak oraz Antena, dlatego że najpierw
pracował w warzywniaku, a podczas służby

115

wojskowej pilnował zagłuszarki, która zagłu-
szała Wolną Europę. I Głos Ameryki i Tu mówi
Londyn, wszystkie te stacje, których słuchał mój
tato, zanim poszedł na zebranie i mówił, że nie
mogę o tym nikomu powiedzieć. Zwłaszcza
w szkole.

Jegr opowiadał, że zna ludzi, którzy mieli
gorsze kryptonimy niż Antena, takie jak Velorex,
Lotnia albo Trautenberg, że bym się zdziwił, jacy
sławni ludzie nosili te kryptonimy, że dziś jest
ich pełno w telewizji i teatrach. Jegr mówił, że
każdy wybierał sobie sam kryptonim, że nad tym
zazwyczaj długo myślał, ponieważ to nie jest ot
taka zwyczajna rzecz — kryptonim to coś więcej
niż normalne imię, kryptonim to coś jak sym-
bol albo metka na tylnej kieszeni spodni. Jemu
podało się w Jeśtedzie to, że tak błyszczy
w ciemności, wisi nad wszystkim i nie podejrze-
wał, że ta góra i ten hotel staną się jego losem.

116 I moim też.

Nigdy bym nie wpadł na to, że Jegr mógłby
myśleć, że istnieje coś takiego jak los, ale moja
pani doktor mówi, że to jest właśnie w życiu eks-
cytujące — ludzie zazwyczaj są zupełnie inni, niż
są, niż się zachowują, są pokręceni, tak jak na
przykład ja, dlatego że ja w środku też jestem
zupełnie inny niż dla otoczenia. Ma recht.

Jegr siedział na krześle z zapaloną latarką na
czole. Wyglądał jak zagubiony górnik, który wie,
że już nigdy nie wydostanie się na powierzchnię.
Nagle się rozplakał, a ja podawałem mu jedną

chusteczkę higieniczną za drugą. Przysięgał, że
został zapędzony w kozi róg, że nigdy nikogo
nie skrzywdził, nawet słowem, ale jeśli kiedyś

faktycznie to zrobił, to tu i teraz wszystkich bardzo przeprasza, bo nie o to mu chodziło. Mówił, że przeprasza naszą sąsiadkę z bloku, która się skarżyła, kiedy ciągle przyprowadzał do nas ekspedientki z samoobsługi, które krzyczały w nocy. Naszą sąsiadkę, z którą się kłócił o porządek na klatce i o piwnicę, więc napisał o niej, że ma brata w Berlinie Zachodnim i planuje do niego pojechać. I sąsiadka w końcu musiała się całkiem wyprowadzić, a jej mieszkanie dostała jedna bezdzietna brunetka, wdowa po oficerze naszego wojska, którego podczas ćwiczeń Tarcza 86 przejechał polski gazik, a Jegr chodził ją przejechać w każdy piątek po obiedzie, zawsze, kiedy w radiu leciał program Uwaga, zakręt! Wdowa wtedy krzyczała, a potem chciała za niego wyjść, a mnie adoptować. Wyglądało to już poważnie, zaczęła do nas przychodzić w odwiedziny, przynosić słodkie bułki i mówić do mnie „synku”. Ale potem zachorowała na cukrzycę, ucieli jej nogę i był szlus. To gdyby was to interesowało.

MUZEUM BLOKU WSCHODNIEGO

117

Jegr przysięgał, że dla ludzi zawsze chciał tylko dobrze, dla ludzi i dla siebie, a w końcu też dla mnie, dlatego że ponoć mnie kocha. Pytał

mnie, czy ja też go kocham. Chwilę musiałem się nad tym zastanowić, ale w końcu przytaknąłem. Największą miłością jest współczucie, jak mówi moja pani doktor. Naprawdę było mi go żal. Czasami.

Jegr mnie objął, na moment się rozplakał i mówił, że to straszna szkoda, że nie interesuję się piłką i nie słucham Katapultu — wtedy byśmy się rozumieli, zostalibyśmy prawdziwymi przyjaciółmi, chociaż i tak nimi jesteśmy, bo nam obu zostało zapisane w gwiazdach, abyśmy spędzili razem całe życie, dlatego że nikt nas nie chce. Było mi go żal, ale trochę też od tego ciarki przebiegały mi po plecach.

Wzruszony Jegr w końcu się podniósł i zaczął jak we śnie tańczyć po recepcji z latarką na czole. Po recepcji, którą stopniowo zmienia w muzeum bloku wschodniego, w mauzoleum własnego życia, którego sednem był blok wschodni, dlatego
118 że Jegr nigdzie indziej nie był i być nie chce. Jegr tańczył powoli, jakby był w wielkiej sali balowej gdzieś w stolicy i trzymał za biodra najpiękniejszą praską paniusią z cudownym tyłkiem. Ale w ręce miał tylko miotłkę do kurzu i z miłością odkurzał figurki, zabawki i obrazki

— odkurzał swoje życie, którego nikt nie może dotykać, żeby przypadkiem się nie rozbiło. I które trzeba polerować, żeby błyszczało, tak jak Jegr co drugi dzień poleruje swoje muzeum, swoje życie kroplami hepilajfu, kroplami szczęśliwego życia, które kupił od Patki.

Jegr tańczył po recepcji, oświecał latarką chwile życia i po raz setny opowiadał mi swoją historię, która przeplata się też z innymi historiami, tak jak na niebie przeplatają się chmury i wiatr.

Jegr wziął do ręki kostkę Rubika, którą mu dała jedna wyjątkowo usatysfakcjonowana węgierska paniusia nad Balatonem.

— Za pierwszy numerek dała mi kostkę, za drugi wieżę babilońską, a za trzeci składanego węża. Wszystko made in profesor Rubik. Ale potem wyszła za mąż i był szlus — powiedział smutno Jegr. — A na koniec dała mi jeszcze to jako specjalny bonus. — Wyjął z szuflady metalowe policyjne kajdanki. — Jej braciszek też był u nich. Jegr położył kajdanki na blat i tańczył po recepcji jak w transie, setny raz pokazywał mi matroszki, które dostał od komsomołki z Leningradu za swoje usługi w pociągu przyjaźni, który łączył każdej nocy Pragę z Moskwą. Wziął do ręki grę Nu pagadi, którą go odznaczyła grupa rosyjska oficerska damulka i w którą nikt nie umie grać tak dobrze i szybko, jak on. Polizał miszkę z bułgarskiej ceramiki, którą go obdarowała nauczycielka muzyki z Płowdiwu, co to ponoć miała piersi jak dwa melony, a zamiast nosa marchewkę. Długo wachał bursztynowy naszyjnik, który pewnego lata przywiózł z Sopotu. W jednym kawałku był zatopiony mały pajaczek. — Ta Polka to nie była kobieta. To był diament. W trakcie nie krzyczała, tylko śpiewała. Jak Ała

119

Pugaczowa — rozplýwał się Jegr nad kawałkami bursztynu i dalej tańczył z zapaloną latarką na czole środkiem swojego muzeum, środkiem swojego życia, które mu uciekło, życia, które do mnie jeszcze nie przyszło, dlatego że nie wiem, czego w życiu chcę, jak mawia pani doktor.

A Jegr mruczał bara bara, bara bara, bara bara, w kółko powtarzał swoje zaklęcie, po czym wziął do ręki morski kompas z figurką jeża z papierosem w ustach, który mu dała jedna wschodnoniemiecka pańcia za dwie upojne noce na Rugii, podczas których powywracali trzy kosze plażowe.

— Wschodnie Niemki to był cud. Huragan
— zaszeptał Jegra i wziął do ręki drobną wschod-
nioniemiecką kolejkę PIKO, małą lokomotywę
parową i trzy zielone wagoniki z miniaturowymi
ludźmi w środku, i delikatnie zdmuchnął z nich
kurz.

120 A ja wyobrażałem sobie, jak jego zdmuchnię-
cie nabiera na sile, jak się zmienia w efekt nie
motyla, ale Jegra, w wiatr, w wichurę, w tropi-
kalną burzę i potem w huragan, który wali na
Hawanę, Miami, Nowy Jork, Moskwę, Pekin
i burzy jedno miasto za drugim. Wyobrażałem
sobie, że to jest efekt motyla — Jegra, że Jegra jed-
nym zdmuchnięciem rozpętuje katastrofę, rewo-
lucję, która w końcu zmiecie też mnie, jego i całe
nasze miasto.

— To mi dała jedna pani inżynier chemii
z Karl-Marx-Stadt. Baba całkiem na poziomie,

ale nieszczęśliwa, bo niezaspokojona. Jej stary,
też inżynier chemii, nie miał dla niej czasu. Jeź-
dziłem z nią do chaty myśliwskiej. Lubiła w trak-
cie patrzeć w las i słuchać Smetany. Nie miała
tyłka, tylko wrota do wszechświata. A potem
zawsze smażyła mi schabowego z sosem grzybo-
wym, który lała na ten schabowy. I wiesz, jak
się ten schabowy nazywa? Jegrsznicel — na moja
cześć! Mają go teraz w każdej dobrej niemieckiej
restauracji. Szkoda, że nie mam na to patentu,
dawno by mnie tu nie było!

Jegra włożył pociąg z powrotem do witryny
swojego życia, po czym rozejrzał się po muzeum
i powiedział wzruszony:

— Fleischman, to jest moja linia życia.

— Myślałem, że ludzie mają ją tylko na ręce.

I nagle w recepcji znowu zapaliło się światło,
włączył się telewizor, prezenterka właśnie koń-
czyła prognozę pogody i powiedziała:

— Dobranoc i żadnych pochmurnych myśli.

A Jegra jakby momentalnie obudził się ze snu.

Zgasił latarkę na czole. Chwycił oddech i wałnął
mnie w głowę.

— Ty jej nigdzie indziej nie masz, Waligrucho.

No chyba, żebym cię nauczył jakiejś sztuczki

Jegra. — Rozejrzał się po swoim muzeum i po-
wiedział: — Wszystkie te baby miały swój zapach,
przypomnę go sobie w sekundę.

— Wiem, piorunem.

— Dokładnie. Bara bara! A najlepsze dziewczyny
pachną benzyną. Ale tego nigdy nie zaznasz.

PUNKT ROSY

Jegr bełkotał o babach i ich zapachach, wspominał Węgierkę pachnącą jak salami, ale dodał, że ja Węgierki nigdy nie zakosztuję, co najwyżej węgierski gulasz i to w dodatku z puszki i zimny. Darł się o Polce, która pachniała wódką wyborową, opowiadał o Niemce Wschodniej, która pachniała jak ajerkoniak.

A ja zastanawiałem się, o co im wszystkim chodzi z tymi zapachami, smrodami i woniami. Dlaczego Jegrowi pachną kobiety i dlaczego Franzowi to miasto pachnie tak, że musi tu wracać. I że mnie też właściwie bawi wążanie kobiet. A potem myślałem o tym, jak pachnie prezydentka, kiedy budzi się rano. I pani doktor, jak się nie wyperfumuje Wiosennym Słońcem z Polski. I myślałem o jeszcze jednej dziewczynie. O Ilji. Denerwowała mnie, ale nie mogłem

122 nic na to poradzić. Stał mi.
— Fleischman, cholera, słuchasz mnie?
— szturchnął mnie Jegr, a ja się wzdrygnąłem, jakby mnie przyłapał nagiego, klęczącego na korytarzu przy drzwiach z ręką na sprzęcie.

— Raz pomazałem jej piersi tym sosem grzybowym. A potem je wylizałem. To była prawdopodobnie najpiękniejsza chwila mojego życia. I jej też. Ta to miała punkt rosy.

— Punkt rosy?

- Chciałem ci to przetłumaczyć na twój język.

— Ale to jest moment, w którym powietrze jest nasycone parą wodną i ta zaczyna normalnie kondensować. Kiedy się zaczynają tworzyć chmury.

— No i właśnie taka jedna wielka, wilgotna chmura zrobiła się wokół nas. Bara bara. Bara bara. Bara bara.

Zostawiłem go barabarującego i wyszedłem na dwór. Nie widziałem nawet czubka swojego nosa. Jak zawsze, kiedy połknie nas chmura. Albo ciemność. Albo nieskończoność.

TRZY WŁOSY

To moja pani doktor powiedziała mi, żebym wziął zeszyt, ołówek i zaczął zapisywać swoje życie. Uważam, że normalnemu człowiekowi nawet by to na myśl nie przyszło, bo normalny człowiek ma zmartwienia i tak dalej. Chciałbym też powiedzieć, że nie zacząłem pisać po to, żebym mógł się poczuć normalnie. Ale trudno mi

powiedzieć, dlaczego zacząłem. Może z nudów. Jak się stoi na górze, patrzy na chmury i czeka na następny front atmosferyczny, ma się na wszystko dużo czasu. Więc zacząłem pisać.

Pani doktor mi powiedziała, żebym spróbował pisać wszystko, absolutnie wszystko, co mi przyjdzie do głowy, i spróbował myśleć o tym, co normalnie nie przychodzi mi do głowy, na przykład o ukrytych snach i pragnieniach. Że

to pomoże. Że uporządkuję sobie myśli i wspomnienia. Że sam w sobie posprzątam. Raz chciała, żebym jej pokazał ten zeszyt, ale wołałem nie. Nie gniewała się. Ponoć kiedyś sam jej to chętnie pokażę. No nie wiem. Myślę, że już nie zdążę. Nie mogę powiedzieć, że mnie to pisanie nie bawi. Ale kilka spraw, o których zacząłem pisać, jest trochę obleśnych. Na przykład Jegr. Moje podglądanie. To, co się stało Franzowi. Albo włosy. Stara indiańska sztuczka Jegra.

Nie chciałem sobie wrywać tych włosów.

Też wydało mi się to niesmaczne, ale zrobiłem to. A przedtem jeszcze zakleiliśmy taśmą izolacyjną dziurkę od klucza. Ze względu na Zuzanę. Wyrwałem je, obejrzałem i położyłem na stoliku nocnym. Były trzy. Dwa długie i jeden krótki.

Nie bolało. Nie śmierdziały.

Następnego dnia wrzuciłem je Ilji do jedzenia. Do zupy gulaszowej.

124 To była moja zemsta. Moja ręka sprawiedliwości. Albo przynajmniej miała być.

Po chwili talerz był pusty.

Drobny problem polegał na tym, że tę zupę zaczęła jeść Ilja, ale potem musiała pójść gdzieś na górę, bo dwaj wycieczkowicze zamówili „bąbelki piorunem”. I zupę dojadł Patka, bo on nigdy nie ma dość jedzenia. I jeszcze ją dopieprzył. Więc nie wiedziałem, w czyim ciele w końcu wylądowały moje włosy. I nie wiem tego do dziś. Prawdą jest, że Patka później inaczej się do mnie uśmiechał, a nawet mi

wybaczył, że wywaliłem na niego w restauracji jedzenie i colę i przepraszał, że się na mnie darł, że jestem głupkiem.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Zanim szliśmy z Franzem na akcję, zawsze najpierw wzywał mnie do swojego pokoju. Zaciągał zasłony, włączał stary projektor, nalewał sobie rumiankową herbatę i w kółko puszczał mi stary film, podczas którego zazwyczaj zasy-

białem. Wy też byście zasnęli. Ale ja zawsze tylko lekko drzemałem, bo Franz by się zdenerwował. Ten film to nie była żadna Ameryka Patki, żaden z tych wielkich filmów, które tam ponoć puszczają w kinach, do których się nie chodzi na piechotę, ale jeździ autem, i co to się w nich nie ogląda filmów, tylko obmacuje dziewczyny. To nie była żadna Godzilla ani King Kong, czy jak

125

się te potwory nazywają. Trochę mi się podobają te filmy, bo jak Godzilla chodzi po mieście, zawsze rozpętuje niezłą burzę, a mnie by interesowało, jak to robi. Ten film Franza był trochę nudny. Był nudniejszy niż piłka nożna, pornosy czy westerny, które lubi oglądać Jegr. Nudniejszy niż wenezuelskie seriale, które z wilgotnymi oczami ogląda w pracy Zuzana. Seriale, w których wszyscy faceci mają czarne, ulizane włosy i nazywają się Enrico, a wszystkie dziewczyny mają szpiczaste

piersi i nazywają się Esmeralda i wszyscy co chwilę się rozstają, to znów schodzą. I czasem ktoś z miłości oślepnie albo ogłuchnie.

Ten film Franza był nudniejszy. Ale może to też dlatego, że widziałem go co najmniej dziesięć razy. Dział się podczas wojny. Albo tuż przed nią. Po prostu w tym czasie, kiedy w naszym mieście mówiło się po niemiecku. Poznałem to po starych napisach, jak na przykład Posthaus, Zum Goldenen ,Bahnhof, Toiletten czy Reichenberg Zeitung.

Paczka chłopców w filmie przechadzała się po mieście. Wałęsali się po rynku, wskakiwali do tramwaju, który tamtędy wcześniej jeździł, jedli lody i wystawiali języki do kamery. Leżeli na plaży nad zalewem. Kapali się. Jechali pociągiem na wycieczkę. Grali na gitarze. Wchodzili na Jested. Czasami były też dziewczyny, którym chłopcy zadzierali spódnice, a one im wymierzały po-
126 liczki. Franz opowiadał, jak wtedy dokazywali z kolegami. Za każdym razem strasznie przy tym się uśmieł i lekko drżał, a ja się bałem, że pęknie mu ściana serca. Czy zadzieranie spódnicy to dokazywanie? Nie wiem.

— To jest Rudi Schlitzer. Ten z wąsem to Alois Schrag. A to jestem ja. Dziewczyny mówiły na nas trójca święta — pokazywał Franz. — Z chłopakami przysięgaliśmy sobie przyjaźń do końca życia.

Franz opowiadał, jak Alois podczas wojny służył na łodzi podwodnej, którą w 1941 roku

w Kilonii nazwali na cześć naszego miasta. Wspominał, że była wielka uroczystość, że łódź podwodną U-206 Reichenberg osobiście chrzczył burmistrz. I jak Alois miał potem szczęście, bo kłapa przy komorze torpedowej ucięła mu dwa palce tak elegancko, że dostał zakażenia, więc w szpitalu musieli mu uciąć dwa następne, a łódź podwodna Reichenberg wypłynęła w styczniu 1942 roku na ostatnią akcję bez niego, żeby nigdy już nie powrócić i pozostać na zawsze na dnie Morza Północnego. Franz opowiadał, jak po wojnie Alois ożenił się w Hamburgu z jedną dziewczyną, którą wygnali z Aśu, i że był szczęśliwy aż do momentu, w którym podczas przechadzki nad brzegiem Łaby trafił go szlag i już później nie było mowy o żadnym szpaciren gejen. I jak ostatecznie skończył w puszcze po kawie.

— A jego rodzina wie, co pan z nim tu robi?

— Jego rodzina gównu wie. Przez cały rok nikt mu nawet kwiatka nie przyniósł. Ale dostać się do ich grobowca nie było łatwo, ta płyta ważyła chyba z trzysta kilo. Ale Franz da sobie radę ze wszystkim — powiedział Franz. — Kupiłem sobie dwóch Polaków i było to ein zwei.

127

— Pan go tam normalnie ukradł?

— Ja tylko zrobiłem to, co trzeba. Zabrałem go, żebym mógł go oddać. Chcę tylko dotrzymać danego słowa. Chcę sprawiedliwości, niczego więcej. A ty mi w tym pomożesz.

Franz opowiadał o Rudim, który dwa razy w życiu popełnił błąd. Pierwszy raz, kiedy zgubił

się na froncie zachodnim we Francji i myślał, że przejdzie przez front do domu, do Sudetów, ale nagle znalazł się we Włoszech. Tam złapali go partyzanci i chcieli powiesić głową w dół, tak jak później powiesili Mussoliniego, ale w końcu tego nie zrobili, ponieważ przyjechali Amerykanie, żeby go uwolnić. Franz opowiadał, jak Rudi po wojnie dał się odstawić do Berlina Wschodniego i został oddanym komunistą, by już nigdy nie nastał nazizm, i wtedy po raz drugi popełnił w życiu błąd, bo od hakenkrojca do sierpa i młota nie jest tak daleko, jak mawia Franz i moja pani doktor, i mają rację. A Franz opowiadał, że nie przestał go lubić, nawet jako komunisty

— wysyłał mu kawę, płyty i pończochy dla jego małżonki, dlatego że przyjaźń nie jest na rok czy dwa, ale na zawsze, na całe życie. A ja w tym czasie myślałem, ile razy ja popełniałem błędy w życiu, skoro tak pobłądziłem

128 w tym mieście.

— Zabrać Rudiego to nie była taka bułka z masłem. Na cmentarzu zobaczyła mnie jakaś baba i wezwała policję. Musiałem uciekać przez płot — opowiadał, a ja nie wiedziałem, czy mnie buja, czy mówi serio. On to chyba wyczuł, bo

powiedział: — Naprawdę. A potem zniknąłem im na ulicy między samochodami.

I dalej mówił o życiu, pokazywał filmowe obrazki, które stanowiły muzeum jego życia, tak samo jak nasza recepcja jest muzeum życia Jegra. A ja mimowolnie myślałem o tym, czy też kiedyś

będę miał swoje muzeum, które będzie mi przypominać wspaniałe i smutne chwile mojego życia, i co w nim będzie. I nie przyszło mi do głowy nic innego niż to, że to będzie muzeum chmur, które przetaczają się nad naszym miastem. Cumulonimbus. Nimbostratus. Cirrostratus. Alto-cumulus. Stratocumulus. Ze to będzie muzeum chmur oraz zimnych i ciepłych frontów. I między tym wszystkim gdzieś będę ja. Chmuromir. Kiedy tak nad tym myślałem, przysnąłem na chwilę, a Franz się zdenerwował i wydarł na mnie, że co ze mnie za facet, co ze mnie za żołnierz, że za to na froncie by mnie zastrzelili. Ja też krzychałem, ale na siebie, w głąb swojej nieskończoności. Na głos mówiłem spokojnie, nie chciałem go jeszcze bardziej zdenerwować. Próbowałem mu wytłumaczyć, że nigdy nie chciałem być ani żołnierzem, ani prawdziwym facetem, ani przydupasem Jegra, może trochę pilotem, ale przede wszystkim chciałem obserwować chmury i niebo. Ale jego to w ogóle nie interesowało.

Potem film się skończył, projektor przez chwilę leciał bez taśmy i Franz odsłonił okna. Wyciągnął starą niemiecką mapę naszego miasta, mapę z zakreślonymi miejscami, w których mieliśmy dokonać sprawiedliwości. Powiesił ją na ścianie.

— Rudi. Alois — Franz pokazywał adresy kolegów. Kolegów, których ostatnie życzenie zdecydował się spełnić, choć może oni sobie tego

wcale nie życzyli. Kolegów, których przywiózł do naszego miasta obróconych w popiół, ale jak mawiał, to wszystko jedno, gancegał, dlatego że chodzi tu o duszę, nie o materię, o przeszłość, a nie o teraźniejszość. Nie szkodzi więc, że przewozi ich przez granicę w puszcze po kawie, na której bawarska wieśniaczka prezentuje wielkie

cyce, ponieważ ważna jest ta istota rzeczy. Posłanie. Sprawiedliwość.

A potem Franz mnie spytał:

— Jak brzmi nasze hasło?

A ja z jego ust znów poczułem rumianek.

— Człowiek musi skończyć tam, gdzie się urodził.

— Nigdy o tym nie zapomnij. A teraz leć.

Ale mi to i tak nie wystarczyło.

— Dlaczego pan wozi ich akurat w puszcze po kawie?

— Kamuflaż. No i przez całą wojnę wszyscy 130 tęskniliśmy za kawą. Nie było nic cenniejszego od kawy. Zapach porządnej kawy przez całą wojnę, całe życie trzymał mnie na nogach.

— A tak poza tym to normalnie nic?

— I zapach tego miasta.

KTO UCIEKŁ, A KTO GASIŁ

Pani doktor od czasu do czasu chce, żebym jej opowiadał o swojej rodzinie. Mówi, że człowiek jest jak pieczętka z ziemniaka, jak kalka swoich

rodziców i dziadków. Nie wiem jak wy, ale ja nigdy nie robiłem w szkole pieczętki z ziemniaka.

Może pani doktor chodziła do innej szkoły.

Nie wiem, dlaczego bawi ją słuchanie w kółko mojej historii. Ale ona mówi, że być może poprzez moją rodzinę znajdziemy rozwiązanie moich problemów.

A więc w skrócie:

To, że na górze stoi nasz Grandhotel, jest winą mojej rodziny. A konkretnie mojego dziadka. I może dlatego, że jest związany z tym hotelem, czasami go tu spotykam, chociaż nigdy w życiu nie mogłem go spotkać, ponieważ kiedy się urodziłem, już od kilku lat był zakopany na cmentarzu.

Zanim powstał nasz hotel, na Ještědzie stał inny. Stary, niemiecki. Wyglądał raczej jak twierdza niż hotel. Franz mówił, że to była prawdziwa twierdza, choć tylko podczas wojny. Wokół niego ustawiono działa, reflektory i wielkie radary, dzięki którym żołnierze wykrywali amerykańskie samoloty na niebie.

Hotel przeżył wojnę.

Ale nie przeżył odwiedzin mojego dziadka.

Dziadek nazywał się Fleischman. Ale nie Fleischman jak ja, tylko Vaclav Fleischman.

Przyjechał do naszego miasta ze wsi pod stolicą, by naprawiać ogrzewanie, dokładnie tego lata, kiedy skończyła się wojna i ludzie myśleli, że te-

raz już nigdy nie będą potrzebować takich rzeczy, jak wielkie radary na samoloty.

A na dworcu spotkał ją. Stała dokładnie pod kasami i nazywała się Hannelore Richter. Moja babcia.

Popatrzyli na siebie i stało się. Pani doktor mówi, że ludzie czasami nie muszą nawet powiedzieć sobie słowa, żeby się zrozumieć, że komunikują się ze sobą poprzez sygnały z mózgu. Ma recht. Babcia nie mówiła ani słowa po czesku, dziadek ani słowa po niemiecku. Co więcej, zaraz miał odjeżdżać pociąg babci, nie osobowy, ale towarowy, którym wywozili ją z całą rodziną „do domu”, do Rzeszy. Rzesza jednak nigdy nie była jej domem, dlatego że jej dom był tu, w górach. Tak samo jak rodziny Franza i innych rodzin. Ich dom był tu, tak samo jak czeskich i żydowskich rodzin, które z tego samego dworca tym samym pociągiem wywieźli przedtem Niemcy, bo też nie chcieli z nimi żyć.

Pytałem babcie, jaka była wtedy pogoda. Nie chciała mi powiedzieć. Babcia w ogóle nie chciała o niczym za dużo mówić. Powiedziała tylko, że to nasz dziadek wyciągnął ją z pociągu. Pobrał się, choć rodzicom dziadka nie bardzo pasowało, że jako porządny czeski rolnik z niemieckim nazwiskiem bierze sobie za żonę Niemkę, która wprawdzie może też jest porządna, ale kto ją tam wie, w końcu to Niemka. A z jego rodzinnej wioski wygnał go proboszcz, ponoć twierdząc, że nikt mu nie będzie bezcześcić kościoła. W końcu dali im ślub w naszym mieście. Nie w kościele, tylko w urzędzie.

Będę się streszczał.

Kochali się i potem urodził im się mój tato, który później pewnego razu nad zalewem spotkał moją mamę, więc urodziłem się ja.

Będę się streszczał.

To dziadek podpalił stary hotel. Nie zrobił tego specjalnie. To była wina pogody. Zima. Szalony mróz. Stało się to 31 stycznia 1963 roku. Dziadek naprawiał w starym hotelu ogrzewanie, które zamarzło. Próbował rozgrzać rury w piwnicy, co mu się udało, ale rozgrzał je jakoś za bardzo, więc w końcu zapaliła się drewniana boazeria za kaloryferem. Dziadek nie spanikował. Próbował gasić, ale nie udało się to ani jemu, ani kelnerowi, ani dozorczy, a w końcu nawet strażakom, którzy wjechali na górę kolejką, bo droga była wtedy zasypana śniegiem. A do

kolejki nie weszła im cysterna, więc wszystko się spaliło cugrund.

Hotel na górze hajcował się jak pochodnia na 133
wszystkie strony świata, palił się całą noc i cały dzień jak wielka latarnia morska. A dziadek biegał dookoła ognia, rozebrał się do naga i tańczył, póki nie przyjechali po niego milicjanci. Dostał dwa lata. A Franz mówił, że o tym pożarze pisały gazety aż w Niemczech, aż tam u niego w Regensburgu, w którym patrzy na Dunaj z okna. To tak na marginesie. W ten sposób dziadek stał się najstynniejszym członkiem naszej rodziny. Pani doktor raz mnie spytała, co ja bym zrobił na jego miejscu. Czy bym uciekł od pożaru, czy

go gasił. Powiedziałem jej, że nie wiem, ale potem opowiadałem jej o tym, jak z Gottem podpaliśmy traktor pod szkołą i jak wszystko było na mnie i że chyba ogień jest u nas rodzinny.

— A co potem stało się z dziadkiem? Dostał dwa lata i co?

— Potem przejechał go czołg.

— Czołg?

— No, w sierpniu, w rynku.

Opowiadałem pani doktor, jak 21 sierpnia 1968 roku dziadek z babcią poszli do miasta popatrzeć na czołgi z białymi pręgami. Jak dziadek zapalił sobie papierosa Partyzant, bo był nerwowy, jak groził im pięścią, walił w czołgi laską i krzyczał, że to jest nóż w plecy, okupacja, żeby wrócili tam, skąd przyjechali, jak w końcu przed jednym czołgiem podarł swoją legitymację partyjną i babcia go ciągnęła z powrotem do domu, żeby znowu go nie zamknęli, 134 i jak w końcu poślizgnął się, a pręgowany czołg nie wyhamował i dziadkowi spod czołgu wystawała tylko głowa z zapalonym papierosem Partyzant w ustach. Od tego nasza babcia zwariowała i przestała mówić po czesku. Kompletnie zapomniała wszystko, czego się nauczyła i później mówiła już tylko po niemiecku, a w końcu z tego wszystkiego umarła. Ale może dzięki temu ja mówię po niemiecku.

Opowiadałem pani doktor, jak tato zabraniał mi mówić o czołgach z pręgami, podartej legitymacji i dziadku. Jak się złościł na mamę i babcie,

że mi o tym w ogóle powiedziały i że to i tak był błąd dziadka przeciwstawić się czołgom. Ponoć normalnemu człowiekowi nie przyszłoby to do głowy. I mówił, że dziadek nie był żadnym partyzantem, choć palił Partyzanty, tylko prowoka-

torem i dywersantem, na cześć których żadnym papierosom nie nadaje się nazwy, dlatego że dywersanci nigdy nie są w cenie.

Ale pani doktor powiedziała, że dziadek był na swój sposób bohaterem i że powinienem być z niego dumny. Już nie pytałem, czy jest bohaterem z powodu tego czołgu, czy raczej z powodu tego starego hotelu, który podpalił i potem w tym miejscu zbudowano cud architektury, który wbija się w samo niebo, cud, który rozświetlił nasze miasto we wszystkich kalendarzach stojących, jakie możecie znaleźć w biurach. Cud, który teraz się rozpada, jak wszystkie cuda.

DYM

Zuzana chciałyby mieć piątkę dzieci. W domu ponoć też była ich piątka. A do tego piątka to jej szczęśliwa liczba. Wyszło jej to w teście. Od tej pory kupuje sobie pięć rogalików. Pięć jogurtów. Pięć jabłek. Pięć biustonoszy. Wyszło jej też w teście, że jest rodzinna. Ponoć jest wręcz strażniczką domowego ogniska.

— No to super, że o tym wiesz — powiedziała jej na to Ilja.

135

Kiedyś rozmawiały o tym w toalecie. Zuzana połykała kinderčila. Ilja paliła. A ja znów tam byłem. Jednym okiem, ale oboma uszami. Za drzwiami. Jak zawsze.

— Ty nie jesteś rodzinna? — spytała Zuzana.

— Chyba tak. Ale stuprocentowej pewności nie mam. Poza tym rodzinę tworzy minimalnie para.

— Ale wy z Patką przecież jesteście parą.

— No tak. Ale nie wiem, czy tą właściwą parą.

— No to czemu jesteście tak długo razem?

Ilja wydmuchała dym i wzruszyła ramionami, że nie wie. Mówiła, że są długo razem, bo tak po prostu wyszło. Że od początku miała wrażenie, że pierwsza miłość musi być na zawsze i musi wytrzymać wszystko, wszystkie zawirowania i tak dalej. I wciąż tak myśli, ponieważ według niej inaczej się nie da. A Zuzana powiedziała, że też tak myśli i może Ilja powinna wypełnić jakiś test, choć w nie nie wierzy, i przekonać się, jak to z nimi jest. Ale ona, Zuzana, wierzy, że na pewno jest dobrze i że razem wkrótce uciekną.cz.

Ilja odparła, że to nie jest takie pewne i teraz na pewno nie chce uciec.

— Ja bym od razu uciekła. Ale też się nie da

— powiedziała Zuzana.

— Czemu?

— Nie wiem. Może ze względu na Fleischmana. I nie znam języków. Wyszło mi w teście, że nie mam smykałki do języków.

— Ważne, że masz do innych rzeczy.

— Co masz na myśli?

— No wiesz, wyszło ci, że jesteś kreatywna.

Ilja lekko się uśmiechnęła. I znów zaciągnęła się papierosem. Dym wydmuchała wysoko do sufitu. Nie podoba mi się, jak dziewczyny palą. Ale w tym gościu było coś ciekawego. Ilja miała jedną rękę założoną na piersi, drugą trzymała papierosa, wydmuchiwała dym pod sufit i patrzyła na niego. A dym unosił się najpierw szybko, a potem powoli, jak wtedy, gdy mama obcinała swojej klientce włosy i one wolno spadały na ziemię. Dym rozpląwał się powoli, tak samo jak wtedy, gdy podnosi się mgła i niebo jest potem błękitne. A mi się wydawało, że Ilja wydmuchuje z siebie nie tylko dym, ale jeszcze coś więcej, coś, co ukrywa w sobie tak samo jak ja, jakąś tajemnicę zagubioną w jej własnej nieskończoności.

A Zuzana mówiła, że ja też jestem rodzinny, ale jeszcze o tym nie wiem — co nawiasem mówiąc jest prawdą — też jej to wyszło w teście.

137

Opowiadała Ilji, że ma cztery siostry i jest cudownie, kiedy spotyka się cała rodzina. Wszyscy mówią wtedy naraz i nie można zrozumieć ani słowa. Mówiła, że siostry dawno już wyszły za mąż, a dwie są młodsze od niej, i że wszystkie miały wesela w naszym Grandhotelu. I ona też kiedyś będzie miała wesele, dlatego że zawsze było wspaniale i impreza kończyła się trzydziestoma kilogramami lodów waniliowych. No, było wspaniale. Byłem tam. Myślicie, że kto po nich musiał sprzątać ten burdel? Ścierać lody

z krzeseł i podłogi? Z sufitu? Jeśli chcecie wiedzieć, jak się tam dostały, spytajcie Zuzanę.

Ilja lekko się uśmiechnęła. I powiedziała, że też kiedyś chciałaby mieć dzieci, że właściwie nie kiedyś, ale wkrótce. I zupełnie by jej wystarczyło jedno. I dziecko nie tylko chce mieć wkrótce, ale musi mieć wkrótce, bo nie ma wiele czasu.

— Na to kobieta nigdy nie ma wiele czasu. Im wcześniej, tym lepiej. Tym więcej. To jasna sprawa. Jak zacznie tykać zegar...

— Nie to miałam na myśli.

— A co?

— Po prostu coś innego — powiedziała Ilja,

wydmuchała powoli dym, który znów wolno rozpraszał się pod sufitem. A potem położyła papierosa na skraju umywalki, wyciągnęła z torbki mały aparat fotograficzny i zrobiła sobie zdjęcie. Pstryk.

— Czemu robisz sobie zdjęcie?

138 - Dla dzieci — powiedziała Ilja, zgasła papierosa i ruszyła w stronę drzwi. Musiałem wstać i uciec.

WIATR

Czasami nie jestem pewien, czy pani doktor mnie słucha. Siedzi obok mnie, też patrzy przez okno na ogród, przymyka oczy, a mnie się wydaje, że niekiedy zasypia. Ale ja to rozumiem. Takich jak ja przychodzi do niej sześciu dziennie. Kiedyś

policzyłem. To były cztery kobiety i dwóch mężczyzn. Jedna z tych pań wychodziła z płaczem. Mnie się to nigdy nie zdarzyło.

Nie dziwię się, że może ją to nudzić. Chyba też bym usnął, gdybym musiał w kółko wysłuchiwać czyichś problemów, gdybym musiał przewalać z jednej strony na drugą kupy gnoju, który ludzie noszą w głowie. Zasnąłbym, choć tak ogólnie dużo nie śpię.

Ale nawet jeśli pani doktor śpi, to z pewnością tylko płytko. Na pół gwizdka. Gdy przestaję mówić i patrzę, jak pod sweterkiem regularnie podnoszą się jej piersi i jak unosi się też mały złoty krzyżyk, który ma na łańcuszku, nagle otwiera oczy i mówi, że mnie słucha, że bym kontynuował. A potem zaskakuje mnie jakimś pytaniem, nad którym muszę się zastanawiać. Na przykład raz się mnie spytała, jak sobie wyobrażam śmierć.

— Myślę, że to coś jak wiatr. 139

— Wiatr?

— No.

Mówię jej, że wiatr stoi na początku i na końcu każdej zmiany pogody, każdego ruchu chmur, każdego fragmentu świata. Opowiadam jej, że wiatr to ruch powietrza, który tworzą wahania ciśnienia i ruch obrotowy ziemi. I że są wiatry horyzontalne, wznoszące, opadające i dużo innych. I że w górach wieje bardziej niż na nizinie. I że mamy dwunastostopniową skalę wiatru, którą stworzył Francis Beaufort już w 1805 roku.

Że mamy ciszę. Powiew. Słaby wiatr. Łagodny wiatr. Umiarkowany wiatr. Dość silny wiatr. Silny wiatr. Bardzo silny wiatr. Gwałtowny wiatr.

Wichurę. Silną wichurę. Gwałtowną wichurę. Huragan. Mówię pani doktor, że Beaufort był brytyjskim kontradmirałem. Bohaterem. Pokazywali to w telewizji. Mówię pani doktor nie tylko o sile wiatru i pięknie jego siły, której nigdy nie da się powstrzymać, ale też o efekcie motyla, o tym, że wiatr może powstać zupełnie inaczej niż tylko w wyniku wahania ciśnienia. I że myślę, że to wiatr kiedyś zabierze nas wszystkich gdzieś daleko.

— Dokąd?

Serio nie wiedziałem, co powiedzieć. Ale pani doktor powiedziała, że to nie szkodzi, że może mam rację, że jakiś niemiecki filozof, lekarz, inżynier, czy ktoś taki też napisał, że wszystkich nas połknie wichura, która kiedyś będzie się przeta-

140 czać z przyszłości do przeszłości i z powrotem. Mówiła o Aniele historii. Ale który motyl rozpętał tę burzę, nie wiedziała.

Tak sobie myślę, że człowiek zawsze rozpętuje ją sam. Kiedy ktoś umiera, mówi się, że opuszcza go dusza. Wydaje ostatnie tchnienie. I myślę, że to jest właśnie to — każdy z nas ma w ustach małego motyla, który wylatuje wraz z ostatnim oddechem i robi mały wiatr. Wiatr nabiera siły, aż zmienia się w huragan i zabiera go gdzieś daleko. Motyla i człowieka.

ALOIS SCHRAG

* 12.10.1922

30.08.1997

Nie, żeby mi się chciało chodzić na te pogrzebowe akcje. Po prostu nie mogłem powiedzieć „nie”. Franz wyglądał na zdecydowanego. Entuzjastycznego. A mnie się to w nim podobało. Wyglądał na zdecydowanego też wtedy, gdy kuląc się w niebieskim wózku, narzekał na burdel w hotelu, bo zdenerwował się tym, że na bruku w rynku zwichnął nogę. Tę zdrową nogę, zaznaczam. Ale akcji pod nazwą „Alois Schrag” nie chciał odwoływać z tego powodu.

Zatem wyruszyliśmy.

Nie było trudno znaleźć dom, w którym mieszkał Alois Schrag. Może znaleźlibyśmy go nawet bez starej mapy Franza. Ten dom stał kawałek od pętli tramwajowej w dzielnicy willowej, zbudowanej na początku minionego wieku, który rozkwitał w pełnej krasie jak początek każdego wieku. Wiek rozkwitał, więc może dlatego na wszystkich tych domach są kwiaty. Mam na myśli fasady i takie miejsca. Nikt nie wie, kiedy to wszystko padnie i z krasą i kwiatów nie pozost-

stanie nic prócz kilku starych zdjęć, filmów, kurzu i odrapanego tynku. Nie wie tego ani moja pani doktor, ani Franz, którzy normalnie wiedzą niemal wszystko.

Rodzinny dom Schraga stał przy ulicy, po której jeździły tramwaje, przy ulicy, która nazywa

się Masaryka. Wcześniej Lenina. A wcześniej Śaminka. A wcześniej Bayer Strasse. A wcześniej Sedmidomky. A wcześniej Kaiser-Josef-Strasse. A wcześniej Belvedere.

Schrdg znaczy skośny. W poprzek. Ale też dziwny. Odjechany. To tak na marginesie.

A Franz mówił, że dokładnie taki był Alois, bo jako chłopiec zapisywał nazwy wszystkich ptaków, które pojawiały się w jego ogrodzie. Trzy razy dziennie sypał im ziarno i okruszki, nadawał im imiona takie jak Rudi albo Trudi i zbudował im mały zamek z karmników, który do dziś stoi w ogrodzie willi.

Alois na starość wrócił do tego zajęcia, bo człowiek zawsze na końcu wraca na początek, jak mawia moja pani doktor. Zatem co dzień w Hamburgu kupował dwadzieścia bułek, którymi karmił mewy oraz kaczki podczas spaceru wzdłuż Łaby. Aż w końcu podczas takiej przechadzki trafił go szlag. Ptaki zleciały się do niego i wydziobały wszystkie bułki, te, które miał pokruszone w ręce, i te pochowane po kieszeniach. A kiedy znaleźli go ludzie, ptaki siedziały na nim jak na pomniku i nie chciały nikogo do niego dopuścić. Dziobały i dziobały, aż musieli wezwać strażaków w kombinezonach ochronnych, którzy je przepędzili. Tak o tym przynajmniej mówił Franz, a on musi wiedzieć, skoro był najlepszym przyjacielem Aloisa.

Alois Schrdg nie był martwy. Tylko na chwilę mózg odmówił mu posłuszeństwa. Kiedy

doszedł do siebie w szpitalu, okazało się, że stracił wzrok. Potem pięć lat przesiedział przy oknie z kubkiem kawy w ręce, przy oknie, które było otwarte latem i zimą. Słuchał ulicznego gwaru i powiedział Franzowi, że to nie jest smutne życie, że jest szczęśliwy, absolutnie najszczęśliwszy i nigdy nie myślał, że świat, który umie sobie wyobrazić, jest taki piękny. A na parapet przylatywały ptaki, które karmił. W końcu tego piękna wyobraźni było tak dużo, że go przygniotło. Nie było trudno znaleźć jego dom. Panuje tu cisza, którą tylko czasem zakłóci tramwaj albo wrzaski zwierząt z pobliskiego zoo. Słoni, małp,

białych tygrysów i tak dalej. Kilka razy byłem tam ze szkołą.

Staliśmy na chodniku przed willą.

— Jak brzmi nasze hasło? — spytał Franz.

— Człowiek musi skończyć tam, gdzie się urodził.

— Nigdy o tym nie zapomnij.

143

— Oczywiście.

— Co mówiłeś?

— Że jestem gotowy.

— Będę stał na czatach. I krył ci tyły. Jak tak zagwiżdżę, to los los los! — Z reklamówki wyjął puszkę po kawie i podał mi ją.

Jasne. Czuję się strasznie spokojnie. Moje tyły krył wprawdzie zdecydowany, ale podwójny kaleka, siedzący na wózku z jedną nogą dożywotnio niesprawną, a drugą tymczasowo zwichniętą. Ale zrobiłem to. Dla niego. I dla siebie też.

Lepiej w życiu zrobić coś, niż nie zrobić kompletnie niczego.

W ogrodzie było cicho. W domu też. Wszyscy byli w pracy. Sprawdziliśmy to wcześniej.

Ostatni raz się rozejrzałem. Nie było nikogo.

Przebiegłem przez płot i skoczyłem do ogrodu.

Otworzyłem puszkę.

— Najpierw mu pokaż — krzyczał do mnie Franz.

— Jak pokaż?

— Po prostu pokaż mu dom, zanim go wypiesz. Żeby widział, że wrócił.

Za dużo z tego nie rozumiałem, ale ustawiłem puszkę w kierunku drzwi domu.

— Herzlich Willkommen zu Hause, Alois

— krzyknął Franz.

A potem zacząłem. Nasypałem trochę Aloisa koło drzwi, do okienka od piwnicy, na ławeczkę i w końcu też do zamku z karmników, który był 144 dużo wyższy niż ja. Wypłoszyłem ze środka dwie sikorki. Sypałem go we wszystkie możliwe miejsca i myślałem o tym, że on sam przed laty sypał w ten sposób pokarm kosom, wróblom i gołębom. Tyle że Alois Schrag sypał ziarno i pokruszony chleb, a ja sypię tu jego popiół.

Sypałem go wszędzie i myślałem o tym, że Franz może ma recht, że teraz Alois naprawdę wraca tam, gdzie się urodził. I że znów powoli się ze wszystkim zrasta. I że to, co robię, jest słuszne. Jasne, wiem, że jest odjechane. Ale biorąc pod uwagę, co dzisiaj normalnie leci w telewizji,

jest odjechane tylko trochę. Mam wrażenie, że

to ma przynajmniej jakiś sens.

A kiedy z powrotem zamknąłem pustą puszkę i idąc do płotu myślałem o tym, jak przez niego przeleźć, nie rozrywając sobie spodni, coś się nade mną poruszyło. Niektóre rzeczy widzi się nawet, jeśli się ich nie widzi. Spojrzałem na niebo. Klębiła się na nim długa chmura pierzasta. Oprócz niej nie było ani jednej. Wisiała na jakichś dziesięciu kilometrach. Zobaczyć chmurę pierzastą w ruchu to nie jest taka zwykła sprawa. Chmury pierzaste wprawdzie się ruszają, ale tylko bardzo wolno, prawie niezauważalnie, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Jak na przykład ludzie na pogrzebie — im ruszają się najwyżej twarze. A w tym przypadku też chodziło o pogrzeb.

W przypadku zwanym Alois Schrag.

A potem to się stało. Patrzyłem na chmurę i zauważyłem, że mały kawałek oddzieliła się od niej i leci w dół. Widziałem, że ten kawałek chmury nie spada, tylko opada powoli, jak ucięte włosy klientek mamy, jak włosy, które tak po prostu trzyma się między palcami, a potem puszcza je na wiatr. Czułem, że to jest chwila, w której zatrzymuje się czas i zamknąłem przed tym pięknem oczy, życząc sobie, żeby to nigdy się nie skończyło, żeby ta chmura spadła aż na ziemię i pochłonęła nas wszystkich.

Obudził mnie Franz.

Zorientowałem się, że nie tylko nade mną i we mnie, ale też za mną coś się poruszyło.

Franz dziko na mnie gwizdał. Chociaż dziko w jego przypadku to nie jest dobre określenie.

Po prostu gwizdał. I na przemian kaszłał.

Odwróciłem się.

Stał tam pies. Jego nie sprawdziliśmy.

— Piesio, kochany, malutki — szeptałem.

Ale piesio nie był ani malutki, ani kochany.

Błyszczały mu oczy. Stał przede mną i warczał.

To był piękny pies. Owczarek niemiecki, który pilnował czeskiego domu, który wcześniej był niemiecki. Ten stan świata pani doktor nazywa paradoksem. Przynajmniej już wiem, co to dokładnie jest, ponieważ zostałem zmuszony skosztować tego paradoksu. W pełni go przeżyć.

— Fleischman, uciekaj! — rozkazał Franz.

To się nazywa odpowiednia rada w odpowiedniej chwili. Sam bym chyba na to nie wpadł. Mimo to nie ruszyłem się z miejsca.

W końcu jakoś bardzo nie bolało. Pies mnie

146 nie ugryzł, tylko skoczył, oparł się łapami o moje ramiona i polizał mi twarz. Zapach taki

sobie.

Wracaliśmy do hotelu. Pchałem Franza na wózk. Zasnął. Uśmiechał się przez sen usatysfakcjonowany, a na kolanach trzymał pustą puszkę po kawie.

W recepcji spotkaliśmy Patkę i Jegra. Jegr kupował kolejną butelkę szczęśliwego życia. Patka chciał też jedną wcisnąć Franzowi, że to ponoć działa na każdy problem, także na okaleczone nogi i chore dusze. Ale Franz go tylko odsunął

laską. A później w pokoju dał mi pięćdziesiąt euro. To tak na marginesie.

BŁYSKAWICE W NAS

Zazwyczaj u pani doktor ja mówię, a ona słucha, notuje, poprawia sobie sukienkę i popija kawę. Ale czasem ona też się rozgada.

Raz mi na przykład tłumaczyła, w jaki sposób ludzie poznają świat wokół siebie. Według niej ludzie wprawdzie słyszą, czują, widzą, ale potrafią jeszcze coś więcej, coś, czego nie da się opisać słowami, czego nie da się kompletnie wytłumaczyć. Mówiła, że komunikacja międzyludzka działa również inaczej, idzie innymi strumieniami i kanałami. Na przykład kiedy ludzie zakochują się w sobie, to nigdy nie jest to takie proste, że nawzajem się sobie podobają. Że to wszystko jest bardziej skomplikowane, że to łamigłówka, coś jak kostka Rubika Jegra, której nawiasem mówiąc nigdy nie ułożyłem, i że wielu z tych rzeczy w ogóle nie widać, nie czuć i nie słyszać.

147

Jeśli to prawda, to miłość jest czymś w rodzaju pioruna. Każdy piorun, który pojawia się na niebie i go widać, ma swojego brata, którego nie widać — niewidzialny antypiorun, który w tej samej chwili wyrusza naprzeciw niemu z ziemi. A kiedy te dwa pioruny się spotkają, zaiskrzy. Zaświeci. A potem też nieźle trzaśnie. Jak

już mówiłem, wszystko na świecie jest związane z pogodą. To też.

A jeśli naprawdę tak jest, to właśnie taki piorun na dworcu sprawił, że moja babcia Hannelore poznała się z dziadkiem Vaclavem. Właśnie tak zaczęli być razem moja druga babcia Véra i drugi dziadek Tomáš, którzy nazywali się Vranovie i umarli, zanim zdażyłem się urodzić. Ale to właśnie dzięki nim, innej piątce rodzin i kupie przypadków, czy raczej wypadków, jestem krewnym Jegra. Właśnie tak poznali się moja mama z tatą,

kiedy spotkali się nad zalewem i którym później urodziłem się ja. Tak zaiskrzyło też między Patką i Ilją na dyskotecę „W hucie”, czy jak to się tam nazywa.

Problem w tym, że nie każdy piorun trafi i nie każdy dojdzie do ziemi. Większość z nich zostaje na niebie. Między chmurami. Chcę przez to powiedzieć, że nie na każdego czeka jakiś piorun. Do Jegra na przykład dotarło od razu kilka piorunów, ale żaden nie był na całe życie. Do Franza dotarł jeden, ale później Franza przebił inny, silniejszy piorun jego kolegi i naprzeciwko niemu już żaden kolejny nie wyszedł, więc Franz został sam. A pani doktor takiego pioruna nie spotkała. W dowodzie ma napisane „stan cywilny: panna”, czego się dowiedziałem, kiedy raz poszła do toalety. Kiedy innym razem spytałem, dlaczego nie wyszła za mąż, przestała nagle gładzić sukienkę i popatrzyła na mnie. Czekałem, co powie, ale nie powiedziała nic.

Pewne jest to, że gdy w nasz Grandhotel uderzy piorun, to cały się trochę zatrząsie. Zakolysze. A turyści robią w spodnie i pytają, czy przebywanie tu teraz nie jest niebezpieczne, czy można dotykać kaloryfera albo stać blisko okna. A Jegr im mówi, że całe życie jest jednym wielkim niebezpieczeństwem.

Czasem wysiądzie prąd. Czasem zjeżą nam się włosy. A czasem od uderzenia na chwilę ogłuchniemy.

Uderzenia są częste, bo jesteśmy czymś w rodzaju piorunochronu naszego miasta. Tylko w tym roku stało się to pięćdziesiąt trzy razy. To tak na marginesie.

POMARAŃCZOWE SLIPY

Pamiętam to jak dziś.

To Patka wpadł na pomysł, żebyśmy wszyscy 149
razem pojechali się wykąpać.

No, przynajmniej tak myślałem. Powiedział mi to tego dnia, gdy dotarł do nas południowy wiatr. Kiedy byliśmy pod wpływem wielkiego wyżu barycznego przesuwającego ciepłe powietrze znad Morza Śródziemnego, gdzie żyją najszczęśliwsi ludzie w Europie, bo mają morze, ryby i turystów. Pokazywali to w telewizji.

— Gotowy? — spytał mnie. Staliśmy obok siebie w toalecie. Każdy przy swoim pisuarze.

Kiwnąłem głową. Musiał mi jednak obiecać,

że pojedziemy nad zalew w mieście. Chcę się kąpać w miejscu, które znam. Gdzie czuję się jak w domu.

— No jasne — uśmiechnął się.

Patka mi powiedział, że ta wycieczka to moja szansa na nowe życie. Na szczęśliwe życie. Hepilajf. Ale jest jeden haczyk. Muszę przespać się z Zuzaną.

— Czemu?

— Bo na ciebie leci, nie? Ślepy jesteś?

— No wiem.

— To co zrobisz, skoro wiesz?

— Nic.

Patka mówił, że to nie jest problem. Że Ilja też tak powiedziała.

— Musisz jakoś zacząć. Zacznieś z Zuzaną, skończysz z superstar. Wierz mi — powiedział, wyciągnął zieloną butelkę hepilajfu i łyknął sobie. Zaoferował też mnie.

— To jak tuning.

Super, ale ja nie miałem ochoty.

— Ilja jest superstar? — spytałem.

— O co ci chodzi? — zakłopotał się Patka. I ja też się zakłopotalem.

Ale Patka od razu zaskoczył:

— No, właściwie to masz rację, jest superstar.

Moją superstar.cz. Jakie masz kąpielówki?

— Mam spodenki.

— Pokaż.

Nie chciałem. Myślałem mimowolnie o moich trzech włosach, które Patka może zjadł, a może nie. Ale w końcu mu je pokazałem.

— Czerwone? — zdziwił się Patka. — Fleischman, już nie jesteśmy w podstawówce.

Musiałem mu przyznać rację.

W końcu pożyczył mi swoje. To znaczy, swoje zapasowe kąpielówki. Pomarańczowe slipy z małą amerykańską flagą. Prezent od Ilji.

AMERYKAŃSKI ROK

Wyjechaliśmy i niebo było błękitne. Przed hotelem spotkaliśmy Franza. Pomachał mi laską. Później musiałem się zastanawiać, czy to było pozdrowienie, czy ostrzeżenie. Ale do tego jeszcze dojdę.

Patka z Ilją siedzieli z przodu. Palili. Z tyłu kleiła się do mnie Zuzana. Pociła się. Brała mnie za rękę i chciała, żebym dotknął jej szyi i czoła, żebym się przekonał, jak bardzo jest gorąco. A kiedy dotknąłem jej szyi, chwyciła mnie za rękę, położyła ją sobie na piersiach i powiedzia-

ła, że najgoręcej jest jej tutaj. Jej piersi były duże i twarde. Nie mogę powiedzieć, żeby nie była ładna w tym miejscu. Stał mi. Ale i tak gwałtownie zabrałem rękę.

— Kiedyś umrę od tego upału — powiedziała Ilja.

— Ja też. Wyszło mi tak w teście — powiedziała Zuzana.

— Fajnie, że wiesz, na co umrzesz — powiedziałem. — Tobie to dobrze.

— Myślisz?

— Już masz normalnie tę świadomość. Możesz być spokojniejsza.

— Hej, przełączcie ten kanał śmierci, co?

Wrzućcie tam coś wesołego. Fleischman, co z hepilajfem? Zastanowiłeś się już? — Patka odwrócił się do mnie.

— Normalnie nie.

— W porządku. Ja nikogo do niczego nie zmuszam. Wolność przede wszystkim. Ale żebyś wiedział: to radio, ten samochód, ta dziewczyna — wszystko mejd in hepilajf.

— Wielkie dzięki — powiedziała Ilja.

— Hany, ja tylko próbuje mu pomóc.

— A właściwie to jak długo byłeś w tej Ameryce? — spytała Zuzana.

Patka na chwilę spochmurniał. Może dlatego, że musiał uważać na drogę. Gwałtownie zahamował przy przejściu.

— Durny emeryt — wałnął w kierownicę.

— Długo, nie? — powiedziała Ilja.

Patka popatrzył na Ilję, chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic. Emeryt dodreptał na drugą stronę jezdni. Patka dodał gazu.

— Rok. To jak nic. W Ameryce czas leci dziesięć razy szybciej niż tutaj — powiedział. — W Ameryce już dawno zlikwidowali przejścia dla pieszych.

Tak samo jak przedszkola i emerytów. Dlatego nie musisz nikomu dawać pierwszeństwa. Kto jedzie, ten jedzie. Kto nie jedzie...

— Ten nie jedzie — przerwała mu Ilja.

— No... tak, hany.

— A co tam robiłeś? — pytała Zuzana.

— No... wszystko. Pracowałem, ale przede wszystkim żyłem. Na maksa. Tam jest życie, nie to, co tu. Liberec to ded siti. Stąd to akurat można tylko uciec.cz.

— Tu się zgadzam — powiedziała Zuzana.

Potem jeszcze gadaliśmy o marzeniach i o ży-

ciu. O hotelu. O Jegrze. A raczej oni gadali. Ja milczałem, obserwowałem drogę i głaszczącą mnie Zuzanę. Nagle przejechała ręką po moim rozporoku. Nie mogę powiedzieć, żeby to było zdecydowanie nieprzyjemne. Ale zupełnie przyjemne to też nie było. Zuzana to po prostu Zuzana. Myślałem o tym, że po południu na pewno przyjdzie letnia burza. Wprawdzie niebo było jeszcze błękitne, ale trochę niespokojne. To się po prostu widzi. A Zuzana głaskała mnie dalej.

— Jegr wygląda jak austriacki zjazdowiec

— powiedziała Ilja.

— Raczej jak bawarska gwiazda porno — powiedział Patka.

— Po prostu włoski karuzelarz — powiedziała Zuzana.

Ilja chciała wiedzieć, co ja myślę o Jegrze, skoro go tyle znam. Powiedziałem, że całkiem go lubię.

153

DWADZIEŚCIA KOLEJEK

Przypomniałem sobie, że też byłem kiedyś na karuzeli i to łańcuchowej. Otóż nie chciałem być tylko obserwatorem chmur, ale przez chwilę też pilotem. W telewizji widziałem trenera pilotów, który wzmacniał wytrzymałość. Mówili, że działała jak karuzela. Na odpust tym razem poszedłem z Jegrem. To było zaraz na początku naszego życia. Mam na myśli nasze wspólne życie, w samoobsłudze i bloku.

— Dwadzieścia kolejek — powiedział Jegr karuzelarzowi i zapłacił. Nie żeby mnie tak kochał. Chciał się mnie na chwilę pozbyć.

Usiadłem na krzeselku. Jegr poszedł ciosać kołki na głowie cycatej paniusi z Domu Strachu. Miała włosy jak ze złota. A na szyi wisiał jej identycznie złoty niedźwiadek. Jegr twierdził, że to jego koleżanka z podstawówki i że jest teraz

154 okropnie samotna.

Zaczęła grać muzyka, a ja zacząłem się kręcić. Dziesięć rund było w porządku, a potem przyszedł kryzys. Czy raczej zwrot akcji. Mam na myśli zwrócone jedzenie i lemoniadę, które miałem w żołądku. Zwymiotowałem na wszystko. Na karuzelę. Dom Strachu. Jegra. I jego koleżankę.

KROK W PUSTKĘ

Zalew w Libercu zbudowano po to, by naszego miasta tak często nie pochłaniała wielka woda, która płynie przez nie rzeką Nysą do Odry, a potem prosto do Morza Bałtyckiego.

Woda, która bywała tak wielka, że zabierała ze sobą kilka domów, ludzi i niosła ich aż do Niemiec. Serio. Jednego rzeźnika wzięła prosto z jego kramu razem z ladą, nożem i siekierą — wyłowili go półżywego aż we Frankfurcie nad Odrą. Franz mówił, że Niemcy chcieli mu dać wyrok bez zawiasów za nielegalne przekroczenie granicy. No ale teraz jest szlus. Mamy zalew. Tama ma wysokość trzynastu metrów, a długość stu pięćdziesięciu siedmiu metrów. I są na niej dwie wieże. To tak na marginesie.

Myślałem o powodziach, kiedy staliśmy na plaży nad zalewem. I kiedy wchodziliśmy do wody. Ja wszedłem ostatni. Rozbiegłem się i gnałem w zimnej wodzie coraz dalej i dalej. Woda chlapała, było mi dobrze. Nigdy wcześniej nie przeżyłem czegoś takiego. Może dlatego, że nigdy przedtem się nie kąpałem. Ale do tego jeszcze dojdę.

Nagle straciłem grunt pod nogami. Była tylko głęboka dziura, która ciągnęła mnie w dół. Nie bałem się. Ani nie czułem się niespokojny. Nie ścisnęło mnie w gardle ani nie poczerwieniałem, czego i tak nie byłoby widać pod wodą.

Dziwacznie mnie to uspokajało. Myślałem o śnie, który czasem do mnie wraca, o śnie, w którym spadam przez dziurę prosto z nieba na ziemię. Machałem nogami w pustce, ale wkrótce przestałem. Opadałem. Ale potem ktoś mnie złapał za ręce i wyciągnął.

Nagle znów zobaczyłem siebie z góry, jak wtedy na porodówce. Albo tak mi się tylko wydawało. Widziałem samego siebie, jak leżę na plecach na plaży, a nade mną ktoś się pochyła. Ten ktoś miał niebieski strój kąpielowy i czerwone włosy. I jedną ręką je sobie przeczesywał. A ja odniosłem wrażenie, że czas się zatrzymał. Na zawsze. To była Ilja. Robiła mi coś w rodzaju sztucznego oddychania. A na koniec dwa razy mnie spoliczkowała.

A więc się przebudziłem.

Pierwszą usłyszałem Zuzanę. Darła się, że musimy wezwać lekarza, skoro jestem martwy.

156 Patka chciał mi nalać do ust hepilajfu. A w końcu sam się go napił.

— Już jest okej — powiedziała Ilja, kiedy zacząłem oddychać.

— Ty debilu, nie umiesz pływać?! — krzyczał na mnie Patka.

Leżałem na plaży i patrzyłem na niebo, które już nie było błękitne. Między mną a niebem

było powietrze. I rosnące chmury. I gęby. Patka.
Zuzana. Ilja.
Trochę parskalem wodą. Przyszło mi na myśl,
że szcerniała wewnątrz mojego ciała.

— No. Nie. Nie wiem.
— Umiesz, czy nie umiesz?
— Chyba normalnie nie.
— Ja pierdziele, co za debil! Największy debil. cz
— darł się Patka. — Pakujemy się. Jedziemy!
— Przecież go tu nie zostawimy.
— Zostawimy.
— Potrzebuje lekarza — powiedziała Ilja.
— No potrzebuje, ale psychiatry.
— Ty chyba oszalałeś — powiedziała Ilja.
— Ja oszalałem? To on oszalał. Jedziemy!
— Ja nigdzie nie jadę.
— Jak chcesz, hany. Jesteś wolna, nie?
— Ludek, nie możemy go tutaj zostawić.
— Coś powiedziała?
— Przepraszam.
— Jesteś moją matką, czy co? Ja jestem Pat-
ka, pi-ej-ti-kej-ej, oukej?! — darł się Patka. — Jak
chcesz mieć dziecko, skoro nawet tego nie mo- 157
żesz zapamiętać? Skoro jesteś taka głupia. Tak
się przejmujesz. Może dlatego nie możesz mieć
dziecka. Przejmujesz się innymi, a nie przejmuj-
jesz się mną. Ani sobą.
Zuzana wsiadła z Patką do auta. Odjechali. Pat-
ka zatrąbił. Zuzana jeszcze odwróciła się za mną.
Ilja pomogła mi się podnieść. W głowie mi
huczało, dostałem kataru, ale Ilja miała chus-
teczkę. Mogliśmy wyruszyć.
— No to pięknie — powiedziała.
— No. A w dodatku będzie padać — pokaza-
łem na niebo. Nie popatrzyła na nie. Popatrzyła
na mnie. To był ten sam wzrok, którym mnie
zmierzyła za pierwszym razem. Nie mogę po-
wiedzieć, żeby to było coś przyjemnego.
— Ja panią normalnie przepraszam — powie-
działem.
— Kretyn.
— Nie chciałem was normalnie pokłócić.
— W jakim sensie?
— Pani i Patki.
— Ty jesteś naprawdę chory.
Zawiązywałem sobie buty. Nie czekała na
mnie i poszła. Dobiłem do niej, potykając się.
Pokręciła głową. A potem mi drugi raz tego dnia
podała rękę.
— Przepraszam — powiedziałem.

— Raczej ja powinnam przeprosić. Że cię w to wciągnęłam. Chciałam tylko jej pomóc. I tobie też.

Błysnęło. Zagrzmiało. Letnia burza może
158 przyść bardzo szybko.

ABSOLUTNIE NORMALNY

Miasto zalały chmury.

Dwa, trzy cumulonimbusy mieszały się na niebie jak w wielkiej kadzi. Padało, a my szliśmy ulicą. Padało tak gęsto, że przez chwilę nie było słycać nic oprócz deszczu uderzającego o ziemię. A ja myślałem o tym, że to tak samo jak każdego poranka w naszym kiju hokejowym, kiedy

dokładnie o wpół do szóstej we wszystkich pięciuset dziewięćdziesięciu czterech mieszkaniach ludzie równocześnie spuszczały wodę i kompletnie niczego nie było słycać, nawet tego, czy człowiek jeszcze oddycha. Słycać było tylko huk wody. Ale podczas gdy woda z wnętrzości naszego bloku, z wnętrzości wszystkich jego mieszkańców, była brudna i ciemna, woda lecąca z nieba była czysta. Oczyszczająca. Choć padała z ciemnych chmur.

Ludzie uciekali przed deszczem i przeklinali.

My mieliśmy to gdzieś. To znaczy przynajmniej ja. Wy chyba też mielibyście to gdzieś po tym wszystkim.

— Fleischman, czemu tam laześ, skoro nie umiesz pływać?

— Myślałem, że się uda. Że to człowiek ma normalnie w sobie. Nigdy wcześniej nie próbowałem.

— Mogłeś się utopić. Przyszło ci to w ogóle do łba? 159

— Nie myślałem o tym.

— A o czym myślałeś?

— O niczym. To było całkiem przyjemne.

— Przyjemne?

— No. Takie inne.

Szliśmy dalej, mijaliśmy wystawy. Staraliśmy się też omijać siebie. Nie patrzyliśmy sobie w oczy. Tylko rozmawialiśmy.

— To prawda, że nigdy nigdzie nie byłeś? — zapytała Ilja.

Nie lubię tych pytań. Wystarczy, że ciągle zadaje mi je pani doktor. Albo Jegr. A teraz jeszcze ona.

Ale było jasne, że muszę coś powiedzieć, skoro uratowała mi życie.

— Halo, proszę pana, słyszy mnie pan? Był

pan czy nie?

— Mógłbym wszędzie pojechać. Gdybym chciał.

— Czyli pan nie był.

— Nie byłem, bo nie chciałem nigdzie być.

Człowiek musi wiedzieć, gdzie jest jego miejsce.

— Ale żeby to wiedzieć, trzeba najpierw być gdzieś indziej.

Jakbym tego nie wiedział. Jakby mi to wcześniej nie przyszło do głowy. Ale przyznajcie się przed taką dziewczyną.

— Ja nie muszę.

— Naprawdę jesteś dziwny.

160 - Tak się składa, że jestem absolutnie normalny.

— Gdybyś był normalny, to już dawno by cię tu nie było. I nie dawałbyś sobą pomiatać temu pajacowi. I miałbyś dziewczynę.

— To czemu pani tu jest?

— Bo mi się tu podoba.

SARENKA

Szliśmy dalej ulicą. Ludzie uciekali przed deszczem, zamieniali się w sarenki, nie chcieli wdepnąć w kałużę, w których odbijało się nasze miasto, a ja zauważyłem, że Ilja też skacze, że też jest trochę sarenką. Szliśmy przez rynek po mokrych kocich łbach koło miejsca, w którym spod czołgu wystawała głowa mojego dziadka, a potem skręciliśmy za jednym i drugim rogiem, poszliśmy wzdłuż szkoły z wysokimi oknami, które musieliśmy myć w wakacje. Szkoły, która nazywała się średnia hotelowa. Jegr chciał ze mnie zrobić kelnera, bo kelnerzy, kierownicy samoobsługi, sprzedawcy w warzywniaku, rzeźnicy i taksówkarze nigdy nie mieli się źle. Wtedy było mi wszystko jedno. Może dlatego w połowie nauki przestałem tam chodzić i skończyłem pomiędzy regałami w sklepie Jegra. Mówił, że nie będzie utrzymywał darmozjada. 161

Szliśmy ulicą, a obok nas biegali strażacy

— chyba coś się zapaliło od pioruna. Mówiłem Ilji, że nie wszystko jest moją winą, że ogień i inne tragedie są u nas rodzinne. Opowiadałem jej o dziadku, który przyczynił się do sławy naszego Grandhotelu, bo podpalił stary hotel i skończył z Partyzantem w ustach pod czołgiem z białą pręgą.

— To prawda, że codziennie zapisujesz pogodę? — Ilja mi przerwała.

— Trzy razy dziennie.

— Czemu to robisz?
— Żebym wiedział, jak było. To mnie uspokaja. Poza tym, każdy mężczyzna powinien mieć jakąś tajemnicę.
— Kto ci to powiedział?
— Franz.
— Ten twój najlepszy przyjaciel, co?
— Można tak powiedzieć. Chce pani kiedyś zobaczyć te wykresy?
Ilja kiwnęła głową, że może kiedyś, a potem powiedziała:
— Moglibyśmy już przejść na „ty”, nie?
— No moglibyśmy.
— Ilja — powiedziała i po raz trzeci tego dnia podała mi rękę.
— Fleischman.
— Fleischman?
— Normalnie Fleischman. Czemu Ilja?
— Po dziadku. A czemu Fleischman?

162 - Też po dziadku.

Ilja wzruszyła ramionami i wskoczyła do tramwaju. Może myślała, że wskoczę za nią. Ale nie zrobiłem tego. Nie mogłem, stałem tam, jakby uderzył mnie piorun.

Tramwaj odjeżdżał, a Ilja stała z tyłu przy oknie i jedną ręką przeczesywała sobie czerwone włosy. Potem mi pomachała. A ja lekko się uśmiechnąłem.

DO KOSZA

Tego dnia Jegr dał mi dwa listy. Jeden był z Niemiec. Nie otworzyłem go i od razu wrzuciłem do skrzynki po bananach, gdzie było jego miejsce. Drugi list był z telewizji. W kopercie było zdjęcie prezenterki z autografem. Uśmiechała się, a czerwony sweterek miała ciągle niedopięty.

Położyłem się do łóżka i powąchałem zdjęcie. Rozpiąłem spodnie, spojrzałem na prezenterkę i zacząłem to robić. Nagle zdałem sobie sprawę, że to już nie działa. Że czegoś już nie ma. I że to już nigdy nie wróci.

Wrzuciłem jej zdjęcie do kosza. To samo zrobiłem z pozostałymi. Wiedziałem, że już nie będę pisał żadnych listów do telewizji.

Położyłem się na łóżku. Za oknem było ciemno i padał deszcz. Patrzyłem w sufit. Nie przeszła mi ochota. Po prostu musiałem wyobrazić sobie kogoś innego.

163

JAK SARDYNKI

Moja pani doktor mówi, że mój przypadek

jest wprawdzie bardzo ciekawy, ale na pewno nie jestem w nim odosobniony. Że Czesi to naród, który boi się ruszyć. A jak się ruszy, to niechętnie i tylko kawałek. Że zna mnóstwo ludzi, którzy prawie tak jak ja nie potrafili ruszyć się

z miejsca, w którym się urodzili, i nawet kiedy się przeprowadzili, to i tak po jakimś czasie wracali tam, gdzie mieli swoje korzenie. Ponoć my, Czesi, jesteśmy trochę jak konserwy, coś jak sardynki upchnięte w puszcze, takie jak te, które Jegr czasami je na śniadanie.

— Człowiek musi wrócić tam, gdzie się urodził — powiedziałam pani doktor i pomyślałam o Franzu.

— Może masz rację.

Pani doktor powiedziała, że nie ma w tym nic złego, ale ta nasza nieruchliwość, niemoc, nieumiejętność wyrwania się spowalnia nas i zatrzymuje. Mówi, że może właśnie w ten sposób gnijemy za życia. Zamarzamy. Że wprawdzie jako naród nikogo nie krzywdzimy, ale za bardzo nam nie przeszkadza, że ktoś krzywdzi nas. Pani doktor uważa, że brakuje nam morza i świeżego powietrza. Albo porządnych gór i widoków.

164 Że utknęliśmy w kotlinie, z której wystają nam tylko włosy. I dlatego jako naród jesteśmy tacy zamknięci. Skupieni na sobie. I niespokojni.

Według niej w naszym mieście pod tym względem ludzie mają jeszcze gorzej niż inni, bo nasze miasto też jest zamknięte w kotlinie, a nasza kotlina jest częścią tej wielkiej, czeskiej. I że się nie dziwi, że dzięki temu mamy rekordowe opady i, jak jej kiedyś powiedziałam, również rekordową liczbę ludzi, których przestał ten świat bawić, więc odkręcili gaz, połknęli pigułki, poszli zamarznąć do lasu albo przyjechali do nas

na górę i skoczyli na główkę z okna. Musiałem przez chwilę się nad tym zastanowić.

PRZESZŁOŚĆ

Pamiętam to jak dziś.

Jechałem z Franzem tramwajem. Z jednego końca miasta na drugi i ani milimetr dalej. Często tak robiliśmy. Franz lubił sprawiać sobie tę przyjemność. Rozglądał się po mieście, wspominał, opowiadał i czasami usypiał.

Kiedy się budził, opowiadał o swoich martwych kolegach, dziewczynach, mieście i misjach lotniczych nad Morzem Północnym, o bitwach nad Francją i Niemcami, o czterech zestrzelo-

nych samolotach i jego dwóch zestrzeleniach, kiedy o mało co nie utopił się w morzu. Patrzył przez okno i opowiadał o końcu wojny. Szukał domów, których już nie było i przeklinał te nowe, z plastikowymi oknami. A potem znowu się cieszył, kiedy zobaczył, że coś jeszcze całkiem nie zniknęło. Napis. Ławka. Drzewo. Ulica. Cmentarz.

Franz opowiadał o swoim życiu, które chyliło się ku końcowi, a tramwaj bujał się w prawo i w lewo, podjeżdżał i opadał, jakby płynął na wzburzonym morzu. Ale to były tylko stare wąskie tory, niezmieniane od wojny. Franz opowiadał o wielkim wypadku tramwaju tuż pod Ještědem. Zawiodły hamulce i ludzie latali

w powietrzu jak kawałki papieru. A motorniczy uciekł z miejsca wypadku i złapali go dopiero w Pradze, na moście na Wełtawie, z którego chciał skoczyć do rzeki. Potem przez dwa miesiące nikt w Libercu nie chciał jeździć tramwajem. Franz opowiadał, stukając laską, ludzie się odwracali, a jak wysiadali z tramwaju, pukali się w czoło.

Znów nagle odniosłem wrażenie, że Franz nie jest Franzem, że jest jednym z ludzi, których już nie ma. I których czasami widzę, słyszę i spotykam. Albo przynajmniej, nie wiedzieć czemu, wydaje mi się, że ich spotykam.

Tramwaj zazgrzytał na zakręcie, a ja powiedziałem Franzowi wszystko. Powiedziałem, że czasem spotykam w mieście i w naszym Grand-hotelu ludzi, których nie powinno już tu być. Widzę ich, jak błądzą po naszym hotelu i odnośzę wrażenie, że mają prawo w nim przebywać, 166 tak samo jak ja albo Jegr. Że między nimi jest kelner Vokračko, mój dziadek albo stary karczmarz Hasler, że nie boję się ich, tylko nie wiem, co z tym zrobić. To znaczy, z nimi. I nie wiem, czy są, czy ich nie ma.

Powiedziałem mu, że nikomu wcześniej tego nie mówiłem, nawet Jegrowi, nawet pani doktor, bo może wtedy naprawdę pomyślałaby, że jestem wariatem i posłałaby mnie z powrotem do domu skrzywionych ludzi, w którym wszyscy śpią i nikt nic nie mówi, tylko od czasu do czasu ktoś wali głową w ścianę.

I Franz powiedział mi, żebym nic sobie z tego nie robił, bo wie, jak to jest — jemu też to się zdarza. On też spotyka tu swoich kolegów i dlatego ciągle przyjeżdża do tego miasta.

— Zatem jak brzmi nasze hasło? — zapytał.
— Człowiek musi skończyć tam, gdzie się urodził.
— Nigdy o tym nie zapomnij.

O WIELE WIĘCEJ

Pamiętam to jak dziś.

Ten eksperyment nie był moim pomysłem. To pani doktor na niego wpadła. Mówiła, że spróbuje mi pomóc. Że we dwoje różnie. Nie powiedziała dokładnie tego, ale coś w tym guście. W każdym razie poszliśmy razem na autobus. Jechał do Jablonca i był niebieski. A kierowca miał wąsy i żółte palce od papierosów.

167

Autobus ruszył. Pani doktor trzymała mnie za rękę, a ja przez chwilę czułem się jak smarkacz, chociaż miałem dwadzieścia pięć lat. Z drugiej jednak strony pani doktor nie jest taka stara, tylko o dziesięć lat starsza ode mnie. I jest całkiem ładna. Zatem to trzymanie za rękę aż tak bardzo mi nie przeszkadzało. No, może mógłbym z nią chodzić, gdyby nie była moją panią doktor. Powiedziała, żebym oddychał normalnie i myślał o samych przyjemnych rzeczach, na przykład o pogodzie, chmurach i tak dalej. Ja

naprawdę próbowałem i wszystko szło świetnie. Myślałem o pięknych zimnych frontach kręcących się nad północnym Atlantykiem, o cumulusach i nimbostratusach, które pędzą nad Europą, o tym, że chmury tu są i zawsze będą, nie to, co ja, Jegr czy pani doktor.

Autobus jechał drogą, wzdłuż której było coraz mniej domów. Trzymaliśmy się za ręce jak kochankowie, byłem spokojny, patrzyłem na jej regularnie unoszące się pod sweterkiem piersi i dyskretnie wdychałem jej zapach Wiosennego Słońca z Polski. Wydawało mi się, że wszystko zadziała, że się uda, że przejedziemy, a jak przejedziemy, to pani doktor może się ze mną przepię, oleję to, że jest moją panią doktor, zacznę z nią chodzić i zamieszkamy w willi obok zalewu, a potem razem wyjedziemy gdzieś nad morze albo dokąd tylko będzie chciała. Położyłem głowę na jej ramieniu. Nie przeszkadzało jej to.

168 Nawet mnie pogłaskała.

Ale nagle to przyszło. Zbliżaliśmy się do tablicy oznajmiającej koniec naszego miasta i początek świata. Serce zaczęło mi walić, poczułem gulę w gardle, a na języku zaczął mnie piec smak mojej własnej nieskończoności, całego mojego strachu. Zacząłem się pocić, dusić i musiałem

wysiąć — wiedziałem, że jeśli wyjadę, to już nie wrócę. Zabłądę. Umrę.
Kierowca ledwo zdążył. Otworzył drzwi, wyskoczyłem i położyłem się na drodze tuż pod tablicą z przekreśloną nazwą naszego miasta.

Ludzie wybiegli z autobusu, schylali się nade mną, każdy chciał uszczknąć kawałek mojego strachu, tak jak co dzień bezboleśnie wyrywają go z telewizyjnych wiadomości o wypadkach. Pani doktor uspokajała ich, mówiła, że nie umieram, że wszystko jest w porządku i nic mi nie jest, że to tylko strach, atak zwykłej paniki, nic więcej, mimo że tak samo jak ja wiedziała, że to coś więcej, o wiele więcej.

Ludzie wsiedli z powrotem, autobus odjechał, a my zostaliśmy na drodze sami. Świeciło słońce i asfalt był gorący. Było cicho, pani doktor mnie przytuliła. Ale ja czułem, że przytuliła mnie inaczej, niż jak robią to kochankowie w telewizji albo w pokojach naszego Grandhotelu. Przytuliła mnie jak swojego pacjenta, jak małego chłopca, chociaż miałem wtedy już dwadzieścia pięć lat. I było jasne, że nigdy nie będzie moją kochanką.

W drodze powrotnej powiedziała mi, że 169 na wszystko przyjdzie pora, że coś wymyślimy i kiedyś przełamią się wszystkie lody. Nie wiem, czy w moim przypadku chodzi o lody. Ale pani doktor powiedziała, że to był tylko przykład. Porównanie. I że wie, że któregoś dnia mi się uda. Że znajdę drogę. I ona mi pomoże. A jak nie ona, to może ktoś inny.
To się nazywa pewność.

PRZEZ NIEBO

W końcu sam na to wpadłem. Zrozumiałem, że jedyna droga prowadzi górą. Przez chmury. Przez niebo. I zacząłem budować balon. Balon na gorące powietrze. Nie ma w tym nic trudnego, o ile ma się pieniądze. Ale nawet jak się ich nie ma, to nie jest to jakiś straszny problem. Tyle że trzeba zacząć kraść odpowiednie rzeczy.

Jasne, nie wolno kraść. Ale z drugiej strony, jak robi się to w słusznej sprawie, człowiek nie ma wyrzutów sumienia. A to była słuszna sprawa. Przynajmniej dla mnie.

Według mnie Jegrowi nawet jakoś nie brakowało tych rzeczy. Chodzi mi o te stare koce, łóżecko, pręty, butle z gazem, stare palniki z kuchenki i płaszcze, które zostały w piwnicy po obronie cywilnej i przygotowaniach do wojny

atomowej, którą straszili nas w szkole. Jegr miał 170 to wszystko gdzieś.

Ale denerwował się z powodu strojów piłkarskich. To była kolekcja całej czeskiej ligi. I polskiej. Wschodnioniemieckiej. Węgierskiej. Rumuńskiej. Bułgarskiej. I jako wisienka na torcie kubańskiej. Kupował sobie te stroje na Gwiazdkę i na pewno wydał na to dużo pieniędzy. I wiem, że nie chodziło tylko o pieniądze, ale też o serce. O jego serce. Ale jak tak o tym myślę, to w tym czasie nie dał mi nawet korony. W czasie, kiedy robiłem mu za popychadło. Sługę. Niewolnika. Zatem wziąłem sobie tylko to, co mi się należało.

Jegr był wściekły. Też bym był, gdyby mi ktoś ukradł chmury. Ale to niemożliwe. Raczej gdyby ktoś mi ukradł wykres, na którym zapisuję pogodę. Chyba też utraciłbym poczucie bezpieczeństwa. Tak podobne stany duszy nazywa pani doktor.

Jegr nawet wezwał policję. Przyjechali ci dwaj, którzy kiedyś wypytywali nas o dresiarzy. Teraz też na nic nie wpadli. Ale tym razem po ich odejściu Jegr nie czuł ulgi. Wręcz przeciwnie. Był smutny i trochę zrobiło mi się go żal, ale potem sobie powiedziałem, że przecież ma jeszcze to swoje muzeum. Tego bym w życiu nie tknął. Przysięgam. Tylko pożyczyłem sobie morski kompas, który dostał od jednej wschodnioniemieckiej damulki na Rugii. Powiedziałem „pożyczyłem”. Obiecałem sobie, że kiedyś mu go oddam. Jak nie osobiście, to przynajmniej wyślę go pocztą.

Zacząłem konstruować balon. Nikt nie 171
wiedział o moim tajnym warsztacie w piwnicy Grandhotelu. Nie powiedziałem tego nawet pani doktor. Ani Franzowi. Ale w końcu i tak parę osób dowiedziało się o moim planie. Ale do tego jeszcze dojdę.

Balon konstruowałem tak, jak widziałem to w telewizji, w której raz puszczali historię czeskiego doktora, który przeleciał nad żelazną kurtyną, a jego balon skończył w berlińskim muzeum, a on na uniwersytecie w Zurychu, gdzie leczy ludzkie serca. Myślałem o tym, że wokół

naszego miasta też jest coś jakby żelazna kurtyna. Moja żelazna kurtyna, która mnie nie chce przepuścić. A ja ją teraz przechytrzę.

Konstruowałem balon na podstawie programu telewizyjnego i na podstawie planu, który wyrwałem z jednej książki w księgarni na ulicy

Praskiej. To ta ulica, która prowadzi od rynku w dół, a kiedy trochę mocniej popada, zamienia się w rzekę — według Franza tak było, jest i będzie. Ulica Praska wcześniej nazywała się Schiickerova tHda. A wcześniej Prager Gasse. A wcześniej Lange Lauben. A wcześniej Lange Gasse. A wcześniej Miilgasse. To tak na marginesie. Sprzedawca widział, jak wyrywam plan z książki. Gonił mnie, ale zdążyłem uciec i wtopić się w tłum. Na ulicy mało co nie wpadłem na wózek z drącym się dzieckiem. I na panią doktor. Powiedziałem „dzień dobry” i pobiegłem dalej. Uśmiechnęła się do mnie.

172 Jak już mówiłem, zacząłem konstruować balon. I dokładnie obserwować pogodę. Obserwować jeszcze częściej niż przedtem. I czekać na wiatr i chmury, które mnie stąd zabiorą, które nie utkwiają między górami, ale wyniosą mnie ponad deszczowy nocnik Europy. Dokąd? Dokądkolwiek. Gdzieś bardzo daleko. Albo wysoko.

MIŁOŚĆ Z SZAFY GRAJĄCEJ

Do Zuzany, która wygląda jak księżyc, wreszcie uśmiechnęło się słońce. To znaczy szczęście. Nazywał się Werner i przyjechał do nas z Norymbergi. Ale do tego jeszcze dojdę.

Otóż Werner nie przyjechał sam. Takich jak on przyjechało dziesięciu. Wszyscy wolni. Wszyscy z mniejszym lub większym brzuchem i wąsami. Wszyscy trochę nieszczęśliwi. Przez to wszyscy bardziej mroczni. I wszyscy byli Niemcami. Pomysł, żeby łączyć w pary nieszczęśliwych Niemców z nieszczęśliwymi Czeszkami, nie należał do Jegra. Jego autorem był mąż paniusi, z którą Jegr potajemnie jeździł na wakacje, paniusi, która wymyśliła jegrsznicel, kochała Smetanę i trochę też Jegra. Mąż — inżynier chemik z Karl-Marx-Stadt, które teraz znowu nazywa się Chemnitz — wszystko Jegrowi przebaczył. Nawet mu podziękował, że tyle uwagi poświęcił jego żonie. I tak się z nią w końcu rozwiódł, jak to czasami bywa.

Inżynier przedstawił się wszystkim jako inżynier i wszyscy też się tak do niego zwracali. Może to też był jakiś kryptonim, coś jak Antena Jegra. Inżynier zaoferował Jegrowi interes — łączenie podzielonej Europy. Przywrócenie jej na normalne tory. Wyleczenie jej miłością, bo miłość jest najlepszą chemią. Jegr nie miał nic przeciwko. Nie znał się na chemii, ale łączenie było jego specjalnością. Na swój sposób miłość też.

No i się zaczęło. Najpierw przyjechała ich piątka z Niemiec, a Jegr znalazł pięć czeskich dziewczyn, które odnosiły wrażenie, że przyszłość czeka na nie gdzieś indziej. Dwie samotne matki. Dwie rozwiedzione kobiety. Jedna stara wdowa.

Nikt się tego nie spodziewał, ale wszystkim to łączenie się spodobало. I wszystkim smakował jegrsznicel, który pojawił się w naszym menu jako specjalność szefa kuchni i w który kucharka wbijała małe papierowe flagi, czeską i niemiecką. A trzy pary naprawdę się pobrały.

Potem wszystko nabrało tempa. Ogłoszenia w mieście. W gazetach. Wielkie weekendy zapoznawcze cztery razy w roku. Sześć razy w roku. Co miesiąc. Wycieczki ze wszystkich zakątków Niemiec. I slogany „Niech żyje czesko-niemiecka przyszłość” i „Szczęśliwe życie zaczyna się u nas”. Ten pierwszy wymyślił Jegr, ten drugi 174 Patka. Ja oba namalowałem na tylnej stronie pogniecionych czerwonych transparentów, które znalazłem w piwnicy. Z przodu na jednym było „Niech żyje pokój”, a na drugim „Ze Związkiem Radzieckim po wieczne czasy i nigdy inaczej”. Jegr kupił starą szafę grającą, wypolerował ją hepilajfem i wypełnił płytami z nastrojową muzyką pełną miłości, która według niego miała łączyć ludzi i całe narody. Zatem razem byli tu Karel Gott i Puhdys. Udo Lindenberg i Helena Vondračkova. Katapult i Karat. A potem jeden mega hit. Piosenka Dzień dobry, majorze

Gagarinie, przy której Jegrowi zawsze lzy napływały do oczu, a ja musiałem mu podawać jedną chusteczkę za drugą. Jegr mówił, że Gagarinowi kiedyś kłaniał się i Wschód i Zachód, bo Gagarin naprawdę coś osiągnął — w sto osiem minut obleciał cały świat i odkrył, że wokół Ziemi jest coś jakby aureola, ale Jegr w to akurat nie wierzy. I jeszcze coś: według Jegra Gagarin pasuje do naszego Grandhotelu, bo Jeśted też wygląda jak rakieta. I Gagarin był kiedyś w naszym mieście i dał Jegrowi autograf do pamiątnika, a także zrobił sobie z nim zdjęcie. To zdjęcie i autograf Jegr trzyma w ramce na honorowym miejscu swojego muzeum bloku wschodniego, tuż nad sztucznym jeziorkiem z czerwonymi rybkami, które kiedyś jeden pijany prażak wyłowił, zjadł na miejscu i potem zwymiotował, a my musieliśmy wzywać karetkę. Wiodło nam się.

Na stołach były świeczki, wazoniki ze sztucz- 175
nymi kwiatami i słowniczkami czesko-niemieckimi.
Jeden stół zawsze był nakryty dla Niemców i je-
den dla Czeszka. Bawiło mnie obserwowanie,
jak wszyscy się trochę wstydzą, dziewczyny czer-
wienią, a faceci się wygłupiają, i jak na drugi
dzień wstyd rozplywa się niczym dym w powie-
trzu i wszyscy siedzą przy jednym wielkim stole,
cieszą się z tego, jak jesteśmy do siebie podob-
ni, to znaczy Czesi i Niemcy, że smakuje nam
to samo jedzenie i przeszkadzają nam ci sami
politycy. Jak tańczymy te same tańce, jeździmy

po prawej stronie i boimy się raka, bezrobocia
i ataków terrorystycznych.

Po jedzeniu wszyscy kartkowali słowniki
i cieszyli się, ile ciągle w czeszczyźnie jest nie-
mieckich słów, takich jak *špds*, *šldgr* albo *šnicl*.
Niemcy uczyli się od Czeszka słów *ładna*, *miła*,
słodka albo *pachnąca*, *dobra*, *czeska*, a Czesz-
ki od Niemców: *szczęście*, *facet*, *rodzina* albo
dom, *auto*, *miłość*. I bawili się razem w zaba-
wy, które wymyślał Jegr. Bawili się w tramwaj,
komórki do wynajęcia i ciuciubabkę, w zabawy,
które znają wszyscy na całym świecie, zabawy,
które miały ich jeszcze bardziej zbliżyć. Jak naj-
bliżej się da.

Czeszki piły czerwone wino i wódkę z so-
kiem, Niemcy piwo, *peperment* i rum. W końcu
padali sobie w ramiona, przewracali się, śmia-
li się, płakali i chcieli, żeby Jegr puszczał same
wolne kawałki.

176 A potem, zataczając się, wychodzili na taras
z krzyżem, przytulali się i patrzyli w dół na nasze
miasto, które już dawno spało, na miasto, które
ich połączyło. A ja trochę im zazdrościłem.
Zauważyłem, że łączenie działa najlepiej
wtedy, kiedy Europa Środkowa znajduje się pod
wpływem wielkiego wyżu barycznego, kiedy po-
goda jest stała i zazwyczaj ciepła.

Jegr z inżynierem byli bardzo zadowoleni,
bo za każdy ślub dostawali dobre pieniądze.
I wszyscy się cieszyli, że wreszcie uśmiechnęło
się do nich szczęście. Do tych, do których się nie

uśmiechnęło, zazwyczaj uśmiechało się nastę-
pnym razem.

Raz przyjechała nawet niemiecka telewi-
zja i reporter mówił o tym, jak Czesi i Niemcy
wreszcie osiągnęli porozumienie, że nasze wie-
czorki zapoznawcze oznaczają definitywny ko-
niec zimnej wojny. Mówił, że to jest prawdziwa

zjednoczona nowoczesna Europa i to dobrze, że coś takiego się dzieje, a ja trzymałem mu nad głową wielki parasol, żeby nie zmókł, bo tego dnia przyszła ciepła burza. I potem widać było moją rękę w telewizji. Tak przynajmniej mówił Franz, który to widział.

Myślę, że Jegr miał na ten temat swoje zdanie. Ale faktem jest, że to działało. Nie wiem, czy to zasługa Patki, który sprzedawał wszystkim hepilajf, żeby ich życie było naprawdę szczęśliwe. Patka mówił, że to na pewno dzięki temu, bo hepilajf jest lekiem na wszystko. Ilja się z tego śmiała. To było dziwne, bo tak poza tym to wtedy się prawie w ogóle nie śmiała. To były dni po naszej wycieczce nad zalew. Zaczęła też jeździć sama do pracy.

Parę razy Franz przyjechał do nas z wycieczką zapoznawczą. Nie żeby chciał się z kimś zapoznać. Po prostu tak było taniej. I wygodniej. Przyjechał z wycieczką też wtedy, kiedy był u nas po raz ostatni. Absolutnie ostatni. Ale do tego jeszcze dojdę.

171

SZCZĘŚLIWA LICZBA

Jak mówiłem, szczęście w końcu uśmiechnęło się też do Zuzany.

Werner nosił dzinsową kamizelkę, wielkie okulary przeciwsłoneczne, jeździł ciężarówką po Europie i ciężarówki były też jego hobby. Stare ciężarówki. Ponoć miał ich pięć w ogródku. A piątka to przecież szczęśliwa liczba Zuzany. Zuzana zaczęła uczyć się niemieckiego. Słówek. Odmiany. Przyimków. I kupiła sobie bawarską książkę kucharską, która okazała się taka sama jak czeska. A potem do niego pojechała. Pobrali się. Zrobiła prawo jazdy na ciężarówkę. Zaczęła nosić dzinsową kamizelkę. Wiem, bo wysłała mi swoje zdjęcie. Przytulali się z Wernerem na stacji benzynowej. I oboje mieli wielkie okulary przeciwsłoneczne. Zuzana pisała, że wreszcie jest szczęśliwa. I że w Bawarii napraw-
178 dę wszystko jest identyczne jak u nas. Nie tylko jedzenie, ludzie i kościoły, ale też pogoda — to była informacja dla mnie.

Po dwóch miesiącach Zuzana wróciła. Odkryła, że Werner nie jeździ po Europie sam, że na każdym postoju kogoś ma. Przestało ją bawić czekanie na niego z kolacją. Wróciła, a ja byłem przy tym. Ale do tego jeszcze dojdę.

MYŚLIWY

Jak już mówiłem, według pani doktor imiona

nigdy nie kłamią. Ma recht. Na przykład Jeger. To słowo po czesku znaczy myśliwy. Albo też myśliwiec. Pilot myśliwca. Łowca. Żandarm. Pies myśliwski. A na przykład Jegerlatein znaczy chełpienie. Popisywanie się. Odnoszę wrażenie, że Jegr jest tym wszystkim równocześnie, szczególnie jak do jego nazwiska dodać jeszcze kryptonim. Ješted. Antena. Warzywniak.

Węszył, donosił i łowił. Albo przynajmniej ciągle o tym mówił.

Możemy pójść dalej: Der Jdger p fei ft seinem Hunde — Myśliwy gwizdze na swojego psa. Nie, ten pies to nie jestem ja. Chociaż może. Chciałem powiedzieć, że Jegr na pewno tak myśli. No i może Ilja. Zastanawiam się, czy kundel musi kochać swojego myśliwego. I myślę, że nie. Chociaż ja na swój sposób kocham Jegra. Współ- 179
czucie jest najwyższą formą miłości. Jak nie ja, to kto?

Zastanawiam się, czy mnie ktoś kocha. Czy w ogóle człowiek musi kogoś kochać? Czy tylko można, czy trzeba kogoś kochać? Na przykład mnie, po tym wszystkim, czym was zamęczyłem? Pani doktor mówi, że wszystko zaczyna i kończy się miłością, że to taki zamknięty obieg. Coś jak układ chłodzenia w autach. Serio, kiedyś tak powiedziała. Chyba musiała mieć akurat popsuty układ chłodzenia czy co.

Ciągle pyta mnie o miłość. Albo, jak ona to nazywa, o związki. Mówię, że wszystko mi jedno, że mnie to nie interesuje. Kłamię. I ona o tym wie. Być może wie też to, że mi się podoba. Albo podobała.

Możemy pójść jeszcze dalej: Der Jager steht auf das Reh an — Myśliwy czatuje na sarnę. Na sarnę, która ma cycki i długie nogi. I tyłek, bo tyłek to podstawa. Tak przynajmniej myśli Jegr. Winnetou Jegr.

To imię dała mu mama. Jegr nie pozwoli powiedzieć o niej złego słowa, ale wydaje mi się, że też miała w głowie jakieś chmury. Może pękł jej jakiś wewnętrzny układ chłodzenia i też musiała chodzić do jakiejś pani doktor, takiej, do której ja chodzę, która też ją pytała o związki, rodziców, dziadków i pierwszy raz.

Mama Jegra usłyszała to imię w kinie, gdy była w ciąży. Oczywiście w tym westernie, w którym faceci z bliznami na twarzach ganiają się na koniach. Poszła więc do urzędu i powiedziała, że jej syn będzie Winnetou. Wyrzucili ją. Ale ona nie odpuściła. Ojciec Jegra też nie. Mówił, że je-

śli syn nie będzie się nazywać Winnetou, to będzie się nazywać Nijak. Nijak Jegr. Nie wiem, czy w końcu nie byłoby to lepsze niż Winnetou. Ale Jegr jest ze swojego imienia dumny. Ze swoich rodziców też. Ze wszystkiego. Ponoć człowiek powinien być dumny. Ale ja nie potrafię.

SEDNO ŻYCIA

Franz twierdzi, że wprawdzie sednem jego życia jest nasze miasto, co jest prawdą również w moim przypadku, ale ma też coś więcej — swój kościół. Sedno jego wewnętrznego życia, które pomaga mu nie myśleć o tym, że wewnątrz człowieka czai się nieskończoność. Ponoć pomaga mu zapomnieć na przykład o tym, jak jego sąsiad Wolfgang Schuster znalazł środek Europy w kanale na naszym rynku. Franz chodzi do kościoła. To znaczy chodził.

Raz poszedłem go tam odwiedzić.

Kościół Franza jest tuż obok rynku, na placu, który nazywa się Sokolovske namesti. Wcześniej nazywał się Masarykovo namesti. A wcześniej Namestf T. G. Masaryka. A wcześniej Masarykplatz. A wcześniej Bismarckplatz. A wcześniej Neustadterplatz. A wcześniej Neumarkt. Kościół jest wysoki, szpiczasty i szary. Bardziej szary niż chmury, które docierają do nas na jesień.

181

Tuż obok stoi dom, w którym Franz kiedyś mieszkał i gdzie już dawno nikt nie mieszka, tylko czasami ktoś tam przenocuje na siedząco z głową w popielniczce, bo teraz znajduje się tu salon gier, otwarty rano, wieczorem, zawsze. Nazywa się „Pod Osą”. Kiedyś Patka przesiedział tu trzy dni — oblewał największy sukces swojego życia, ponieważ udało mu się sprzedać zielone buteleczki z hepilajfem dwóm autokarom pełnym polskich związkowców.

Zajrzałem do środka. Nie do salonu gier. Do kościoła. Było tam zimno i cicho. Ksiądz mówił o ludzkiej ślepotcie, głuchocie i poszukiwaniu drogi. Franz klęczał w pierwszej ławce i zdawało mi się, że nachyla się do przodu w identyczny sposób jak święte figury na ścianach. Nie chciałem mu przeszkadzać. Ani tym czterem kobietom klęczącym obok niego. Wyszedłem i o mało co nie przejechał mnie samochód. Czyszczenie pierza z dojazdem do klienta.

— Gdzie leziesz, debilu? — krzyknął do mnie kierowca. Nie krzyknął przez okno. Krzyknął do mikrofonu. Do głośnika na dachu. Słyszało to całe miasto. Ale nikt się nie odwrócił.

Poszedłem na tramwaj i z tramwaju na kolejkę. Unosiła się nad naszym miastem, a ja myślałem o tym, jak to jest z przeszłością, teraźniejszością, przyszłością, głuchotą, ślepotą, a czasem też ludźmi, którzy przyjeżdżają do nas na górę, żeby

182 skoczyć w dół.
Książd, Jegr i Jezus, i może też inni ludzie, o których czasem piszą w gazetach, może oni wszyscy pragną tylko jednej rzeczy. Żeby ludzie już nie przyjeżdżali tu, aby skoczyć. Ale to chyba niemożliwe, bo właśnie u nas jest górna stacja kolejki, jedna barierka i potem nic, tylko dwadzieścia metrów powietrza, dwudziestometrowa przepaść, pod którą są skały. Przepaść, nad którą też lubię się nachylać, bo nachylanie się nad krańdździą życia jest podniecające i serce zawsze mi wtedy bije jak szalone.

Jegra denerwuje, że niektórzy nachylają się tak bardzo, że spadają, przeszkadza mu, że potem jest zbędny zamęt, dziennikarze, lekarze, gapie. Poza tym niektórzy skoczkowie wynajmują pokój, w którym piszą listy pożegnalne i wypijają ostatnią butelkę wina (zawsze piją wino, nigdy piwo, i raczej czerwone niż białe). Nigdy nie płacą ani za pokój, ani za wino, Jegr traci na interesie, a ja muszę sprzątać ich pokoje, bo Zuzanie robi się od tego niedobrze. Muszę wrzucić ich rzeczy do wielkiego szarego worka, w którym wożą nam mąkę, do worka, po który potem przyjeżdżają policjanci. Albo krewni.

Nie dzieje się to często, maksymalnie raz do roku. Albo dwa razy do roku. Czyli w sumie często. A ja odkryłem, że w tym czasie zazwyczaj do naszego miasta zbliża się jakiś front. Ciśnienie na zmianę rośnie i spada, aż ludziom kręci się w głowach.

Myślę, że ci ludzie mogą być upojeni świadomością, że tu na górze nagle znajdują się dokładnie między niebem a ziemią, są upojeni pięknem góry i pięknem dołu, pięknem, którego nie jestem w stanie opuścić, pięknem, które kocham i którego nienawidzę. Są tak upojeni tym pięknem, że sami przed śmiercią pięknieją.

Ile razy przez to piękno przyszło mi do głowy, żeby skoczyć. Zrobić dwa, trzy kroki, zamknąć oczy, przeskoczyć barierkę, unieść się, odlecieć i ufać sobie, bo wiem, że jak człowiek decyduje się na ten ostatni ruch, musi w siebie wierzyć.

Jak na przykład ta piękna dziewczyna, którą

pół godziny namawiałem, żeby zmieniła zdanie i wydawało mi się, że trwa to całą wieczność. Ale ona w końcu i tak to zrobiła, przeskoczyła przez barierkę na tarasie, ale jej ciało nie odleciało, spadło w dół jak wielki ciężki kamień i z jej piękna nic nie pozostało.

Pani doktor mówi, że nie powinienem był na to patrzeć. I że powinienem kogoś szybciej zawołać. Ale po prostu się nie dało. Pani doktor mówi też, że jak ktoś chce odciąć się od świata, kiedy nie chce już istnieć i chce przeskoczyć przez barierkę własnego życia, kiedy chce popełnić samobójstwo, to musi znaleźć w sobie sporo odwagi.

Ma recht.

Trzeba mieć siłę, żeby wziąć do ręki ołówek, papier i przelać na niego wszystkie swoje problemy, tak jak to robię teraz ja, chociaż nie chcę się 184 zabić. Chcę tylko odlecieć.

Trzeba mieć siłę, żeby kopertę polizać, zamknąć i wrzucić do skrzynki na listy, trzeba mieć siłę, żeby wyobrazić sobie twarze tych, którzy te listy za parę dni otworzą. Trzeba mieć siłę, żeby przekazać im własny ciężar, kawałek własnej nieskończoności. Ale przede wszystkim trzeba mieć kogoś, komu by się taki list mogło wysłać.

Pod tym względem mój przypadek jest prosty. Albo może właśnie trudny? Chociaż, jak mówiłem, nie chcę się zabić. Tylko przyszło mi

do głowy, że trzeba mieć jeszcze szczęście, żeby wszystko się udało, żeby nie zaciął się pistolet, nie pękł sznur i żyłtka się nie połamała. Trzeba mieć szczęście, żeby nikt nie przeszkodził. Żeby nikt nie stanął na drodze. Na przykład taki ja. Raz widziałem jedną dziewczynę, jak spada.

A raz uratowałem inną dziewczynę. Ale może to wszystko mi się tylko śniło.

Ta dziewczyna przez chwilę patrzyła na miasto, absolutnie zatopiona w jego pięknie, zatopiona we własnej samotności, w której niesamowicie wypiękniała. A potem się odwróciła. Miała całkiem czerwone oczy.

— Czego?

— Nic. Przyszedłem tylko sprawdzić, czy pani normalnie czegoś nie potrzebuje.

— Nic nie chcę.

— Jest pani pewna?

— Jestem.

A potem zrobiła krok, który miał być jej 185 ostatnim, chciała przeskoczyć przez barierkę, ale

złapałem ją. Ugięły się pod nią nogi. Popłakała się. Objęła mnie. A potem wymierzyła mi policzek. Że wszystkiemu winni są faceci. Żli faceci. Jeden zły facet. I w końcu pojechała kolejką z powrotem do domu.

Kilka razy spotkałem ją w mieście. Już nie jest taka piękna jak wtedy.

POŁAMANIA KARKU

Nikt nie lubi samobójców. Może dlatego, że ludzie zazdroszczą im odwagi, której sami nie mają. Odwagi, żeby zrobić ten krok, żeby zaryzykować.

Najbardziej samobójców nie lubi Jegra. To on przybił na krzyż tabliczkę z napisem „Samobójstwa zgłaszać w recepcji”.

Ale nikt się nie zgłaszał.

Tylko ktoś dopisał na tabliczce: „Połamania karku”.

Według Jegra samobójstwo może popełnić tylko głupek. Idiota. Albo słabeusz. Na świecie jest tyle pięknych rzeczy.

— Jakich rzeczy? — spytałem pewnego razu.

— Jak to, jakich? Wszystkie są piękne.

— To może niech pan jakąś wymieni.

— Znowu chcesz mnie sprowokować, ty 186 Waligrucho?

— Nie, po prostu chciałbym wiedzieć.

— Na przykład bara bara... i piłka. Pewnie!

Pokaż mi piłkarza, który popełnił samobójstwo. Piłkarze są normalni. Jakbyś grał w piłkę, to też byś był normalny. Wszystkich wrogów pokona tylko z Liberca Slovan!

Nie boję się o Jegra. On nigdy nie nachylił się nad miastem. Nie zrobi tego ostatniego kroku, żeby spojrzeć na dno swojej własnej nieskończoności.

LISICZKA

Ilja nazywa się Fuchsova.

Fuchs znaczy lis. Ilja nie jest chytra jak lis.

Jest piękna jak lisiczka. I szybka. Czerwona.

Ruda. To po niemiecku powie się fuchsig. Ale

Fuchs znaczy też coś innego. Na przykład prze-

wód dymny. I to też trochę pasuje. A fuchsen

znaczy też złościć. A fuchsteufelswild — rozwście-

czony. A złościć się i rozwścieczyć to ona potra-

fi. Wystarczy przypomnieć sobie nasze pierwsze spotkanie.

Ilja Fuchsova.

Fuchsova Ilja.

Nie wiem, co brzmi lepiej.

Może to brzmi tak samo.

Tak samo dobrze.

Ale wiem, że jak stała przy oknie w restauracji i świeciło słońce, to w tym blasku jej włosy płonęły. Nie wiedziałem, że je farbuje. Po prostu tego nie rozróżniam. Raz Ilja powiedziała to Zuzanie w toalecie. Ilja paliła i wypuszczała dym wysoko do góry przewodem dymnym swojego ciała. Dym powoli kłębił się pod sufitem i po mału się rozpływał, a Ilja opowiadała Zuzanie, że farbuje włosy, bo bawi ją możliwość bycia za każdym razem trochę inną. I że z rudym to tak jakoś wyszło, że ma od roku czerwony okres. Że jest niespokojna. Rozdrażniona. Zdenerwowana. Po prostu fuchsig. Wcześniej ponoć była brązowa. Wcześniej czarna. A wcześniej zielona.

187

I jakoś pomiędzy niebieska, pomarańczowa i fioletowa. I srebrna.

— A jaki masz naturalny kolor? — spytała Zuzana.

— Blond.

— Serio? Też chciałabym być blondynką — powiedziała Zuzana. — Myślę, że blondynki mają w życiu łatwiej. Faceci uwielbiają blondynki. W każdym teście ci to wyjdzie.

— Patka też tak mówi. Ale mi się to nigdy nie podobało. Może dlatego farbuję włosy, że-bym miała w życiu trudniej. Żeby faceci się ode mnie odczepili. Ten jeden mi wystarczy — powiedziała Ilja i opowiadała o tym, jak Patka chciał, żeby nigdy nie farbowała włosów. Żeby była blond. I że chciał, żeby robiła różne inne rzeczy. W łóżku, w aucie, w basenie, na stacji benzynowej, w ubezpieczalni, u lekarza, w sklepie i tak dalej. I robili to, a ją to bawiło. 188 Kręciło. I ona też chciała od niego czegoś, co było związane z łóżkiem. Ale jakoś im się nie udało.

Ilja dopaliła i wyjęła z torebki aparat. Wyciągnęła go na wysokość ramienia, odwróciła obiektyw w swoją stronę i uśmiechnęła się. Nacisnęła spust migawki. Pstryk.

— Codziennie robisz sobie zdjęcie?

Ilja kiwnęła głową. A potem powiedziała, że wie, że to trochę dziwne. Trochę takie dziwne, jak ja z tym moim zapisywaniem temperatury, ciśnienia, punktu rosy. Po prostu z pogodą.

Ilja mówiła, że robi sobie zdjęcia, bo po jej mamie nie zostało "jej żadne. Rok temu zdecydowała, że uchwyci każdy dzień swojego życia.

A każde zdjęcie jest związane z jakimś przeżyciem. Chwilą. Przebłytkiem. Wrażeniem. Wściekłością. Radością. Po prostu tak jak ja mam z pogodą.

— A masz te zdjęcia jakoś wystawione?

— W domu. W swoim pokoju.

— Ja bym nie mogła tak sobie robić zdjęć. Na wszystkich wychodzę beznadziejnie. Do dowodu zawsze muszę zrobić sobie minimalnie dziesięć zdjęć. Dziewięć zawsze drę i wyrzucam do kibla. A potem zazwyczaj wyrzucam też ten dowód i składam wniosek o nowy. W ogóle się sobie nie podobam.

— Ja też się sobie nie podobam. To normalne. To trochę dziwne, jak człowiek się sobie podoba. Nie dlatego to robię.

— No tak, ale ty jesteś taka fotogeniczna. 189

— Każdy jest.

— Fleischman też?

— Myślę, że tak.

A potem powiedziała Zuzanie, żeby się uśmiechnęła. Żeby wydeła wargi. Żeby była sexy. I była sexy. Obie były sexy. Czuję to, jeśli wiecie, o co mi chodzi. A potem Ilja zrobiła jej zdjęcie. Pstryk. Zuzana się śmiała. Ilja też. A ja musiałem iść, bo słyszałem, że Jegr szuka mnie na dole, jak drze się do mnie z recepcji, gdzie się znowu szwendam i czemu jeszcze nie

wyniosłem tych śmieci z kuchni do kontenera. Butelki, resztki konserw i dwa spleśniałe chleby. Śmierdziało. Kontener był pełen much.

KTO SIĘ JAK PRZECHYLA

Pamiętam to jak dziś.

Była wiosna. Stałem na górze na tarasie, smarkałem, a pode mną buzowało nasze miasto, które stało się moim przeznaczeniem, wryło mi się w głowę wbrew mojej woli. Stałem na górze, za plecami miałem nasz Grandhotel i patrzyłem na przekrzywiony krzyż z Jezusem, który przechyla się na tarasie i udaje, że wszystko wie i rozumie. Ale może nic nie wie, może tylko my chcemy, żeby rozumiał wszystko za nas, skoro tego nie potrafimy.

Ten krzyż jest przechylony — jak po każdej zimie. Wygina się zawsze w jednym kierunku, przeciwnym do naszego miasta, tak jak smaga go gwałtowny północny wiatr. Co roku na wiosnę przychodzi grupka robotników z księdzem i wymieniają pod nim belkę, żeby znów prosto patrzył na świat i nasze miasto.

Ksiądz potem zawsze święcił krzyż, robotnicy pili z piersiówki rum, rozcinali starą belkę i tuż pod Jezusem piekli na niej kielbaski. Franz z księdzem zamieniali parę słów. Ksiądz był z jego kościoła.

Jegr też zjadał kielbasę, chociaż nie przepada za świętoszkami. Ani za konowalami. Albo dresiarzami. Albo Niemcami. Albo Polakami. Albo prażakami. Chociaż przespał się zarówno z Niemką, Polką i jedną prażaczką, która przyjechała do nas leczyć załamanie nerwowe. Przespał się z nią podczas burzy w komorze tlenowej, jak nazywa swoją klitkę za recepcją, w której nie ma za dużo tlenu, ale za to jest smród potu, piwa i salcesonu.

Może coś jest w tym cierpieniu. Wystarczy spojrzeć na blaszanego Jezusa przybitego do krzyża. To znaczy porządnie się przyjrzeć — tak jak patrzy się na chmurę, żeby rozstrzygnąć, czy to altostratus czy stratocumulus, co nie zawsze jest proste.

Mały blaszany Jezus na krzyżu też jest przechylony. Też się wygiął. Fakt, że tylko trochę, ale jednak. I nikt go nigdy nie prostuje. Może nikt tego nie zauważył. Jezus jest wygięty dokładnie w przeciwnym kierunku niż krzyż. Jakby chciał coś wyważyć, wyrównać, jakby to nie był Jezus, tylko marynarz na małej żaglówce. Jezus się nachyla, jakby chciał zatrzymać wiatr albo przynajmniej zrównoważyć jego poryw, żeby nasza łódź, nasze miasto się nie przewróciło. Jakby chciał zatrzymać czas, bo czas jest jak wiatr. Jak wichura. A czasami jak huragan. Tak mówi moja pani doktor. Któregoś dnia zabierze wszystko ze sobą.

191

PIGUŁKI

Kiedy Zuzana wróciła z Niemiec, znalazłem ją w łóżku. W moim łóżku. Powiedziała mi, że przez cały ten czas o mnie myślała, że ta historia z Wernerem i ciężarówkami to była pomyłka. To ja, a nie piątka, jestem jej szczęśliwą liczbą, choć wie, że nie jestem szczęśliwy. Ale ona to załatwi, mogę na niej polegać, bo oboje jesteśmy skazani na tę miłość, a miłość jest szczęściem. Szczęściem domowym, powiedziała wprost, a mi ciarki przeszły po plecach, bo tak nazywa się jeden program w telewizji, który prowadzi stara pisarka w okularach. Jegr się przy nim wzrusza, ale mi robi się niedobrze.

Zuzana obiecała, że już nigdy nie będzie ro-

bić testów, że nie potrzebuje tego, że wie to na sto procent. A potem odkryła kołdrę. Była pod nią naga. To znaczy prawie. Miała na sobie różo-192 we majteczki. Nie mogę powiedzieć, żeby wyglądała źle. No, była całkiem sexy. Ale to była Zuzana. Uciekłem do warsztatu w piwnicy. I całą noc szylem balon.

Zuzana tego wieczoru połknęła w domu pigułki. I zapiła je hepilajfem. I napisała pożegnalny list. Tylko w końcu jakoś się rozmyśliła i wezwała karetkę.

Od tego czasu Zuzana milczała i omijała mnie szerokim łukiem, co nie jest łatwe w naszym hotelu, bo składa się on z samych łuków. Faktem jest, że dała mi spokój. W końcu złożyła

wypowiedzenie i poszła pracować na pocztę. I z powodu jednego listonosza zaczęła zbierać znaczki. A potem raz powiedziała Ilji w kawiarni, że wreszcie jest szczęśliwa.

RUDI SCHLITZER

* 5.04.1923

9.11.1989

Nikommu nie udało się jeszcze uciec przed własnym imieniem, nie dokonał tego nawet Rudi Schlitzer. Die Schlitze znaczy szczelina. A der Schlitz — wycięcie. Nacięcie. Perforacja. Ale też rozporek i szpara. A Franz mówi, że to był właśnie sens życia Rudiego, bo był największym dziwkarzem, jakiego znał. I że za każdy rozpięty rozporek, za każdą obnażoną szparę w swoim życiu naprawdę robił nacięcia na stoliku nocnym. A kiedy po wojnie Czesi wywozili go do Niemiec, chciał zabrać swój stolik nocny, tak bardzo czuł się przywiązany do swoich nacięć. Ale nikt mu na to nie pozwolił.

193

Rudiemu to nie przeszkadzało. W Berlinie Wschodnim szybko kupił sobie nowy stolik, przeniósł na niego nacięcia z Liberca i zaczął dodawać nowe, nawet po ślubie. Trwało to do upadku muru berlińskiego, bo Rudi podupadł przez to na zdrowiu i pękła mu tylna ściana serca. A potem zmienili go w popiół, który zakopali w Berlinie na cmentarzu, skąd Franz go ukradł, żeby przenieść

194

Rudiego tam, gdzie jego miejsce. Żeby go przywieźć w puszcze po kawie do naszego miasta. Nie ma już domu, w którym Rudi żył. W jego miejscu stoi dom, w którym nikt nie mieszka, ale

wszyscy ludzie z naszego miasta czasem muszą tu przyjść. Nie jest to szpital. Ani poczta. Ani krematorium. To centrum handlowe. Czasem musi tu przyjść nawet moja pani doktor, która nie znosi takich miejsc i jest za tym, żeby je zburzyli, z czym się nie zgadzam, bo już wystarczająco dużo budynków zostało zburzonych. Pod samo centrum handlowe wysadzili w powietrze dwadzieścia, jak raz wyliczył Franz ze swojej starej niemieckiej mapy.

To centrum nazywa się tak samo jak nasz Grandhotel. Zbudował je ten sam architekt, tylko pięć lat później. Centrum stoi na placu Soukenné namestt. Wcześniej to był plac Klementa Gottwalda. A wcześniej Konrad Henlein Platz. A wcześniej Tuchplatz. To tak na marginesie. Do drzwi centrum zaprowadziła nas mapa Franza. I jego busola. Nie mogłem w to uwierzyć.

— Jest pan pewien, że to tu?

— Niemieckie mapy nigdy nie kłamią!

— Ja tam nie idę. Wsadzą nas do aresztu.

— Jak brzmi nasze hasło?

— Wszystkich wrogów pokona tylko z Liberca Slovan — wypaliłem trochę specjalnie.

— Co? — Franz spojrział na mnie zaskoczony.

— Człowiek musi skończyć tam, gdzie się urodził.

— Richtig. Czyli wiesz, co masz robić?

No i poszliśmy. Franz patrzył na mapę i kontrolował za pomocą busoli kierunek, a ja starałem zachowywać się tak, jakbym się w ogóle nie starał, jakbym w ogóle go nie znał, jakbym zablądził tu zupełnym przypadkiem. Szliśmy w kierunku drogerii, przeszliśmy przez spożywczy, ogrodnicy i zatrzymaliśmy się na AGD i zabawkach.

— Stój. To tutaj. Tam mieli królikarnię, tam altankę, tu było wejście do budynku. Pokaż mu to. Chciałem powiedzieć Franzowi, że to szalone. Że on jest szalony. Że kompletnie mu odbiło. Że nas zamkną. Ale w końcu nic nie powiedziałem. Wyjąłem puszkę po kawie i otworzyłem ją.

— Herzlich Willkommen zu Hause, Rudi — zaszeptał Franz. — Fleischman, los los los!

Wiem, że normalny człowiek by tego nie zrobił. Franz dawał mi za to pieniądze, poza tym odnosiłem wrażenie, że to, co robi, jest na swój sposób dobre, choć jest to też niewątpliwie stuknięte. Człowiek nie może wykluczyć, że jak będzie stary, to nie będzie robił jeszcze większych głupstw, jak na przykład zbieranie znaczków, jeź-

dżenie do sanatoriów, czy obserwowanie przez lornetkę dziewcząt przed szkołą i polerowanie przy tym piorunochronu, jak mówi Jegr. Wiedziałem, co znaczy los los los. Musiałem iść. Rozejrzałem się. Ludzie robili zakupy, jeden ochroniarz dłuwał w nosie, a drugi gapił się na dziewczyny. Odnosiłem wrażenie, że ludzie nie

195

widzą porządnie nawet siebie nawzajem. Chodzili w tę i we w tę, pchając przed sobą na wpół puste wózki. Wziąłem się do roboty, otworzyłem puszkę i nasypałem trochę Rudiego na ziemię. — Co ty wyprawiasz, tu go zmiotą — syknął Franz.

Garść dałem do wózka z lalką, która śpiewa po naciśnięciu brzucha. Trochę między regały z postaciami z kreskówek. Nasypałem garść na tory modelu kolejki. Pociąg będzie woził Rudiego po swój elektryczny kres. Albo aż ktoś go ukradnie. Resztę wysypałem do kwietników. Te kwiaty były sztuczne. Nijak nie pachniały. Tak samo jak popiół Rudiego. Albo chmury. Wróciłem do Franza.

— Każdy wraca sam do bazy! — powiedział i dał mi trzydzieści euro, a ja znów poczułem z jego ust rumianek. Kiedy się odwracał, widziałem, że miał mokre oczy.

196 Poszedłem do wyjścia.

A potem ją zobaczyłem. Stała w dziale odzieżowym. Była sama.

PSTRYK

Ilja chodziła po sklepie i przymierzała przed lustrem ubrania. Przykładała je tylko do ciała. Koszulkę. Biustonosz. Majtki. Sweter. Spodnie. Potem wzięła żółtą bluzę z niebieską liczbą 23 na piersi, stanęła przed lustrem, wyciągnęła

z torebki aparat, przyłożyła bluzę do piersi i zrobiła sobie zdjęcie. Pstryk. Nikt nie patrzył. Tylko ja. Potem odłożyła bluzę na ladę, odwróciła się i ja też się odwróciłem, żeby mnie nie zauważyła.

Wyszła ze sklepu. Poszedłem za nią. Śledziłem ją. Kupiła sobie dwa jabłka na targu. Na ulicy Moskevskej zapaliła papierosa. Moskevskd wcześniej nazywała się Videńska trida. Wcześniej Landstrasse. Wcześniej Prager Strasse. Wcześniej Bóhmische Gasse. A wcześniej Spitalgasse. Franz chodził tu do fryzjera. A ja do mamy, bo jego

zakład przerobili na salon fryzjerski dla kobiet.
To tak na marginesie.

Ilja wydmuchiwała dym i szła powoli do góry nierówną ulicą. Dwóch facetów się za nią obejrzało. Ona obejrzała się za jednym. W rynku dopaliła papierosa, a przed ratuszem wrzuciła peta do kanału, w którym sąsiad Franza znalazł środek Europy. Potem szła dalej. Przebiegła na czerwonym przez wielkie skrzyżowanie i ktoś na nią zatrafił. Potem lekko potknęła się o krawężnik. Przed drogerią pobujała wózek z płaczącym dzieckiem i włożyła mu smoczek do ust. Potem zjadła jedno jabłko. Patrzyła na witryny sklepu z bielizną. I menu jednej restauracji. Ogryzek wyrzuciła w krzaki zamiast do kosza. Potem weszła do księgarni. Patrzyła na książki pełne testów, które wypełnia Zuzana. Przez chwilę je kartkowała. I czasami się uśmiechnęła. W końcu kupiła książkę Sto rad, jak przeżyć ciążę.

197

198

Poszedłem za nią i okazało się, że mieszka w starej willi niedaleko domu, w którym byliśmy z Franzem, by zostawić tam Aloisa Schraga. Że mieszka na tej samej ulicy, po której jeżdżą tramwaje wożące turystów do zoo. Zniknęła w środku, po czym na pierwszym piętrze otworzyło się okno. I ktoś włączył muzykę. Potem przyjechał tramwaj, a za nim przyjechało auto, w którym siedział Patka. Schowałem się za budkę telefoniczną. Patka zatrafił. Ilja wyjrzała z okna, Patka krzyknęła, żeby wyszła do niego, a Ilja powiedział, że jej się nie chce. Że chce czytać. I znów zniknęła. I dała głośniejszą muzykę. Patka wysiadł z auta i poszedł do niej.

Wiedziałem, że muszę tu jeszcze kiedyś wrócić. I tak też zrobiłem.

WYRZUĆ I WYPLUĆ

Franz znaczy Franciszek. Albo Franek. Ale Reinhard Franz to nie było wszystko. Nazywał się Reinhard Franz Keusch. Połknął swoje nazwisko tak, jak ja swoje imię. Ja jestem Fleischman. On Reinhard Franz. Może łączy nas to bardziej, niż nam się wydaje. I nie chodzi mi tu o nasze misje. Nie wiem, dlaczego połknął to nazwisko. Nigdy mi tego nie powiedział. Ale wiem, że Keusch znaczy moralny. Przyzwoity. Wrażliwy. Paniczny. Wstydlivy. Niesplamiony. Keusch wie eine Jungfrau znaczy niewinny jak dziewczę. Rozumiem Franza. Też nie chciałbym nazywać się Strachli-

wy. Już wolę być Fleischman. Chmuromir. Albo na przykład Kinderkil.

— To nazwisko jest do niczego. Nic tylko wyrzucić i wypluć.

Nie powiedział mi tego ot tak sobie. Powiedział mi to w chwili, kiedy nachylał się nad miastem, stojąc na tarasie naszego hotelu pod krzyżem z wygiętym Jezusem, stojąc na tarasie swojego życia, a ja wiedziałem, że wkrótce z tego tarasu spadnie. Ale Franz w końcu z niego nie spadł. Tylko wyjął pistolet. Walther P38. Ale do tego jeszcze dojdę.

ZEGARY Z KUKUŁKĄ

Franza. Trud-

no było przekonać Franza, żeby mi go pokazał. Wstydził się. Jak już mówiłem, zrobili z jego domu salon gier „Pod Osą”. Nie pytajcie, kto zmienił nazwę domu Franza. Na pewno to nie byli jego koledzy. 199

Przez chwilę kręciliśmy się po okolicy. Najpierw z parasolem. A jak przestało padać, to bez niego.

— Człowiek się męczył. Człowiek o mały włos nie zginął. Człowiek przez cały czas chciał wrócić do domu, a potem wraca i widzi coś takiego — krzychał Franz i ludzie zatrzymywali się na ulicy.

— Niech się pan uspokoi — powiedziałem.

— Ja jestem spokojny. Bardzo spokojny. — Ale Franz nie był spokojny ani trochę.

W końcu weszliśmy do środka. Ja za bardzo nie chciałem tam wchodzić, ale po prostu zostałem wepchnięty.

— Dzień dobry! — powiedział Franz.

Nikt mu nie odpowiedział. Paru facetów wrzucało miedziaki do automatów. Kręciły się w nich cytryny, pomarańcze i truskawki.

— Masz jakiś problem? — spytał barman.

Na szyi wisiał mu złoty łańcuch. Nachylał się nad zlewem i mył naczynia. Z rąk kapłała mu piana. Skądś go znałem. Tylko nie mogłem sobie przypomnieć, skąd.

Franz rozglądał się, milcząc. I choć nie powiedział ani słowa, ja słyszałem wszystko, co mówi. I słyszałem, jak bije mu serce. Może mówił sercem. Franz milczał, ale jego serce waliło 200 głośno i wypełniło całe pomieszczenie. Swoim sercem opowiadał, gdzie mieli kuchnię. Łóżko. Toaletę. Spizarnię. Pokój dziecięcy. Sypialnię. Zegary z kukułką. Tylko one tu zostały. Wisiały

•Nie było trudno znaleźć dom

nad barem. W końcu jego serce ucichło i Franz przemówił:

— Ja wam dam osę!

A potem krzyknął:

— Wojna się jeszcze nie skończyła! Wojna się właśnie rozpoczęła!

Przez chwilę było cicho. Tylko woda kapła z kranu. Potem barman beknął.

— Zapraszamy do gry — zacharczał jeden automat.

Franz odkaslnął. Nikt tego nie zauważył, może nawet on nie. Ale jego kasznięcie przemieniło się w efekt motyla. W huragan. Franz kaszlnął i zaczął walić łaską w podłogę. A potem w jedną z maszyn. Barman przestał zmywać i wytarł ręce. Chłopcy przy automatach przestali grać i zgasili papierosy. Na ekranie błyskały trzy cytryny. Franz wygrał sześćdziesiąt koron, ale nie był nimi zainteresowany. Nagle barman stał przed nami.

— Wojna się nie skończyła, nie rozumiesz po czesku? — krzyczał Franz.

— Ja mówię po czesku — powiedział barman.

— No to słuchaj uważnie. To był nasz dom. Najpiękniejszy budynek w mieście. Te zegary były nasze.

— A teraz to jest mój dom. I moje zegary.

Bywa.

— I ja to mam tak zostawić?

— Dobrze ci radzę.

— Ale ja tu jestem u siebie!

— Zabieraj stąd tego naziola — barman zbliżył się do mnie, a ja przypomniałem sobie, skąd go znam. Chodziliśmy razem do szkoły. To był jeden z tych, którzy przywiązali mnie do drzewa. Nazywa się Semerad. Siedział z Patką w ławce. Chciał być Gagarinem. I był odpowiedzialny za odznaki w pionierach.

— Jestem Fleischman — powiedziałem.

— Poznaję cię, Chmuromirze. I co?

— No że chcieliśmy się tylko rozejrzeć, skoro tu normalnie mieszkał. I że nie jest żadnym naziolem.

— Jasne, jest naziolem tylko trochę.

— On też jest z Liberca, tak jak my. Może sobie chodzić, gdzie chce.

— To nie jest żaden lunapark. To porządny lokal. Czeski lokal. Żadnych sudeckich prowokacji, kapujesz? Zabieraj go stąd, zanim mu nadepnę na gardło.

— O co ci chodzi? Przecież on się tu urodził.

— Mam się wzruszyć?
— On chciał tylko normalnie się rozejrzeć.
— Już się rozejrzał, a teraz won do Rajchu.
— Człowiek musi skończyć tam, gdzie się urodził.
— A co mnie to?
— Daj mu spokój.
202 - Fleischman, ty mu obciążasz, co? Jak to jest?
— Normalnie, o co ci chodzi?
— A może dupy mu dajesz, pedale?
— O co ci chodzi?
— O co mi chodzi? O to mi chodzi. Jesteś normalną czeską dziwką.
— Wojna się właśnie rozpoczęła! — krzyknął obok mnie Franz.
Barman zamachnął się na mnie pięścią. Prawą. Zrobiłem unik. Rąbnął w szklankę na ba-

rze. Sypnąłem mu w szczękę. Sam się zdziwiłem. Semerad zgłupiał i złapał się za brodę.

— Palancie, złamałeś mi szczękę.
A ja wiedziałem, że wygrałem. Tyle że ktoś uderzył mnie. To był jeden z facetów od automatów. A inni wywalili nas na ulicę. Leciała mi krew. Ale nie mocno.
— Fleischman, ja nie mogę tu skończyć. Obiecuj mi to. Tutaj — po moim trupie — powiedział Franz. — Poza tym, dobry lewy sierpowy. Jak Max Schmeling! — pochwalił mnie.
Obiecałem mu to.

W drodze powrotnej spytałem, gdzie chciałby skończyć, kiedy już wszystko się skończy. Jasne, uznaję, że to nie jest najlepsze pytanie do człowieka, którego właśnie wyrzucili z rodzinnego domu, który powoli zbliża się do śmierci i nie wie, czy jutro się obudzi. Chciałem to cofnąć. Przeprrosić. Ale Franz złapał mnie za ramię. Spojrzał na mnie i nic nie powiedział. A ja wiedziałem, że będę musiał sam coś wymyślić. 203
Znowu zaczęło padać i to tak, że przez chwilę nie było słychać nic oprócz deszczu, który dotarł do nas znad Morza Północnego.
Od wtedy Franz prawie przestał mówić i wychodzić na dwór. Spędzał całe dnie w fotelu przy oknie. Noce też. Pił rumiankową herbatę i rum. Prawie nic nie jadł. Patrzył na nasze miasto, jak się budziło i znów zasypiało, a gdy go pytałem, jak się czuje, nie odpowiadał.

ZDJĘCIA

Ilja mieszka w willi, która jest niedaleko

domu, w którym mieszkał Alois Schrag. Upewnić się, kiedy jest w domu, a kiedy jej nie ma i który pokój jest jej, nie było trudno. Tak samo, jak dowiedzieć się, że mieszka w tym domu sama. Nie było trudno rozejrzeć się, wdrapać po pionach i wejść do środka przez uchylone okno. Jej pokój był prawie tak mały, jak mój. Łóżko. Szafa. Małe biurko. Lustro. Kosmetyki. Wieża. Doniczka z usychającą roślinką. Kilka książek. I płyt. I przede wszystkim zdjęcia. Mnóstwo zdjęć. Na wszystkich była Ilja.

Włączyłem wieżę. Jakiś piosenkarz śpiewał o tym, że las wokół niego jest ciemny, pełen dzikich psów i kotów, że boi się, a na górze ciągle jest zima, śnieg schodzi zawsze dopiero pod koniec kwietnia i że dobrze to zna. Ja to też dobrze znam. Aż się przestraszyłem, że piosenka jest o mnie. Ale to była tylko piosenka. Piosenki mogą być o wszystkich.

Chodziłem po jej pokoju. Oglądałem zdjęcia, na których była z blond, niebieskimi, zielonymi i czerwonymi włosami. Patrzyłem na zdjęcia, na których była tylko Ilja i nikt inny, ani Patka, ani Zuzana. Patrzyłem na zdjęcia, na których za każdym razem wyglądała inaczej. Ale zarazem to była ciągle ona. Patrzyłem na zdjęcia, na których się śmiała, paliła, była smutna, ostra, delikatna i odnosiłem wrażenie, że odkryłem linię jej życia,

którą każdy ma w innym miejscu. Ja w swoich wykresach z pogodą. Franz w swoich martwych kolegach. Zuzana w testach. Jegr w muzeum bloku wschodniego. Patka w butelkach hepilajfu. Każdy ma jakąś linię życia, nawet jeśli o tym nie wie albo w to nie wierzy, albo jak jeszcze nikt mu o tym nie powiedział. A niektórzy nie mają tylko jednej linii, ale mają ich więcej. Pożyczyłem sobie dwa zdjęcia Ilji z czerwonymi włosami. To tak na marginesie.

REINHARD FRANZ

* 8.06.1923

15.09.2003

Kiedy zbliża się czyjś koniec, nie musi to wyglądać jak w telewizji. Nie musi towarzyszyć temu dramatyczna muzyka. Skrzypce, fortepian, bębny i tak dalej. Nikomu nie musi zabić szybciej serce i nikomu nie muszą zadrzeć wargi. Może być bezwietrznie. Może być rano. Albo nad ranem. Może być cicho. Spokój. W dolinie może leżeć mgła. Pamiętam to jak dziś.

Poszedłem wynieść kosz ze śmieciami z kuchni i zobaczyłem go na tarasie pod przechylonym krzyżem z blaszanym Jezusem. Nachylał się nad naszym miastem przez barierkę. Nachylał się nad swoim życiem.

— Panie Franz, dobrze się pan czuje?

Może trochę się przestraszył. Może chciał być sam.

Ale potem powiedział:

— Czuję się tak dobrze, jak nigdy przedtem.

— No to dobrze.

— Czuję się dobrze, bo wiem, że czuję się dobrze po raz ostatni.

— Normalnie nie rozumiem, o czym pan mówi.

Franz mnie objął. Gdzieś zaśpiewał pierwszy kos. Na dole w mieście zaczęły jeździć pierwsze auta.

A Franz zaczął opowiadać. Mówił, że nigdy nie był pilotem ani żołnierzem. Że nogi nie postrzelił mu brytyjski karabin maszynowy i nie lądował samolotem na morzu. Mówił, że całą wojnę przesiedział w domu w Liberca, który nazywał się wtedy Reichenberg, czytał gazety i hajlował przed lustrem w mundurze, którego nie dostał jako oficer Luftwaffe, tylko wymienił na dworcu z jednym żołnierzem za papierosy, jedzenie, picie i zdjęcia gołych kobiet. Opowiadał, jak wierzył we wszystko bardziej niż jego koledzy. Opowiadał, jak na poczcie przybijał pieczątki na listy wysyłane na front, bo nigdy nie wzięli go do wojska przez kaleką nogę, z którą już się urodził. Franz pochylał się nad swoim życiem i opowiadał, jak siedział na poczcie, słuchał radia i śledził na mapie ruchy frontów. Nie meteorologicznych, jak ja, tylko prawdziwych frontów. Frontów pełnych żołnierzy. Opowiadał, jak

przybijał pieczątki na listy do swoich kolegów i wysyłał je na wschód, na zachód, na północ i na południe Europy. Do kolegów, którym zazdrościł, że może umrzeć za ojczyznę. Do kolegów, których listy potajemnie otwierał w toalecie i zazdrościł im gorących słów od kochanek, bo on żadnej kochanki nie miał. Do kolegów, których potem woził do Liberca w puszce po kawie, bo człowiek musi skończyć tam, gdzie się urodził.

— Najgorsze było to, że ja w to wierzyłem.

Im bardziej nie mogłem w tym uczestniczyć, tym bardziej w to wierzyłem.

Franz objął mnie, a ja objąłem jego.

— Teraz to już jest normalnie wszystko jedno
— powiedziałem.

Przyszło mi do głowy, że być może to jest dokładnie to zdanie, które chciałby usłyszeć. Które mogłoby go uspokoić.

— Właśnie, że nie jest. Jeszcze nie. 207

Noc nagle przestała być nocą i dzień zaczął być dniem. Mgła w dolinie zaczęła się unosić i powoli się rozpląwała. Nad horyzontem pojawiło się słońce, zdawało mi się, że w jednej sekundzie.

— A teraz wynoś się — Franz mnie odepchnął.

— Nigdzie nie idę.

Franz wyjął pistolet, który błyszczał od smaru.

— Dopiero teraz to będzie wszystko jedno

— powiedział.

208

A potem to się stało. Nad miastem zabrzmiał jeden wystrzał. Nic więcej. Ale też nic mniej.

Franz nie spadł za barierkę tarasu. Ani nie krzyknął. Nic takiego. Nie jak w telewizji. Tylko spojrział na mnie. A potem osunął się na ziemię.

Kulka go nie trafiła. To, co go trafiło, to musiało być jego własne serce. Albo mózg. Albo coś w tym stylu.

Franz leżał na tarasie pod przechylonym krzyżem z blaszanym Jezusem. Spoglądał w niebo.

Nachyliłem się nad nim i nagle poczułem wiatr. Wiedziałem, że to jego wiatr. Wiatr wywołany machnięciem skrzydeł motyla, który właśnie wyleciał z jego ciała. Wiatr, który zabierze go gdzieś dalej, gdzieś na początek kolejnej linii życia.

GOTT Z KREMATORIUM

Jegr chciał wezwać policję i karetkę. Jakby jeszcze nie było za późno. W końcu nikt go nie wezwał. Dogadał się z inżynierem chemii z Chemnitz, że wsadzi Franza do autobusu, z którym ostatnio przyjechał. I że będą udawać, że nic nie wiedzą. A za granicą powiedzą, że dostał zawału.

Mówiłem im, że chciał zostać. Że to było jego ostatnie życzenie. Że człowiek musi skończyć tam, gdzie się urodził. Ale nie chcieli o tym słyszeć. Jegr wydzierał się na mnie, że to jest mój

problem, bo Franz był moim kumplem. Wpadł

w to, co moja pani doktor nazywa paniką. I co nie jest mi zupełnie obce. Ale ja byłem spokojny. Wiedziałem, co trzeba zrobić.

Zanieśli go do autobusu i posadzili na fotelu. Włożyli mu na głowę kapelusz. Poprawili krawat. Ręce położyli na kolanach. Obok niego zostawili butelkę z wodą i starą gazetę. Jakby Franz właśnie się napił, doczytał gazetę i zasnął. Żeby nikomu nie wydało się to dziwne. Potem wszyscy poszli się jeszcze na chwilę położyć, bo noc zapoznawcza była długa.

Nikt nic nie powiedział.

A ja go potem ukradłem.

Normalnie.

Wyciągnąłem go z autobusu. I zawinąłem w dywan, który świsnąłem z recepcji. Nikt mnie nie śledził. Dowiozłem go na wózku do krematorium. Tam, gdzie pracuje mój kolega Gott.

Ten, co mi obiecał, że zrobi dla mnie wszystko, jak wezmę na siebie ten spalony traktor. Trochę się bał. Ale tylko trochę. Nerwowo mrugał lewym okiem i palił jednego papierosa za drugim. Mówił, że ma rodzinę i tak dalej. Że może być z tego straszna chryja. Ale za dwieście euro, które Franz dał mi za nasze misje i moje usługi, Gott w końcu przestał się bać.

— Przyjdź w południe.

Kręciłem się wokół krematorium, czytałem nagrobki, patrzyłem na komin i myślałem o tym, że wszystkiemu winne są drobinki kurzu. Bez

kurzu nie powstałaby żadna chmura. To do drobinek kurzu przykleja się woda i trwa to tak długo, aż nie powstanie kropla i w końcu nimbostratus. Albo cumulus. Albo na przykład zorza. I tak samo jest w życiu. Wspomnienia, przeżycia, spotkania, przekleństwa i rozstania, to wszystko to tylko drobinki kurzu, do których przylepia się inny kurz, inne wspomnienia i przeżycia — i tak powstaje życie. Po to, żeby potem znowu się rozpaść i zniknąć gdzieś na niebie. Tak jak teraz życie Franza.

Kręciłem się wokół krematorium i patrzyłem na komin. Czekałem, aż zacznie z niego lecieć dym. Chciałem zobaczyć, jak Franz unosi się w niebo, gdzie zamieni się w chmurę i w końcu wiatr zanieśnie go gdzieś, gdzie będzie z niego padać. Ale nie widziałem nic. Franz unosił się po cichu. Niewidocznie. Nade mną nie było widać dymu, tylko kilka cumulusów, 210 które przesuwają się z północy na południe. I dwa samoloty.

— To nie elektrownia. To krematorium. Teraz już nie czadzi — powiedział mi potem Gott.
— Dzisiaj możesz stać przy maszynie w garniturze i wieczorem pójść w nim do teatru.
— Ty chodzisz do teatru?
— Nie — pokręcił głową Gott.
Pożegnaliśmy się.

NA WŁASNY POGRZEB

Wyszedłem z krematorium i zobaczyłem ją. Stała koło tablicy z nekrologami i czytała. Potem się odwróciła. Ilja.

— Zobaczyłam cię z tramwaju — powiedziała i zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

Powiedziałem Ilji, co się stało. I co niosę w reklamówce w dwóch butelkach po szczęśliwym życiu.

— Niezła jazda, skończyć w ten sposób.

— Tak jak sobie tego życzył.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Skończyć w butelkach po hepilajfie?

— Skończył tam, gdzie się urodził. A nie w jakimś głupim autobusie.

Ilja obiecała, że nikomu nic nie powie, że to będzie nasza wspólna tajemnica.

Poszliśmy.

Ilja zatrzymała się przy jednym grobie.

Pancho Dirk 1972-1996

Kochał punk, żył jak punk i umarł jako punk

Była tam mała figurka grubego chłopaka z taką gitarą, na jakiej w telewizji nie grają punki, tylko folkowi wokaliści w rozciągniętych swetrach.

— Często tu przychodziłam jako nastolatka.

— Normalnie na ten grób?

— Nie. Na cmentarz.

—Ot tak?

211

212

— No. Czytałam nagrobki. Uspokajało mnie to, że niektórzy ludzie zmarli młodziej niż ja.

— I pomogło ci to?

— Nie. Wciąż to robię.

Wróciliśmy do hotelu i Ilja opowiadała, jak ciągle uspokajają ją wizyty na cmentarzu, jak uspokaja ją patrzenie na pogrzeby ludzi, szczególnie młodych, że parę razy weszła między płaczącą rodzinę i płakała razem z nimi i wyobrażała sobie, że to jest jej własny pogrzeb. Opowiadała, że robi to wszystko dlatego, ponieważ chce prze-

stać bać się śmierci, chce być na nią przygotowana, bo w jej rodzinie śmierć przychodzi bardzo szybko.

Opowiadała o tym tak długo, aż zacząłem się zastanawiać, czy też nie powinna zacząć chodzić do mojej pani doktor. Bo moja pani doktor lubi takich ludzi. Wszystkich.

Jasne, że w międzyczasie szukali Franza w hotelu. W kuchni. W maszynowni kolejki. W lesie. W autobusie. Jegr nawet poszedł do piwnicy, gdzie nie był już od lat. Szukali go wszędzie, ale go nie znaleźli.

W końcu Niemcy pojechali bez niego. Zostawili Franza na pastwę losu. Albo raczej na pastwę mnie. Tylko Jegr się złościł o ten dywan. Ale potem machnął ręką i poszedł oglądać piłkę,

bo wszystkich wrogów pokona tylko z Liberca Slovan.

Patka też się złościł. Na Ilję. I na mnie. To znaczy, przede wszystkim na mnie. Powiedział mi to.

— Ilja jest moją dziewczyną! Kumas, debilu?!

— Jasne.

— Chciałbym, żeby to było stuprocentowo jasne.

Patka wypił butelkę szczęśliwego życia. A potem wypił jeszcze jedną. A potem zaczął się słać na nogach. I powiedział jej, że nie wiedział, że kiedyś będzie się puszczać z takim debilem jak ja. I że się nie dziwi, że nie może mieć dzieci, skoro jest taka głupia, że nawet nie wie, do kogo należy. I złapał ją za rękę.

— Ludek, zostaw mnie! — powiedziała mu Ilja.

A Patka rozzłościł się jeszcze bardziej i krzyczał, że nie jest żaden Ludek, tylko Patka.

— Pi-ej-ti-kej-ej, oukej? Nawet tego nie możesz zapamiętać, durna krowo?

213

A potem ją uderzył. Nie powinien był tego robić. Położyłem go lewym sierpowym dla Schmeling, który tak podobał się Franzowi. Nie wiem, jak to mi się znowu udało.

Zawieźliśmy go z Ilją do szpitala. Ilja prowadziła, a ja siedziałem obok niej. Patka z tyłu spała. Jedno skrzyżowanie przejechała na czerwonym. Na następnym Patka trochę się przebudził i powiedział, że ją kocha. Że miłość. cz. A Ilja spojrziała na niego i złapała mnie za rękę.

LUDZIE SĄ JAK CHMURY

Pamiętam to jak dziś.

Siedzieliśmy z Ilją na tarasie pod krzyżem.

Patrzyliśmy na miasto świecące pod nami. I na chmury. Może przede wszystkim na chmury. Nie dotykaliśmy się. Jeszcze nie.

Ilja przeczesywała swoje czerwone włosy. Kilka z nich zostało jej w dłoni. Spojrzała na nie. A potem puściła je na wiatr. A ja znów mimowolnie myślałem o tym, jak moja mama przeczesywała sobie włosy. I jak robiła to prezenterka. Tylko że mama robiła to ot tak, a prezenterka dla fotografa. A Ilja?

Włosy leciały w powietrzu i wydawało mi się, że za chwilę zatrzyma się czas. Ilja wyjęła aparat z torby, wyciągnęła go przed nas, objęła mnie i powiedziała, żebym się uśmiechnął. Ale ja patrzyłem na to tylko kątem oka, bo myślałem o jej włosach unoszących się na wietrze. Zbudził mnie dopiero błysk flesza.

Pstryk.

— Co się stało? — spytała.

— Nic.

— Tak się przestraszyłeś.

— Jak?

— Jakbyś spał.

— Chyba tak. Chyba spałem.

— Jakbyś w życiu nie robił sobie zdjęcia. Ja je robię cały czas.

— Wiem.

— Ja też.

— Co?

— Wiem, że to o mnie wiesz.

— Skąd?

— Wiem, że byłeś u mnie.

— I to ci nie przeszkadza?

— Przeszkadza. Ale też mnie to trochę bawi.

Nawet całkiem.

Ilja powiedziała mi, że była ciekawa, co człowiek jest w stanie zrobić z jej powodu. Ile zaryzykować. Do czego jest zdolny się posunąć.

Ilja się śmiała, a potem pokazała na chmury.

— Jak byłam dzieckiem, zawsze kładłam się na plecach w ogrodzie, patrzyłam na chmury i wyobrażałam sobie, co znaczą. W większości przypadków to były zwierzęta. Patrzyłam na nie tak długo, aż bolały mnie oczy. Strasznie mnie piekły. A jak potem je zamykałam, cały czas widziałam te chmury i zwierzęta, jakby były tam wypalone. To mnie najbardziej bawiło — mieć te chmury wypalone w oczach. Choćby przez całą noc.

— Nigdy o tym nie pomyślałem.

— Możesz spróbować. Czasami odnoszę wra-

zenie, że ludzie są jak chmury. Też tak ciągle się mijają. Gubią. Opuszczają. Znajdują.

— Chmury też mają imiona. Tak samo jak ludzie. I też ciągle ich przybywa. Jest ich coraz więcej wokół ziemi, kiedyś całkiem ją zakryją. Serio, to naukowo udowodnione. Może to dlatego, że jak człowiek umrze i go spalą, to zamienia się

w chmurę. Ty też kiedyś będziesz padać z tych chmur, tylko nie możesz sobie wybrać, gdzie.

— I tak to będzie tylko kilka kropel.

— Ale każda kropla składa się z milionów mniejszych kropelek.

Opowiadałem Ilji, jak powstaje chmura, jak drobinka kurzu nabiera wilgoci. Pokazywałem jej chmury na niebie. Tłumaczyłem, co to jest chmura burzowa i jak formuje się front atmosferyczny. Mówiłem, gdzie na świecie tworzą się te najpiękniejsze niższe i wyższe baryczne.

Patrzyliśmy w niebo i było mi dobrze.

— Fleischman, jak ty się właściwie nazywasz? To pytanie musiało kiedyś paść. Szczególnie, że kiedyś już jedna próba była. Wiedziałem, że teraz będę musiał się przyznać. Ilji. I sobie właściwie też.

— Vlastimil. Po tacie.

— Ponoć twoi rodzice zginęli w wypadku.

216 Przykro mi.

Zawiał wiatr i wiedziałem, że teraz muszę jej to powiedzieć. Wszystko. Że będę musiał puścić farbę.

— Nie zabili się. To tylko ja tak wszystkim opowiadałem.

Mówię Ilji, jak było naprawdę. Jak wyglądało zderzenie z Ruskami pod tablicą Liberec. Jak mama z tatą je przeżyli. Jak skończyłem w szpitalu, w domu skrzywionych ludzi, skąd nikt mnie nie odebrał, i jak zapadłem się w głębię swojej nieskończoności.

Opowiadam Ilji, jak tato chodził na zebrania i wierzył we wszystko, albo przynajmniej tak mi się wydawało, i jak w końcu jednak oboje z mamą uciekli do Monachium, gdzie nie trzeba było chodzić na zebrania.

Opowiadam Ilji, jak mnie tu zostawili, jak mama mi powiedziała, że po mnie wróci, ale nie wróciła po kilku dniach, miesiącu, roku. Jak tam umarła na chorobę, która jej nagle wyrosła w głowie, i że była jeszcze młoda. I jak tato o mnie zapomniał, bo w międzyczasie znalazł sobie kogoś innego, a ja tu utkwilem i zaczą-

łem walić głową w ścianę i skończyłem z Jegrem w naszym Grandhotelu, który wyrósł między niebem a ziemią.

— Obiecałem jej, że poczekam tu na nią
— powiedziałem.

— Może ciągle na nią czekasz. Może to oczekiwanie jest twoim problemem. Że czekasz na coś, co nie może nastąpić.

— Może.

— W naszej rodzinie wszystkie kobiety umierają młodo. Mężczyźni też. Chyba jakaś zła chmura. I tato po prostu cię olał?

— Nie. Pisze do mnie.

— I co?

— Nie wiem. Nigdy tych listów nie czytam. Mam je schowane w skrzynce pod łóżkiem.

— Czyli olał.

— Chyba normalnie tak.

— Trochę to trwało.

— Co?

— Zanim to powiedziałeś.

Opowiadałem Ilji, że próbowałem wyrwać się z tego miasta. Jak mi się nie udawało, jak próbowałem pociągiem, autobusem i taksówką. I jak próbowałem z panią doktor. A potem jeszcze jej powiedziałem, że już wiem, jak to zrobić. Opowiedziałem o balonie, który jest już gotowy i o czekaniu na właściwy wiatr, na tornado, które mnie stąd zabierze.

— Może chcesz lecieć ze mną?

— Czemu nie.

— Dwoje ludzi spokojnie uniesie.

— Ale ja nie chcę się zabić.

— Nic się nie może stać. Mam wszystko wyliczone.

— A dokąd właściwie chcesz lecieć?

— Nie wiem. Dokądkolwiek. Może do Ameryki jak Patka. Po prostu uciec.cz.

218 - Patka nigdy nie był w Ameryce.

— A gdzie był?

— Siedział prawie rok za kradzież aut. To ja byłem w Ameryce.

— I co tam robiłaś?

— Podcierałam tyłki małym dzieciom. Ale potem nagle miałam tego dość i wróciłam.

— Dla niego?

— Dla siebie. Ale chyba było mi go trochę żal.

To mój największy problem — czasami jest mi po prostu za bardzo żal ludzi.

— Nie powiedziałbym tego o tobie.

— Wiem. Nikt by tego o mnie nie powiedział. Przytulaliśmy się na tarasie. Wiał wiatr, więc pożyczyłem jej moją bluzę z trzema paskami. Przybliżyła swoją twarz do mojej i pocałowała mnie. Albo ja ją. Już sam nie wiem. Wdychałem jej zapach. Jej szyi. Włosów. Uszu. W moich uszach huczało.

— Co robisz? — spytała.

— Sprawdzam, jak pachniesz.

— Jak pachnę?

— Normalnie, pachniesz mi.

Całowaliśmy się. Czułem jej smak. Leżałem na plecach, a ona leżała na mnie. Gryzła mnie po szyi, po piersiach, w uszy, a ja jej nie gryzłem, ja ją całowałem i smakowałem. Ona powiedziała, że mnie chce, ja powiedziałem, że też ją chcę. A potem leżeliśmy obok siebie. Wiał wiatr i nagle wszystko było jasne. Wszystko się otworzyło. A ja zauważyłem, że Ilja ma nad pępkiem dwa znamionka. Jak małe oczy. To tak na marginesie.

219

Powiedziałem jej, że chciałbym, żeby poleciała ze mną.

— Dobrze — powiedziała. — Ale może kiedy indziej. Teraz chcę tu zostać. Dlatego tu wróciłam.

— Ale ja normalnie muszę stąd odejść.

— Ja wiem.

Ilja długo patrzyła na miasto, które zaczynało zasypiać i czasami zahaczyła wzrokiem o mnie. Chciałem, żeby coś powiedziała, ale ona nie powiedziała nic.

— Zobaczymy się jeszcze kiedyś? W taki sposób? — spytałem.

— Zobaczymy — powiedziała Ilja.

A potem wstała i poszła na dół. Do domu.

MÓJ WIATR

A dni w naszym Grandhotelu uciekały dalej, a na niebie nie było chmur, a potem znowu były i przyszedł jeden front, a potem drugi, a miasto gasło i się zapalało, a Jegr krzyczał na mnie, a Patka leżał w szpitalu, a Ilja złożyła w Grandhotelu wypowiedzenie.

A potem to poczułem.

Mój wiatr.

Nadszedł czas.

220

WYPOWIEDZENIE

Udało mi się.

życie daje człowiekowi tylko dwie drogi. Jedna prowadzi do góry Druga też prowadzi do góry Ale naokoło, przez dno. Przez waszą własną nieskończoność. Problem w tym, że nigdy nie wiadomo, na której drodze człowiek właśnie się znajduje.

Udało mi się.

Jest 21 września 2003 roku. Mam dzisiaj urodziny. Mam trzydzieści lat i zrobiłem sobie prezent. Najpiękniejszy prezent.

Unoszę się, na wyciągnięcie ręki mam chmury. Niebo. Marzenia. Nieskończoność. I wreszcie też samego siebie. 223

Jest lekkie zachmurzenie. Cirrusy. Wiatr zachodni. Sześć stopni Celsjusza.

Niektórych rzeczy w życiu się nie wybiera.

Ja nie wybrałem sobie towarzysza podróży.

Najpierw chciałem lecieć sam. Potem z Ilją.

Potem sam. A w końcu lecę z facetem, który kocha baby i piłkę. Który miał kryptonim Jeśted, Antena, Warzywniak. Z facetem, który nazywa się Winnetou Jegr.

Jak mówiłem, to nie był mój wybór. Tego ranka, gdy poczułem swój wiatr, myślałem, że jeszcze śpi. Napełniałem balon powietrzem na tarasie pod krzyżem. Spakowałem rzeczy. Wafelki. Lemoniady. Mapę. Kompas. Stos wykresów z pogodą. Dwie butelki po szczęśliwym życiu, a w nich to, co zostało z Franza. Stare konserwy z Unry. Zeszyt z notatkami, które czasami pisałem. Skrzynkę z listami, które tato pisał do mnie przez lata, a ja ich nigdy nie otworzyłem.

I nagle stanął za mną.

— Ty Waligrucho! To wszystko jest moje!

— krzyczał. — Moje stroje! Moje łóżko! Moje życie!

— Kiedyś to panu oddam.

— Jak to kiedyś? Jak to oddam?

— Teraz już normalnie muszę.

— Jak to musisz? Gdzie musisz?

— Wyruszyć.

224 - Nie ma chuja, kolego. Zostajesz tutaj!

Szarpnęło balonem. Szybko do niego wskoczyłem.

Zacząłem się unosić.

Mówiłem mu, żeby się puścił. Ale mnie nie słuchał.

Trzymał się kosza jak rzep psiego ogona.

A ziemia pod naszymi nogami zaczęła się oddalać. Mogłem go zrzucić. Wystarczyłoby ugryźć go w palce. Ale w końcu wciągnąłem go do

kosza.

HUK

Lecimy.

Palnik huczy. Jegr też huczy. Wiatr ma odpowiedni kierunek. Wznosimy się nad Ještěd. Nad miasto. Nad chmury.

Jegr głośno oddycha i wybałusza oczy.

— Ty Waligrucho, cholera. To jest lepsze niż wszystkie Bułgarki, Węgierki i Polki. Lepsze niż wszystkie Niemki Wschodnie.

Jegr wychyla się przez barierkę łóżeczka i krzyczy w dół:

— Jesteście wszyscy zwolnieni! Słyszycie? Do-
stajecie wypowiedzenie. Natychmiast! Wszyscy!

Potem podnosi ręce nad głowę i krzyczy:

— Wszystkich wrogów pokona tylko z Liberca
Slovan!

Ale pod nami nikogo nie ma.

CISZA

Unosimy się nad miastem, które było moje.

Nad miastem, którego nigdy w życiu nie opuści-
łem i które nigdy nie opuściło mnie. Do teraz.

Unosimy się coraz wyżej.

Wyciągam butelki po szczęśliwym życiu.

— Co to kurwa jest? — pyta Jegr.

Otwieram je, nic nie mówiąc.

Franz powoli opada na miasto.

225

Wiatr porywa jego popiół, a mi się wydaje,
że w powietrzu czuć rumianek. Patrzę, jak Franz
powoli staje się naszym miastem. Jak się z nim
zrasta. Jak wraca na swój początek.

Jest cisza. Absolutna cisza.

226

KRÓTKI PRZEWODNIK PO CZESKICH I CZECHOSŁOWACKICH REALIACH

(w kolejności pojawiania się w tekście powieści)

Waldemar Matuska — (2.6.1932-30.5.2009)

czeski piosenkarz i aktor. Szczyt jego popularno-
ści przypadał na lata 60. i 70. W 1986 r. wyemi-
gował do USA. Piosenka Dojrzewały czereśnie
([6, tiešne zrdly) była jednym z jego najwięk-
szych przebojów.

Tesil — materiał syntetyczny. Ze względu na
jego wielką popularność w Czechosłowacji, lata
tzw. normalizacji (1968-1989) określa się czasa-

mi żartobliwie mianem „epoki tesilu” (tesilovd doba).

Ludvík Svoboda — (25.11.1895-20.9.1979) czeski generał i polityk. Dowodził oddziałami czechosłowackimi sformowanymi w ZSRR podczas II wojny światowej, między innymi podczas ofensywy na Przełęcz Dukielskiej. Członek Komunistycznej Partii Czechosłowacji, w latach 1968-1975 prezydent Czechosłowacji. W 1974 r. przeżył kilka udarów mózgu. Kobieta za ladą (Žena za pultem) — czechosłowacki serial obyczajowy z lat 70., popularny również w Polsce. Serial opowiadał o życiu

Anny Holubovej (w tej roli Jifina Svorcova), ekspedientki w sklepie spożywczym, entuzjastycznie popierającej reżim komunistyczny. Dziś odbierany krytycznie za fałszywe ukazanie czasów normalizacji, szczególnie nadzwyczaj bogatego zaopatrzenia ówczesnych sklepów. Bohaterka serialu była potocznie nazywana przez widzów Anną Ekspedientką, w nawiązaniu do tytułu powieści z 1920 r. Anna Proletariuszka, autorstwa czeskiego pisarza Ivana Olbrachta.

Z Buzuluku do Pragi (Z Buzuluku do Prahy) — wspomnienia Ludvíka Svobody z czasów II wojny światowej, wydane w 1960 r. (w Polsce w 1965 r.). Tytuł oddaje trasę szlaku bojowego, który Svoboda przeszedł wraz z czechosłowackimi jednostkami uformowanymi w ZSRR.

Jan Sverma — (23.3.1901-10.11.1944) komunistyczny dziennikarz i polityk. We wrześniu 1944 r. jako przedstawiciel Komunistycznej Partii Czechosłowacji przy Słowackim Powstaniu Narodowym znalazł się na terenie Słowacji. Wkrótce potem zmarł z wycieńczenia po 15-godzinnym marszu w śnieżycy w Niskich Tatrach. W 1969 r. otrzymał pośmiertne odznaczenie Bohater Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

Mlada Boleslav — miasto położone ok. 60 km na północny wschód od Pragi. Od 1925 r. znajduje się tam fabryka samochodów Skoda.

Katapult — czeski zespół hardrockowy, którego liderem jest gitarzysta i wokalista Oldřich

kala. Zespół do dziś nagrywa płyty, na których można znaleźć między innymi piosenki Može kiedys (Nekdy) i A děti, gdzie się mają bawit? (Co deti, maji'si kde hrdt?).

Sparta — marka papierosów, jedna z najpopularniejszych w Czechosłowacji, produkowana do

dziś.

Zwirek — postać stworzona przez Vaclava Ctvrtka, bohater animowanego serialu dla dzieci Opowieści z mchu i paproci (Pohddky z mechu a kapradt), znanego również w Polsce.

Rumburak — czarownik, czarny charakter z filmów i seriali o księżniczce Arabelli, autorstwa Vaclava Vorlíčka (reżyseria) i Miloša Macourka (scenariusz).

Velorex — marka trzykołowego pojazdu mechanicznego o bardzo prostej konstrukcji, produkowanego w powojennej Czechosłowacji. Pierwotnie stworzony z myślą o osobach poruszających się na wózku inwalidzkim. Ma 229 swoje miejsce również w czeskiej kinematografii: w popularnej komedii Ladislava Smoljaka i Zdeňka Sveraka z 1980 r. Kelner, plăć! (Vrchni, prchni!) jeździł nim główny bohater, księgarz i tytułowy kelner Dalibor Vrana (w tej roli Josef Abrham).

Trautenberg — postać z czeskiej wieczorynki Bajki karkonoskie (Krkonošské pohddky) reżyserki Very Jordanovej. Chciwy, zły i głupi arystokrata, który próbuje powiększyć swoje bogactwo kosztem sąsiada, olbrzyma Krakonoša,

magicznego ducha gór (niem. Rubezahl, pol. Liczyrzepa).

Uwaga, zakręt! (Pozor, zakruta!) — czechosłowacki radiowy program motoryzacyjny, którego czołówka kończyła się odgłosami wypadku samochodowego.

Aś — najbardziej wysunięte na zachód miasto w Czechach (i Czechosłowacji). Do 1945 r. zamieszkałe przeważnie przez mniejszość niemiecką, tzw. Niemców Sudeckich, którzy w wyniku ustaleń konferencji poczdamskiej po II wojnie światowej zostali wysiedleni z Czechosłowacji. Dzień dobry, majorze Gagarinie — (Dobry den, majore Gagarine), wielki przebój lat 60. autorstwa Gustava Bromy (tekst), Jaromfra Hnilički i Pavla Picia (muzyka), znany również jako Hołd dla astronauty (Pocta astronautovi).

Vlastimil — imię męskie pochodzenia słowiańskiego, oznaczające osobę kochającą swój kraj.

PODZIĘKOWANIA/ DANKE

Sonja Jurčakova, David Ondřček, Pavel Jech, Petr Pycha, Joachim Dvorak, Jaromfr 99, Petr Kružík, Petr Vřša, Zdenek Jurčík, Jan Novak, Ladislav Kutřk, Ladislav Malek, Pavel Jirman, Jiff

Rudiš i inni Rudišowie, Marek Epstein, Milan Svoboda, Alois Sokol, Eva Zajfekova, Ondřej Kavalfr, Jan P. Muchow, Pavlína Svatoňova, Patricia Klobusiczky, Kateřina Rathouska, Juraj Horvath, Lenka Reinerova, Jan Zappner, Leoš Noha, Eva Profousova, Mitko Kraetsch, Martin Jager, Martin Berger, Petr Braun, Ingo Schulze, Igor Malijevsky, Ilja i Vladimír Richterowie, Jindřich Jůz1, Karel Hubáček i Solo Lovec — bez których umknęłyby mi wiele rzeczy i to nie tylko w tej książce. Dziękuję również miejscom, miastom i instytucjom, w których rodziła się filmowa i literacka opowieść w czasie od wiosny 2004 do lata 2006 i które mnie inspirowały: Liberec, Lomnice nad Popelką, Jeseník, Praga, Syltquelle (Rantum, Sylt), Unabhängiges Literaturhaus NO (Krems) i LCB — Literarisches Colloquium Berlin.

231

Redakcja:

Anna Januchta

Projekt okładki:

Justyna Boguś

Skład:

Violet Design

ISBN 978-83-928051

GOOD'

BOOKS

Wydawnictwo Good

ul. Komandorska 78a

53-345 Wrocław

goodbooks@goodboc

www.goodbooks.pl

Zdrowych i wesołych...

Czeskie Opowieści

Michał Viewegh

Petr Šabach

Martin Smaus

Irena Obermannova

Iva Pekirkova

Jan Balaban

Eva Hauserova

Jaroslav Rudiš

Daniela Fischerova

To, co najbardziej lubimy w czeskiej literaturze: humor, dystans i refleksyjna nuta, tym razem pobrzmiwająca kołędą. Święta zdrowe i wesołe, czasem tajemnicze, pełne prawdziwych emocji, wzruszeń i niecodziennych zdarzeń.

Dziewięć opowiadań popularnych czeskich pisarzy to dziewięć spojrzeń na Boże Narodzenie. Przypadkowe spotkanie w wigilię Wigilii, świąteczna noc na ławeczce pod dworcem, nastolatka, która chce oryginalnie przeżyć ten wieczór, czy wyemancypowane trzydziestoparolatki ze świątecznego spotu reklamowego. Historie pełne rodzinnego ciepła, bohaterowie rodem z Samotnych czy Butelek zwrotnych, odkrywają prawdy stare jak świat, że żyjąc "pod jednym dachem" czeskiego nieba, "musimy sobie pomagać".

www.goodbooks.pl GOOD
BOOKS

O kobietach...
Czeskie Opowieści

Michał Viewegh
Halina Pawłowski
Petr gabach
Iva Pekarkovi
Eva Hauserova
Daniela Fischerova
Irena Douskova
Vera Noskova
Ivan Klima

Matki, żony i kochanki widziane oczami najciekawszych czeskich pisarzy. Dziewięć niezwykłych opowieści o kobietach to nie tylko zabawa stereotypami, ale i intrygująca podróż po kobiecej psychice. Miłość, pasja, zdrada i zemsta przeplatają się w nich ze sobą, tworząc wyrazisty i zmysłowy obraz współczesnej czeskiej kobiety. Czy bliżej jej do matki Polki, czy też do kochanicy Francuza?

Druga książka z serii Czeskie Opowieści to starannie wybrany zbiór najlepszych opowiadań, których motywem przewodnim jest Płeć Piękna. Nieprawdopodobne przypadki miłosne i najzwyklejsze codzienne problemy w wydaniu czeskich autorów z pewnością staną się ulubioną lekturą także polskich Czytelniczek i... Czytelników.

„Trochę zazdroszczę tym, którzy tę historię mają przed sobą. Że zatopią się w opowieść Fleisch mana. że weźmie ich z sobą. Oprowadzi po niezwykłym miejscu i. nie pytając się o zgodę - zabierze w chmury”

Mariusz Surosz. autor książki Pepiki.
Dramatyczne stulecie Czechów.

„Czeski Forrest Gump.
Jitka Grafova. idnes.cz

„Grandhotel jest najbardziej poruszającą (...) książką od bardzo dawna. bezpretensjonalną. jak to tylko możliwe!”
Carsten Klook, Zeit Online

Jaroslav Rudiš poprzez bohaterów swoich opowieści w poetycki, a nawet magiczny sposób, przybliży genius Poci miast, które pokochał.”

Petr Fischer. Hospodarske noviny